Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 17 (1361) ROK XXVII 28 KWIETNIA 1984 ROKU CENA 15 ZŁ

• Nie mnóżmy bytów ponad potrzebę
• Znikający człowiek
• Złotówka w wieku emerytalnym
• Intymny atlas anatomiczny

Medium

Z MAŁGORZATĄ POTOCKĄ rozmawia BOHDAN GADOMSKI

MAŁGORZATA POTOCKA, absolwentka Wydziału Aktorskiego (z 1978 roku) i Wydziału Reżyserii (z 1981 roku) PWSFTviT w Łodzi, także *fotografik*, należy do postaci, o których dużo i różnie mówi się w środowiskach artystycznych. Kiedy była jeszcze aktorką (Tereska z „Hubala", Julka w „Legendzie" czy Małgorzata w „Fauście") mówiło i pisało się o Potockiej jako jednej ze świetnie zapowiadających się, chętnie obsadzanych i lubianych młodych aktorek.

Od kiedy rzadziej gra w filmie i telewizji, a bardziej zajmuje się eksperymentowaniem w swojej pracy reżyserskiej (film fabularny „ZOO") i fotograficznej (wystawa „Tryptyk" i prace pokazywane w Paryżu, Anglii, RFN, Holandii, Belgii, Jugosławii, na Węgrzech) stała się artystką hermetyczną, wysublimowaną, intelektualną, wręcz szokującą w swych nowatorskich, awangardowych pomysłach, uczesaniach, makijażach, strojach, jakże niepodobną do dziewczyny z dużym kokiem ze wsi „zabitej deskami" w filmie „Wszystko na sprzedaż" Andrzeja Wajdy.

I. AKTORKA

— Nie widziałem pani w jej pierwszej, dziecięcej roli i nie mogę nic powiedzieć o cudownym dziecku polskiego filmu. Kto odkrył panią wtedy i jak widziała pani siebie w roli aktorki mając 6 lat?

— *Wtedy była to dziecięca przygoda. Maria Kaniewska zaangażowała mnie do roli koleżanki tytułowej bohaterki filmu „Awantura o Basię". Byłam niesfornym, rozkapryszonym dzieckiem którego nie można było ujarzmić i opanować na planie filmowym. Największym skandalem był wybór sukienki, której nie chciałam włożyć. Była w kolorze różowym, który uważałam za ohydny i wybrałam czarną sukienkę w bordowe kropki. Wszyscy byli przerażeni, ale ja nie ustąpiłam. Po prostu chciano, abym jak najprędzej zakończyła zdjęcia i nie pokazywała się na planie.*

— Co na to wszystko reżyser?

— Przypadkowo znalazłam się z panią reżyser w pokoju i nie miałam możliwości umknięcia, więc z agresją powiedziałam: *„Wszystkie dzieci się ciebie boją, a ja nie". Od tamtego czasu jestem w wielkiej przyjaźni z Marią Kaniewską. Jako moja profesor w szkole teatralnej bardzo dużo dała mi w sensie zawodowym.*

— Czy to ten wczesny debiut spowodował, że została Pani aktorką?

— Nie, raczej środowisko w którym wyrastałam — mama skończyła reżyserię, ojciec był scenografem filmowym. Wychowywałam się na planach filmowych. O tym, że zdecydowałam się na studia aktorskie zadecydował Andrzej Wajda angażując mnie do filmu „Wszystko na sprzedaż".

— „Precz z moich oczu, posłucham od razu,
Precz z mej pamięci i pamięć posłucha.
Precz z mego serca, nie, tego rozkazu moja i twoja pamięć nie posłucha".

—recytowała pani wiersz Beacie Tyszkiewicz i Elżbiecie Czyżewskiej w kapitalnej scenie tego filmu. To była pani czy grała kogoś takiego?

— Wiersz i scena były zaproponowane przeze mnie, Andrzej Wajda to zaakceptował, bo było to autentyczne. Grałam we „Wszystko na sprzedaż" dziewczynę ze wsi zabitej deskami, która po raz ostatni widziała Zbigniewa Cybulskiego. Nie miała ona nic wspólnego ze mną. Jedynie to było wspólne i ważne w tym wypadku oraz znakomicie wykorzystane przez reżysera, że

10

Foto: Małgorzata Potocka

Czekoladowy pociąg

ROMAN KUBIAK

W sobotę rano przyjeżdża pospieszny z Lipska.

Pospieszny z Lipska to nie jest zwykły pociąg. Pociągiem z Lipska nie podróżuje się dla kaprysu, dla turystyki i innych tam fanaberii. Kto chce odwiedzić rodzinę w Łodzi czy w stolicy, ten niech wybije sobie z głowy nocny pociąg Lipsk—Warszawa. Nie ma tu miejsca dla pasażerów z walizeczką, takich co to, zaraz po sygnale do odjazdu, zapadają w kolejowy sen i posapując marzą o ciepłym łóżeczku, które już za kilka godzin...

— Czy nie będzie państwu przeszkadzało, jeśli zgaszę światło?

— Oj będzie! Bardzo będzie przeszkadzało. To po prostu niemożliwe.

Nie w tym pociągu — naiwny podróżniku.

Coś, co zdarza się tylko raz w tygodniu, nie może utonąć w sennym nastroju. Światło, muzyka, śpiew, brzęk butelek i papierosowy dym — dużo dymu i dużo butelek.

Jedzie pospieszny z Lipska i Drezna. Jadą rodacy do domu. Do Kutna, Głogowa, Wrocławia, Pruszkowa, Radomia, Łodzi, Kielc. Jak wspólny dom, wielka rodzina — wszyscy znajomi ze wszystkimi po imieniu i po kielichu.

Miejsca zajęte. Ludzie i torby. Walizy, paki i paczki — pod sufitem i na podłodze. Ciasno. Ale to nic. Tak jest zawsze. Tak jest co tydzień i tak będzie jeszcze długo. „Daj Boże, żeby jak najdłużej" — jak mawiają ci z pospiesznego.

Najgorzej jest w Goerlitz. O rany! Ile się człowiek napoci, zanim pociąg ruszy wreszcie ku granicy.

Celnicy przeciskają się między siedzeniami, ale nie tykają mniejszych i większych bagaży. „Sztuczny tłok" to jest to. W takich warunkach można zniechęcić do pracy nawet najtęższego służbistę. Zresztą celnicy znają ten pociąg doskonale. Znają tych ludzi i chyba wiedzą, co leży w walizach, pod koszulami i ręcznikiem. Niechby tylko pokusili się zajrzeć do środka. Raban na cały wagon.

— Puść rodaka łachmyto! A niech ci w gardle staną te czekolady! Donnerwetter!

I przeraźliwy gwizd z dziesiątek gardeł. Tupanie nogami. Jakże tu pracować? Pal ich sześć — niech jadą.

Ale czasem znajdzie się celnik twardziel, który nie zważa na przekleństwa i powszechny opor pasażerów. Upatrzy sobie gościa i każe pokazać manatki. Wtedy to już koniec. Bo i tak wszyscy wiedzą, że każdy strzał to murowana dziesiątka. Każdy wskazany palcem wiezie ciut-ciut za dużo czekolad, kawy i orzeszków. I nie ma co przekonywać celnika, że czterdzieści par rajstop to prezent dla żony, a osiem par tenisówek, to dla syna — sportowca. Tak bywa rzadko i chyba tylko ku przestrodze pozostałych podróżnych, celnicy wynoszą na peron bagaże pechowca.

— Nie miał szczęścia chłopaczek — komentują jego kumple. — Na-

6

Wahadełko mądrzejsze od radia

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Jechało mi się znakomicie. Silnik mruczał miarowo, droga, zupełnie niezła jak na boczną arterię, snuła się łagodnymi łukami wśród sympatycznych brzozowych lasków, sosnowych zagajników. A i ruch był minimalny — jakiś rowerzysta, czasem traktor. Uchyliłem okno. Słońce przygrzewało już mocno, wręcz czuło się w powietrzu wiosnę. Zwolniłem nieco, bo asfaltowy dukt wypadł teraz z mrocznych nieco ścian lasu na pola, a ja z zaciekawieniem mieszczucha przyglądałem się pojedyńczym postaciom, pracującym, pochylonym, miarowo postępującym za ciągnącym pług koniem... Rozleniwiony słońcem umysł zakonotował mimowolnie „złotą" myśl: „— Tak, prawie osiemnasta, w mieście dawno po fajerancie — stempelki i zarękawki w szufladzie, można iść na spacer, poleżeć przed telewizorkiem, a tu — **na okrągło, dopóki się nie ściemni, dopóki jest robota...**"

Małe skrzyżowanie, kapliczka. I wóz strzelający w niebo nie obciążonym dyszlem, z pełnymi workami z tyłu. A dalej, w polu, obłok kurzu ciągnący się za siewnikiem, chmary wron czy gawronów kołujących miarowo i przysiadających co chwila na roli...

A ten co za jeden? — mignął mi obraz różniący się czymś od innych. Kopnąłem odruchowo hamulec i cofając się, jeszcze nim zupełnie stanąłem, zerknąłem na przylegającą do szosy łąkę. Mężczyzna w kapeluszu zsuniętym na tył głowy trzymał przed sobą w wyciągniętych rękach jakiś przyrząd i wpatrzony weń powoli kroczył niemal równolegle do drogi. Zgasiłem silnik, jakbym przeczuwał, że zostanę tu dłużej. Odwrócił się teraz jeszcze wyraźniej profilem i — już byłem pewien. Ten „przyrząd", który zwrócił moją uwagę, a przypominał nieco wielką procę, choć nieprzepisową, bo za szeroką u góry, to była z pewnością różdżka! On tu czegoś szukał! Wody? Podziemnych żył? Czy po prostu złota?

Obserwowałem go jeszcze parę minut, jak krąży z tą swoją aparaturą. Gdy coraz bardziej zaczął się oddalać — podjąłem decyzję. Zatrzasnąłem drzwi samochodu. Ciekawość była silniejsza, inne, przyziemne sprawy mogą nieco poczekać. Przeskoczyłem rów i powoli ruszyłem śladem różdżkarza.

Dojrzał mnie, gdy zbliżyłem się na kilka kroków. Wysoki, pleczysty, z sumiastym wąsem. Zmieszał się jakby, schował różdżkę za siebie. Bacznie się we mnie wpatrywał, gdy pokonywałem ostatnie metry.

— Czym mogę służyć?... — rzucił oschle i dziwnie służbiście.

— Dzień dobry — próbowałem go zjednać życzliwym uśmiechem — Przejeżdżałem akurat i zauważyłem, że pan czegoś tu szuka, zainteresowałem się, chciałem spytać...

— Nie ma o co — przerwał ostro — wiosna, roboty w polu od cholery, więc chodzę, co w tym dziwnego...

— Z różdżką? Żeby lepiej rosło? — teraz ja mu przerwałem. Wyraźnie był niezadowolony, że zauważyłem przyrząd, który wciąż krył za sobą. Widziałem, że waha się, czy pogonić mnie bardziej zdecydowanie, czy przyznać do poszukiwań, a wtedy klienta się spławi.

— Tak tam, sprawdzam tylko... Wypadków tu dużo, bo pole silne... Ale w ogóle to nie ma o czym gadać... — nastawiony był wyraźnie nieprzychylnie.

— Jakie pole? O jakich wypadkach pan mówi? — nie dawałem za wygraną. On milczał, skrzywiony, nie wiedząc jak się mnie pozbyć. Raptem przyszedł mi pewien pomysł do głowy.

— Ale też tajemnice pan robi! Dziennikarz jestem, może bym co napisał o tych poszukiwaniach, a tu pan się zaparł. Zapytam chyba tego pod lasem — wskazałem głową na rolnika pracującego w sporej od nas odległości, w pobliżu małego zagajnika — może on mi co opowie...

— Czekaj pan, czekaj... — milczek drgnął. — Jeszcze panu głupot nagadają, bo z naczelnika, z władzy się pośmiać to każdemu pasuje, pan napiszesz i wyjdzie pasztet. No to chwilę możemy porozmawiać — wyciągnął prawicę — Malicki Stefan jestem.

I pan naczelnik gminy (później, gdym nie wierzył, okazał się nawet stosowną legitymacją) zaczął mi opowiadać o pasji swojego życia, bioenergetycznych możliwościach człowieka, filozofiach Wschodu, drugim ego, wejściu w głąb siebie, koncentracjach, nakazach woli. Przygotowany byłem już na dżudo, karate, parę szybkich rzutów na sąsiednią miedzę. Do tego nie doszło, a Malicki oświadczył niemal z powagą, że na jego terenie nadal święcą triumfy wypróbowane przez lata metody walki, bowiem kołek z płota wyłącznie na filmie przegrywa z pięścią...

7

Przegląd prasy

Każdy z nas ma na ogół ochotę pójść jak najłatwiejszą drogą i świadomość tego wcale nie napawa mnie optymizmem. Mogłoby się wydawać, że szukanie najłatwiejszych rozwiązań może być motorem postępu, ale przecież nie zawsze i nie za często tak jest. Szukanie łatwych rozwiązań skłania bowiem często ludzi do wracania do tego, co stare, wypróbowane, sprawdzone, choćby nawet nie najlepsze i nie do końca potwierdzone w praktyce. Zjawisko takie — wracania do starych, wypróbowanych metod, choć przecie nie najlepszych — obserwujemy coraz częściej w naszym powszednim życiu. Oto Tomasz Jeziorański w „ŻYCIU GOSPODARCZYM" daje tego najlepszy przykład (nr 16 z 15 kwietnia 1984 r.) pisząc

O ZAGROŻENIACH DLA REFORMY GOSPODARCZEJ

Tytuł artykułu: *„Frontowymi drzwiami"*.

Ministerstwo Hutnictwa i Przemysłu Maszynowego ogłosiło niedawno *„Projekt usprawnienia systemu organizacyjnego przemysłu"*. Projekt ten poddano ostrej krytyce na Krajowej Konferencji Delegatów. Tomasz Jeziorański uznał zawarte w projekcie propozycje za istotne i groźne niebezpieczeństwo dla reformy gospodarczej. Jest to bowiem ni mniej ni więcej tylko odebranie przedsiębiorstwom samodzielności, sprowadzenie samorządności do pustego hasła wypranego z jakiejkolwiek treści i poddanie tego przemysłu centralnemu sterowaniu.

Otóż projekt ten *„zawiera propozycje struktur pośrednich, jakie niezwłocznie należy utworzyć* — pisze Tomasz Jeziorański. — *Są to: rada nadzorcza, kombinat, socjalistyczna korporacja i socjalistyczny koncern (dwie ostatnie zwane zbiorczo przemysłowymi organizacjami gospodarczymi). Marginesowo wspomina się także o przeorientowanych zrzeszeniach. Wszystko nie alternatywnie, ale równolegle. Różnica między poszczególnymi tworami sprowadza się do mało istotnych szczegółów, natomiast wszystkie łączy idea likwidacji samodzielności, samorządności i samofinansowania przedsiębiorstw oraz przekazania decyzji gospodarczych w gestię odtworzonych struktur pośrednich"*.

Rady nadzorcze na przykład powinny — według tego projektu — posiadać kompetencje zawieszania dyrektorów przedsiębiorstw, powoływania tymczasowych kierowników, wstrzymywania decyzji dyrektorów, oceniania przedsiębiorstw, ich zamierzeń produkcyjnych i organizacyjnych, wnioskowania o wysokości wynagrodzenia, premii, nagród i kar dla dyrektorów. Co w tej sytuacji miałby do roboty samorząd?

Od połowy lat sześćdziesiątych obserwuje się u nas proces koncentracji produkcji. Tomasz Jeziorański przypomina, że w 1980 roku tylko *„0,5 proc. ogółu zatrudnionych w przemyśle pracowało w przedsiębiorstwach małych, podczas gdy 15 lat wcześniej wskaźnik ten był prawie 6-krotnie wyższy (i także zresztą dużo za mały)"*

W tym to czasie powoływano kombinaty. Różny ich później spotkał los, część się usamodzielniła, część funkcjonuje nadal. Obecnie w Ministerstwie Hutnictwa i Przemysłu Maszynowego jest 15 kombinatów. Projekt omawianego przez Tomasza Jeziorańskiego dokumentu zakłada powołanie 13 dalszych. *„Łącznie* — powiada autor artykułu „Frontowymi drzwiami" — *oznaczałoby to pozbawienie samodzielności 185 jednostek i odtworzenie przez kalkę albo dawnych struktur zjednoczeniowych albo żywcem — kombinatowych."*

Autor zastanawia się nad tym, czy duże jest sprawne. I powiada, że *„osiągnęliśmy niespotykany w krajach rozwiniętych — nie tylko kapitalistycznych, ale także socjalistycznych — stopień organizacyjnej koncentracji w przemyśle"*. Nie jest to korzystne dla reformy *„proponuje się obezwładnić reformę i wrócić do nie całkiem jeszcze zapomnianego systemu"*

Miejmy nadzieję, że ten zamach na reformę — nie pierwszy i nie ostatni — pozostanie nadal w sferze projektów, których nikt nie będzie miał zamiaru realizować. Chociaż chętni są. Trzeba więc im to uniemożliwić.

Z DANIELEM PASSENTEM POLEMIZUJE

w „TRYBUNIE LUDU" Jerzy Lobman. Już sam tytuł artykułu: *„Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem..."* (14—15 kwietnia 1984 r.) wskazuje rodzaj stawianych D. Passentowi zarzutów. A spór toczy się o *„normalność"* i *„normalizację"*.

Jerzy Lobman tak określa te pojęcia:

„Normalne jest w społeczeństwie to

1) co odpowiada jego obiektywnej sytuacji (politycznej, gospodarczej, społecznej, międzynarodowej) w danym momencie, oraz

2) co współgra z tym kierunkiem rozwoju, z tymi dążeniami, które społeczeństwo, jego przewodnie siły obrały jako bliższe i dalsze cele."

Jerzy Lobman przypomina, że Daniel Passent w 1982 roku w wywiadzie dla „Tu i Teraz" wyznał, iż *„nie należy „do jakiejkolwiek partii, klubu, organizacji czy zespołu filmowego". Oświadczył, że „nie jest w stanie nakłonić się do żadnej ideologii ani światopoglądu", bo żadna synteza do końca do niego „nie przemawia". Powiedział, że „świeczka i ogarek to są dwie wartości, których nie wolno stracić"."*

Dalej Jerzy Lobman analizuje tezy, które Daniel Passent zawarł w swoim felietonie publikowanym w 13 numerze „Polityki", zarzucając autorowi „Polityki", że powtarza stare prawdy i tak konstruuje obraz minionych 40 lat, jakby przez cały czas działy się rzeczy nienormalne. Na zakończenie pisze:

„Wydaje się, że tak gromko podkreślany relatywizm autora, relatywizm tkwiący korzeniami w liberalno-drobnomieszczańskim systemie myślowym (choć się Daniel Passent od wszelkich myślowych systemów odżegnuje), źle służy jako narzędzie badawcze rzeczywistości, nie mówiąc już o tym, że kłóci się z hasłem, które otwiera pierwszą stronę każdego numeru „Polityki".

Niestety łatwo to zauważyć nie tylko w ostatnim, omawianym tu felietonie red. Daniela Passenta, ale i w licznych sformułowaniach, które już uprzednio wyszły spod klawiszy jego maszyny do pisania..."

Mocno powiedziane, ale chyba przecież nie bez racji.

DLA „ŻYCIA PABIANIC" NA PYTANIA ODPOWIADAŁ JERZY URBAN

Pytania zadawała Grażyna Sałacińska. Zaczęło się to nawet niesztampowo. Autorka rozmowy chciała — na polecenie red. naczelnego „ZP" — aby role się zmieniły i to Jerzy Urban przeprowadził z nią wywiad, ale minister się zręcznie z tego wywinął. I rozmowa potoczyła się o prasie lokalnej. Oto, co na ten temat powiedział Jerzy Urban:

— *„Dziennikarski kompleks prowincjonalizmu nie ma obiektywnego uzasadnienia. W Polsce więcej ludzi czyta prasę pozawarszawską niż centralną. Ta pierwsza jest też czytana gorącej. Rola prasy lokalnej rośnie na całym świecie...*

Sądzę więc, że dobra publicystyka lokalna ukazuje sprawy miejscowe przez pryzmat zjawisk szerszych, bo też żadne zjawisko lokalne — realnie biorąc — nie jest izolowane od szerszego tła. Pisać więc dla zlokalizowanego grona czytelników, to nie znaczy mniej wiedzieć, rozumieć ani ograniczać czytelnicze horyzonty."

Minister Jerzy Urban wypowiedział się też o trudnej sprawie wzajemnych stosunków gazety lokalnej i władz terenowych. Otóż — jego zdaniem — władze *„powiadają nie bez racji, że muszą dysponować swoim organem, który je wyraża, rozumie ich racje i wspiera ich poczynania, więc ułatwia dialog władz ze społeczeństwem. Redakcje przeciwstawiają temu odmienne ambicje i wartości, nie lubią piętna oficjalności. Uważają, że lepiej służą sprawie, kiedy ich publikacje nie są skrępowane względami na lokalne instytucje i osobistości, a swobody krytykowania nie ulegają ograniczeniom, które biorą się z wrażliwości notabli, czy ich łakomstwa na pochwałę."*

Co więc robić? Jak pogodzić te dwie przeciwstawne przecież tendencje?

— *„Nie widzę innego wyjścia* — odpowiada Jerzy Urban — *jak trudne harmonizowanie służebności i niezawisłości które wcale się nawzajem nie wykluczają. Gazeta musi być krytykiem niezależnym, ale lojalnym, więc lojalnie też prezentującym punkt widzenia władz. Władze zaś nie powinny widzieć w prasie instrumentu podręcznego i łatwego do operowania."*

Pięknie to powiedziane, gdyby jeszcze teoria zgadzała się z praktyką. Do szczęścia nic by już nie brakowało.

„VICTORIA" W PABIANICACH KOJARZY PARY

ale biura matrymonialne są nie tylko w Pabianicach, więc zupełnie nie rozumiem, dlaczego Bogdan Maciejewski w „PRZEGLĄDZIE TECHNICZNYM" (nr 16 z 15 kwietnia 1984 r.) obrał sobie za przykład właśnie Pabianice. Ale to jego sprawa. Tytuł *„W Pabianicach kojarzą..."* jest tak samo dobry jak każdy inny. Ważniejszy od tego jest sens felietonu. Otóż Bogdan Maciejewski zastanawia się, dlaczego ludzie reklamujący się jako „przystojny brunet", „bez nałogów", „domator", „atrakcyjna blondynka", „miłująca zwierzęta", „domatorka" i tak dalej, a więc ludzie mający na ogół same zalety, nie potrafią sami znaleźć sobie partnera czy partnerki i muszą prosić o to biura matrymonialne.

„W każdym razie — pisze Bogdan Maciejewski — *każdy poszukujący (-a) partnera (-ki), to jest osobowość ustabilizowana pod względem moralnym (bez nałogów przede wszystkim!) i materialnym. Dziwne, że muszą się fatygować z takimi zaletami aż do instytucji w Pabianicach czy Gliwicach, jakby pod ręką nie były wyciągnięte ku pożyciu inne ręce, równie rajcowne. Jakieś kompleksy, nieśmiałość? Diabli wiedzą, ale interes kwitnie — i gazety też dostają swoją nielichą dolę"*.

Za ogłoszenia — oczywiście, a nie za co innego.

Bogdan Maciejewski — rezygnując z dalszych dociekań, czemu to ludzie korzystają z usług biur matrymonialnych — prorokuje, że maluczko, a biura te będą oferowały kulturystki. Że to niby taka idzie moda. Wszystko może się zdarzyć na tym najlepszym ze światów, ale żeby lubować się w kulturystkach, to już kompletne zdziczenie.

Nim do takiego obrzydlistwa dojdzie proponuję spacerek

DO BAGDADU NA POLNĄ

W Warszawie — oczywiście, gdzie na ulicy Polnej jest bazar, zwany Bagdadem. Na bazar ten wybrała się Anna Karaś i co zobaczyła i usłyszała w „SZTANDARZE MŁODYCH" opisała (18 kwietnia 1984 r.).

Na Polnej można dostać wszystko. Są owoce cytrusowe, ryby, warzywa, nabiał... Można tu też kupić samochód. Ostatnio na ulicę Polną sprowadza się z Zachodu samochody na ropę. Jak taki wóz nadejdzie zjawia się klientela.

„Przeważają wówczas — pisze Anna Karaś — *starsi panowie z młodymi dziewczynami. Dystyngowani, szarmanccy, szokują wszystkich szerokim gestem w zakupach."*

Ale bywa i inaczej.

„Czasami zjawiają się całe rodziny. Dzieci biegną przodem, rodzice kroczą pod rękę za nimi. Przy straganach dziecko chce pomarańcze, to ma pomarańcze, a jeśli winogrona, to winogrona. Tu pieniądz się nie liczy."

Jest i inna klientela.

„Zjawiają się też starsze, nobliwe panie z karteczkami w ręku. To przeważnie gospodynie cudzoziemców. Kosze mają wyładowane już po kilku minutach."

Żeby iść na Polną trzeba mieć pieniądze. Oto, jakie ceny żądano na Polnej przed świętami. Podaje je Anna Karaś.

„Owoce ananasu — 2 tys. zł,
1 kg winogron — 4 tys. zł,
1 kg bananów — 1 600 zł,
1 kg pomarańcz — 1 200 zł,
1 kg mandarynek — 1 300 zł,
1 kg cytryn — 1 450 zł,
1 kg jabłek — 60 zł".

Nie wszystko jest na Polnej takie okazałe, piękne i bogate.

„Za okazałymi stoiskami — pisze Anna Karaś — *są znacznie skromniejsze stragany. Tutaj nie robi się kokosów. Ktoś handluje włoszczyzną, ziemią ogrodniczą, nasionami kwiatów, świecidełkami. Sprzedawczynie są przygaszone, zatroskane nie najlepszym stanem interesów. Zyski są tutaj niewielkie, o klienta trzeba zabiegać."*

Czym jest Bagdad? Pytanie to Anna Karaś zadawała różnym ludziom. Oto dwie interesujące odpowiedzi:

Pierwsza. — *„To port, do którego przybijają statki z całego świata. Najlepiej widać to na straganach! Tu jest także stacja przeładunkowa wielu rynków zagranicznych — towar dostarcza się koleją, samolotami, dowozi się w samochodach-chłodniach"*.

Jest to jakby uzupełnienie oferty państwowego handlu zagranicznego.

Ale posłuchajmy drugiej odpowiedzi.

— *„Sześć metrów kwadratowych i wie pani, ile przychodzi płacić miesięcznie podatku? Sześćdziesiąt tysięcy podatku! To wielka forsa dla państwa, dojna krowa ten bazar. Tu urząd finansowy ma kokosy, prawdziwe kokosy!"*

Ci, co tam sprzedają też chyba nie mają powodów narzekać. Skoro sprowadzają towar, to muszą mieć na niego zbyt. Skoro stoją całymi dniami na bazarze, widać im się to opłaca. I płacenie podatku również.

Jeden z rozmówców Anny Karaś powiedział:

— *„Na Boga! Przecież do kupna nikt nikogo nie zmusza. Przecież można nam zrobić konkurencję, i sprzedawać taniej..."*

Rzecz w tym, że nie można. Bo, aby zrobić konkurencję i sprzedawać taniej, trzeba przede wszystkim mieć co. A akurat tak się jakoś złożyło, że towaru oferowanego na bazarach nie ma i jeszcze długo nie będzie w państwowych sklepach. Gdyby on tam był i było go pod dostatkiem, to nie byłoby potrzeby i możliwości sprzedawania tego towaru na bazarze. Ale do kupowania na bazarze istotnie nikt nikogo nie zmusza.

O POMARAŃCZACH I MANDARYNKACH

„SZPILKI" (nr 16 z 19 kwietnia 1984 r.) wydrukowały wierszyk Jakuba Rożenka, który miłym Czytelnikom dedykuję, cytując dwie zwrotki.

„Pomarańcze — tysiąc czterysta,
Dwa tysiące za mandarynki
Nic dziwnego, że są cytrusy
Snem zmysłowym bladej dziewczynki

Kraść by musiał dziewczynki tata
lub dochody mieć oszukańcze,
żeby kupić córce na targu
Mandarynki i pomarańcze."

LUCJAN BOGUSZ

Minął tydzień

NIEPRZERWANIE BIEGNIE KALENDARZ WYBORCZY

Powołano już wojewódzkie kolegia wyborcze. W Łodzi przewodniczącym został Henryk Pawlak — sekretarz Rady Łódzkiej PRON, zastępca redaktora naczelnego „Głosu Robotniczego". Teraz nastąpi kolejny etap przygotowania wyborów. Będzie to zgłaszanie list wyborczych. Najpóźniej w 25 dniu przed wyborami musi nastąpić ogłoszenie danych o kandydatach. Ordynacja wyborcza zobowiązuje kandydatów do odbycia spotkań z wyborcami.

W I KWARTALE 1984 ROKU NIE BYŁO LEPIEJ

niż można było się tego spodziewać. Dane GUS za ten okres ujawniły, że wprawdzie nastąpił wzrost produkcji przemysłowej i budowlanej, ale tempo tego wzrostu było niższe niż to planowano. Niższy też był skup żywca wieprzowego. Poprawił się natomiast skup drobiu, mleka i jaj. Nie odnotowano wyraźnego postępu w budownictwie mieszkaniowym. Wzrosły wprawdzie obroty handlu zagranicznego, ale też nie tak, jak to planowano.

Jeśli chodzi natomiast o pieniądze, to wprawdzie przychody były w porównaniu z rokiem 1983 wyższe o 18,8 proc., ale wydatki — o 22,9 proc., to jednak podwyżka cen żywności spowodowała, że w porównaniu z grudniem 1983 roku koszty utrzymania rodzin pracowników gospodarki uspołecznionej wzrosły o 5 proc., rodzin chłopskich o przeszło 4 proc., a emerytów i rencistów o niecałe 7 proc.

GUS BADA BUDŻETY RODZINNE

i właśnie opublikował dane za miniony rok. Warto przy tym pamiętać, że dane te nie obejmują ostatnich podwyżek, a więc są nieco jakby mniej aktualne. Ale dane za 1984 rok GUS będzie mógł opublikować dopiero w 1985 roku. Tym niemniej warto zapoznać się z pewnymi tendencjami występującymi w naszym życiu, a wynikającymi z niedostatków związanych z ciągle trwającym kryzysem, z którego nie jest wcale tak łatwo się wydobyć.

W 1983 roku największe dochody na statystyczną głowę miały rodziny chłopskie — 9,7 tys. i był to w stosunku do roku 1982 wzrost o 15 procent. Chłopom-robotnikom dochody wzrosły o 8,9 tys. zł. Natomiast rodzinom emerytów i rencistów dochody wzrosły o 7,2 tys. zł. Ale to są dochody nominalne.

Jeśli chodzi o dochody realne — to zwiększyły się one minimalnie w rodzinach robotniczych, spadły o 3 proc. w rodzinach chłopskich i o 2 proc. w rodzinach emerytów i rencistów.

Nastąpiło zjawisko wzrostu dochodów lub ich spadku na skraju poszczególnych grup. I tak na przykład wśród pracowników przemysłu uspołecznionego grupa zarabiająca powyżej 12 tys. zł na członka rodziny wzrosła z 12,4 proc. do 14,2 proc., ale też grupa najniżej zarabiających, poniżej 6 tys. zł na członka rodziny, wzrosła z 16,8 proc. do 21,4 proc. Szczególnie pogorszyła się sytuacja emerytów i rencistów. W 1982 roku średnia emerytura stanowiła 50,5 proc. średniej płacy, a w 1983 roku — 47,6 proc. Nastąpiła też obniżka realnych płac w służbie zdrowia, oświacie i wychowaniu.

TELEWIZYJNY SERIAL O CARZE SYMEONIE WIELKIM

wywołał w Bułgarii wiele sprzeciwów. Niepochlebne opinie o tym serialu wyrażają krytycy filmowi, historycy oraz widzowie. Luben Morczew — reżyser serialu — przedstawił cara Symeona jako uwodziciela, awanturnika i sprawcę dworskich skandali. Autorzy krytycznych opinii o serialu podkreślają, że car Symeon Wielki w X wieku uczynił wiele dla rozwoju kultury i państwa bułgarskiego. Film Lubena Morczewa uznano za mierny, który nie przynosi chwały bułgarskiej kinematografii.

NIE MA URODZAJU ŚLEDZI

— twierdzi „Kurier Polski", który przeprowadził w tej sprawie dokładne śledztwo. Jedynie kołobrzeska „Barka" łowiła do niedawna po 250 ton śledzia dziennie, ale już zeszła do 150 ton i połów będzie się obniżał. Rybacy uważają, że obecnie łowiony śledź nie ma większej wartości. Podobnie jak śledź łowiony latem. Dopiero śledź jesienny jest tłusty i smaczny. Ale na to trzeba poczekać do jesieni. Inne przedsiębiorstwa rybackie łowiły minimalne ilości śledzi. Wszystko jednak, co rybacy złowią, zostaje rozchwytane przez handel. Tylko, gdzie to się podziewa. Smakoszom pozostaje jedynie marzyć o śledziu marynowanym, w śmietanie czy w oliwie.

CZY NA WSI MOŻE BYĆ KABARET!

Może! I to jeszcze jaki! Ujawniły to I Ogólnopolskie Spotkania Kabaretów Wiejskich, które odbyły się niedawno w Zawoi. Śmiano się nie z „miastowych", ale ze wsi i z tego, co się dzieje wokół rolnictwa. Wiejskie kabarety przedstawiły dość zróżnicowany i ciekawy program. Niektóre działają już przez wiele lat. Na ogół korzystają z własnych tekstów. Tylko nieliczne nawiązują do wiejskiej tradycji.

A mogło się wydawać, że kabaret musi funkcjonować jedynie w stolicy z małym wyjątkiem dla... Poznania.

SAMOLOTEM BLIŻEJ, ALE DROŻEJ

— tak wynika z oferty, jaką prezentują w Krakowie. Można tam sobie wynająć samolot albo helikopter. Godzina lotu „Anem" — który zabiera 12 osob — kosztuje 20 tys. zł. Z Krakowa do Warszawy i z Warszawy do Krakowa kosztuje 65 tys. zł. Natomiast lot do Pragi i z powrotem kosztuje 110 tys. zł, a do Wiednia — 150 tys. zł.

Kto z tych usług będzie korzystał?

Niektórzy narzekali, że w Łodzi nie ma lotniska. I bardzo dobrze, że nie ma. Nie mamy też takich zmartwień, jakie będzie miał teraz Kraków.

SKANDALE NA STADIONACH

nie należą do rzadkości. Ale to, co ostatnio zaprezentowała widownia z Krakowa i w Krakowie, nie mieści się w głowie. Piosenki o ŁKS jako żydowskim klubie i okrzyki: „Jude do pieca!". Trudno jest też uważać, że młodzi ludzie sami to wymyślili. Więc kto i po co im coś takiego podsunął? Warto byłoby znaleźć odpowiedź na to pytanie.

A. B. SEKATOR

Konsultować – nie konsultować? Konsultować!

Kiedy mam wątpliwości jak napisać to czy inne rzadko używane słowo, wówczas zerkam do słownika. Gdy wątpliwości są natury poważniejszej, np. politycznej, wtedy sięgam do lektury klasyków lub dokumentów partyjnych. W tym przypadku „zarządziłem" sobie kolejne repetytorium z Uchwały IX Nadzwyczajnego Zjazdu partii. W rozdziale trzecim tegoż dokumentu, poświęconym trosce o rozwój socjalistycznej demokracji znalazłem następujący fragment:

„Instancje i organizacje PZPR muszą stać na straży rozwoju demokracji socjalistycznej, jej celów i zasad, zapewnić jej efektywność społeczną. Powinno to znajdować wyraz: (...) — w dbałości o stały wpływ opinii społecznej na działalność organów władzy, w rozwoju krytyki i kontroli społecznej, stałym stosowaniu metod rzeczywistych konsultacji społecznych, wnikliwym reagowaniu na zgłoszone wnioski i postulaty..."

W zasadzie więc wątpliwości być nie powinno. Problem został rozstrzygnięty jasno, jednoznacznie. Praktyka społeczna pokazuje (jak to często bywa w relacji teoria — życie), że wątpliwości istnieją. Rozterki te rodzą się głównie w kręgu administracyjnego aparatu władzy, choć nie omijają także ludzi zarządzających gospodarką, tęskniących za powrotem do technokratyczno-urzędniczego stylu kierowania podmiotami i przedmiotami procesów produkcyjnych. Powody tego rodzaju konserwatyzmu rodzą się z przyczyny oporu wobec wszystkiego co nowe, a na dodatek trudne, jak i z tzw. doświadczenia. To ostatnie podpowiada oponentom konsultacji wątpliwości tego rodzaju, jak: co konsultować, znaczy się jakie sprawy, te ważne, istotne, a może lepiej drugorzędne, aby wilk był syty i owca cała? Jak konsultować? Niby z kim? (w domyśle: czy „oni" się do tego nadają, czy już dorośli?), No, i najważniejsze, po co? Wielu przy tym dodaje: „skoro ludzie nie powiedzą nam nic innego, niewiele ponad to, co sami wiemy, a co uwzględnić w decyzjach jest albo niemożliwe (pozornie — przyp. aut.), albo niewygodne, to po co zaczynać tę rozmowę?"

A w życiu, jak w tej piosence: „Mija czas i nic! Mija czas"...

Aby nie być posądzonym o gołosłowność czy złośliwość pragnę odesłać zainteresowanych do informacji o stanie realizacji wniosków zgłoszonych podczas IX Zjazdu. W dokumencie tym potwierdza się, iż dotąd nie przygotowano ustawy o Trybunale Konstytucyjnym, kontroli społecznej oraz interesującym nas — systemie konsultacji społecznych. Za powody dość znacznej opieszałości podaje się to, iż przygotowanie tych ustaw „wymaga czasu", a ponadto uwarunkowane jest „procedurą legislacyjną oraz troską o jakość przygotowywanych rozwiązań". Nie mam powodów, aby odpierać argumenty autorów tegoż dokumentu, podważać szczerość ich intencji. Jednakże zadaję sobie pytanie: czy u nas aby przygotować coś dobrze, prawidłowo zrealizować wniosek najwyższego gremium partii, to koniecznie wszystko musi „rodzić się w bólach, z oporami".

Być może nie upierałbym się tak przy swoim, gdyby nie znajomość naszej najnowszej historii. Ileż to razy w Polsce wszystko kończyło się na nadziei, dobrych chęciach i wspaniałych uchwałach? Ileż to razy społeczny „entuzjazm dla sprawy", spalał się jak przysłowiowy słomiany ogień, dogasał na barierach biurokratycznych niemożliwości? A potem tliło się w ludziach już tylko rozgoryczenie, gasła chęć i ochota na jakiekolwiek działanie; a pustkę wypełniały: sceptycyzm, obojętność, nihilizm?...

Przypomnijmy, iż problem, o którym dziś dyskutujemy, nie jest nowy. Po raz pierwszy z ostrością podobną atmosferze posierpniowej sprawa potrzeby wsłuchiwania się władzy w opinie społeczne, potrzeba rozważania racji zawartych w głosach obywatelskich, pojawiła się na drugim z czterech zakrętów, czyli w 1956 roku. Na VIII Plenum KC PZPR opowiedziano się jednogłośnie za rozszerzaniem ludowładztwa, w tym również konsultowania ze społeczeństwem decyzji o randze strategicznej. Mówiono też wiele o dopuszczeniu klasy robotniczej do zarządzania, kierowania sprawami państwa, regionu i zakładu. Przestrzegano przed lekceważeniem opinii społecznej, szczególnie klasy robotniczej.

Wyciągając „nauki z Poznania", Władysław Gomułka stwierdził wówczas, iż jedną z przyczyn wydarzeń czerwcowych i całego kryzysu 1956 roku było lekceważenie, ignorowanie argumentów i opinii społeczeństwa, zastępowanie dialogu z klasą robotniczą metodami biurokracji i nakazu. Ludzie pracy wówczas — jak mówił nowo wybrany I sekretarz KC — *„Oczekiwali odpowiedzi na dziesiątki pytań, które postawili publicznie na zebraniach (...). Należało bez kunktatorstwa uznawać słuszne pretensje robotników, należało powiedzieć, co jest dziś możliwe, a co niemożliwe do zrealizowania, należało powiedzieć prawdę o dniu wczorajszym i dzisiejszym (...). Utrata kredytu zaufania klasy robotniczej oznacza utratę moralnej podstawy sprawowania władzy. Rządzić krajem można nawet w takich warunkach. Tylko rządy wówczas będą złe. Muszą się bowiem opierać na biurokracji, na łamaniu praworządności, na przemocy".*

Przełom grudniowy przyniósł także obietnicę władzy, że będzie liczyła się z wolą społeczeństwa, że będzie poddawała pod społeczną konsultację strategiczne decyzje polityczne, społeczne i gospodarcze, szczególnie z klasą robotniczą. Skończyło się na obopólnych, uroczystych obietnicach. Stoczniowcy zapewniali: Pomożemy! A Gierek — że władza, kierownictwo partyjne nigdy nie oderwą się już od swojej klasowej podstawy. Wkrótce w metodzie sprawowania władzy wzięły jednak górę elementy technokratyczno-biurokratyczne, nieudolnie powielane sposoby „żywcem ściągnięte" z systemów zachodnich. Tylko jak to zwykle bywa „ściągawka" nie zastąpi na dłuższą metę braku wiedzy czy umiejętności. Odwracanie się aparatu władzy plecami do opinii społecznej, udawanie głuchego w odpowiedzi na rzeczowe argumenty drugiej strony, strofowanie krytykujących i etykietowanie ich, wykrzykiwanie w najlepszym razie od malkontentów, wszystko to, cała praktyka „odrywania się władzy od klasowej podstawy rządzenia", zostało jednoznacznie, negatywnie ocenione na IX Zjeździe.

Ale ocenami, podobnie jak uchwałami, chociażby najlepszymi niewiele można osiągnąć. Decyduje praktyka społeczna. Czy łatwo jest rządzić po nowemu? Na pewno nie, ale czy o to chodzi, aby było „łatwo, prosto i przyjemnie"? Demokracja socjalistyczna wielu ciąży, bo jest trudną sztuką sprawowania władzy, ale lepszą od dotychczasowych, skuteczniejszą, a w naszych posierpniowych warunkach — jedyną z możliwych. Ponadto, jeśli sobie dobrze przypomnam, to „umówiliśmy się", obiecaliśmy to sobie, władza i społeczeństwo, że nie będzie powrotów do złych praktyk przeszłości, że na powtórki z historii już nas nie stać!

Sądzę, iż system konsultacji społecznych, dobrze opracowany i prawidłowo, konsekwentnie realizowany, mógłby być jednym z gwarantów uniknięcia niebezpieczeństwa kolejnego „zakrętu".

Konsultacje społeczne potrzebne są, wręcz niezbędne zarówno władzy jak i społeczeństwu. Przypomnę raz jeszcze stosowny fragment Uchwały zjazdowej:

„Siła państwa i autorytet jego aparatu są możliwe jedynie w warunkach codziennej praktyki rzeczywistego ludowładztwa, samorządności, jawności życia publicznego i społecznej kontroli nad wszystkimi jego dziedzinami".

Autorytet władzy budowany może być przymusem i przekonaniem. W każdym systemie rządów niezbędny jest optymalny zakres przymusu, realizowanego w formie stosownej do zasad ustrojowych danego państwa. Jednakże każda władza zabiegać będzie o społeczną akceptację, przekonanie o słuszności jej działań, poparcie. Uzyskać to może za pośrednictwem decyzji z państwowego punktu widzenia pożądanych, a ze społecznego — oczekiwanych. Społeczeństwo winno zostać przekonane o słuszności, niezbędności decyzji pożądanych, a władza musi być świadoma społecznych oczekiwań, musi znać ich źródła. Bez dialogu jeszcze nikt nikogo nie przekonał, ani nie poznał.

W konsultacjach społecznych upatruję jedną z instytucjonalnych, ustawowych form obopólnego zobowiązania do systematycznego prowadzenia takiego dialogu.

Argumenty za wprowadzeniem do naszej praktyki politycznej zasady obowiązkowych konsultacji społecznych są niczym innym jak realizacją tezy o potrzebie systematycznego rozszerzania ludowładztwa. Konsultacje winny służyć wzbogacaniu form demokracji socjalistycznej, potwierdzaniu w praktyce zasady rzeczywistej podmiotowej roli narodu, a szczególnie klasy robotniczej w systemie władzy socjalistycznej.

Tu i ówdzie słyszy się słuszne skądinąd narzekania na niski poziom kultury politycznej społeczeństwa, różnych jego grup. Jest w tym wiele prawdy. Nie wystarcza jednak opisywać fakty, konstatować zjawiska, trzeba chcieć zmieniać niekorzystny stan rzeczy. Pamiętać przy tym należy, że kultury w ogóle, a szczególnie zaś politycznej, nie sposób nauczyć się jedynie z podręcznika. Praktyka w tym przypadku jest wręcz niezbędna, a na aktualnym etapie rozwoju — możliwa.

KAROL JÓZEF STRYJSKI

Nie mnóżmy bytów ponad potrzebę

Uznając konstytucyjną zasadę konsultacji społecznych za jeden z istotnych atrybutów ludowładztwa, zmuszony jestem zdeklarować się jako zdecydowany przeciwnik tego, co z nią chcą zrobić rozmaici politycy doby obecnej w naszym kraju, a przede wszystkim autorzy, sponsorzy i propagandyści opracowanego w strukturach PRON projektu przyszłej ustawy o konsultacjach, dyskusjach publicznych i referendach.

Aby protest ów uzasadnić, muszę najpierw sformułować zarzut: otóż moim zdaniem dotychczasowy kierunek dyskusji i konkretnych prac nad systemem konsultacji społecznych zmierza do uczynienia zeń panaceum antykryzysowego. Stwierdza się powszechnie, że praprzyczyną kryzysów społecznych i ekonomicznych, a przede wszystkim politycznych w Polsce jest alienacja władzy, zerwanie więzi władzy ze społeczeństwem, brak dialogu i kontroli. Dlatego też uważa się, że udział obywateli w praktycznym podejmowaniu decyzji (nie tylko w administrowaniu, ale i w stanowieniu praw) o charakterze władczym może wyeliminować to źródło kryzysów. Społeczne uczestnictwo w decyzjach władzy ma się realizować właśnie poprzez rozbudowany system społecznych konsultacji — od dyskusji publicznych o zasięgu lokalnym, samorządowym do powszechnego referendum. Konsultacje zatem stanowiłyby barierę, czy też jedną z barier, ale o kluczowym znaczeniu, przeciw nawrotom sytuacji kryzysowych, w których „głos ludu" ujawnia się w sposób gwałtowny, w formie pozaprawnego protestu.

Tymczasem ani diagnoza nie jest tak oczywista, jakby się wydawało, ani recepta nie może być tak prosta, jak ta, którą — poprzez system konsultacji społecznych — zaproponowano...

Popatrzmy na kwestię z punktu widzenia konstytucyjnych zasad ustrojowych i rozważmy miejsce zasady konsultacji społecznych w sformalizowanej przez nadrzędne normy prawne strukturze ludowładztwa. W Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej władza należy do ludu pracującego miast i wsi. Oznacza to, że suwerenem jest naród, a swoją władzę realizuje on poprzez system demokracji przedstawicielskiej, wybierając w określony przez siebie (w konstytucji) sposób swych delegatów do ustanowionych organów władzy, powierzając im pod pewnymi warunkami (z prawem odwołania i bieżącej kontroli) sprawowanie pełni tejże władzy na czas ściśle określony.

(Przypominam te fundamentalne zasady funkcjonowania naszego państwa nie bez powodu; zbyt często bowiem przechodzi się nad nimi do porządku, nie uświadamiając sobie rozległych konsekwencji ich funkcjonowania. Na ogół bowiem więcej uwagi — skądinąd zapewne nie bez powodu — poświęca się rozmaitym praktycznym, zwłaszcza politycznym uwarunkowaniom systemu władzy, uwarunkowaniom związanym z funkcjonowaniem partii i stronnictw politycznych, czy z postulatem i bytem tzw. pluralizmu).

A zatem istota władzy ludu praktycznie jawi się w postaci demokracji pośredniej, czyli systemu przedstawicielskiego. System ten stanowi osnowę organizacji państwa jako formy egzystowania narodu. Wszelako dla pełnego zrealizowania ścisłego, stałego, dokonywanego na bieżąco współudziału najszerszych mas ludowych w zarządzaniu państwem konstytucja przewiduje pewne formy demokracji bezpośredniej (patrz: art. 9 Konstytucji PRL). W tych ramach doskonale mieści się nowa na naszym gruncie forma konsultacji społecznych (wyłączywszy może tylko takie referendum, które stanowiłoby sposób tworzenia powszechnie obowiązujących praw).

Nie może jednak być żadnych wątpliwości co do tego, która z form władzy ludu ma znaczenie decydujące, która jest nadrzędna. Nadrzędny jest system przedstawicielski — w naszych konkretnych rozwiązaniach ustrojowych wsparty pomocniczymi elementami demokracji bezpośredniej, w tym także możliwością konsultacji.

Trzeba pamiętać, że z natury rzeczy struktury i formy demokracji pośredniej pozostają w opozycji do rozwiązań ustrojowych demokracji bezpośredniej. Model demokracji może być jednym z członów alternatywy — albo parlament, albo forum obywatelskie z nieustającym plebiscytem. W praktyce wszelako możliwe jest funkcjonowanie w koegzystencji obu tych elementów, zwłaszcza w tak rozsądnych granicach, jak ustanowione w naszej konstytucji. Dopiero zachwianie tych proporcji może spowodować fatalne skutki w praktyce politycznej...

W tym miejscu wróćmy na chwilę do problemu tzw. przyczyn kryzysu.

Źródłem władzy ani na chwilę nie przestała być suwerenność konstytucyjna narodu. Nie można skutecznie przeprowadzić dowodu, że lud komuś lub czemuś władzę tę oddał, albo że przez kogoś bądź coś został pozbawiony władzy w całości, czy w jakiejś części. Przyjąć zatem należy, że źródło kryzysu może tkwić w systemie sprawowania tej władzy, a więc w demokracji przedstawicielskiej. Nie ulega wątpliwości, że rozmaite słabości tego systemu, wręcz doprowadzające w niektórych okresach do atrofii, paraliżu funkcji władczych parlamentu, sumując się, wywoływały nieodparte wrażenie dekoracyjności tego najwyższego de nomine organu władzy.

Dlaczego więc Sejm nie był organem władzy de facto? Powodów jest sporo, z których jeden wydaje się być decydujący. Parlament nie składa się ze zatomizowanych, obcych sobie jednostek, wybranych przez równie podzielonych obywateli — reprezentanci narodu są jednocześnie reprezentantami określonych sił politycznych: partii, stronnictw, grup i organizacji społecznych. Koalicja tych sił politycznych, które władzę zdobyły i utrzymują — w interesie własnych klas społecznych — nie była do niedawna żywotnie zainteresowana w umacnianiu i nadawaniu realnego, namacalnego znaczenia systemowi przedstawicielskiemu; przeczą temu wprawdzie słowne, propagandowe deklaracje, ale praktyka potwierdza...

Dlaczego tak się działo? Otóż Sejm z natury rzeczy nie był nigdy i być nie może najwyższym sztabowym centrum operacyjno-decyzyjnym. Tę rolę w państwie pełni rząd i polityczne kierownictwa partii i stronnictw będących w koalicji. Władza Sejmu ma charakter strategiczny — poprzez stanowienie praw — i gwarancyjno-kontrolny — poprzez uprawnienia do bieżącego nadzoru i udzielania absolutorium dla administracji. Nie można ukrywać, że na ogół horyzonty „świadomościowe" kolejnych ekip władzy politycznej i wykonawczej w Polsce nie sięgały owego wymiaru strategicznego, najczęściej z braku korelacji, czy właściwych proporcji między koniecznym realizmem politycznym a rzetelną wiernością (nie tylko werbalną) marksistowskiej doktrynie ustrojowej. W takich warunkach niejako naturalna staje się dominacja arbitralności nad mechanizmami demokracji przedstawicielskiej.

Właściwa rola Sejmu objawiła się i zaczęła nabierać politycznego znaczenia w najostrzejszej fazie kryzysu, w trakcie trudnej, wielopłaszczyznowej walki politycznej. I nie był to gest aparatu władzy polityczno-administracyjnej — stało się tak z woli samego Sejmu z jednej strony, z drugiej zaś — z jasno, dobitnie wyrażonej w Uchwale IX Nadzwyczajnego Zjazdu woli kierowniczej siły politycznej w państwie. Faktycznie znaczenie Sejmu wcale nie zmalało w okresie stanu wojennego, choć mogłoby z oczywistych powodów, co oznacza, że mechanizmy demokratyzacji w oparciu o system przedstawicielski nabierają trwałego ustrojowego znaczenia.

Należałoby więc dziś uczynić wszystko, aby nadal doskonalić i wzmacniać ów system — nie tylko na szczeblu całego państwa, ale w ogniwach terenowych. Właśnie wybory, a jesteśmy właśnie w okresie wyborów do rad narodowych, stanowią decydujący o dalszych losach demokracji przedstawicielskiej czynnik. Staranność i odpowiedzialność w wyborze własnych przedstawicieli do organów władzy jest, jak się wydaje, najlepszą gwarancją; chcemy mieć dobrą władzę — wybierzmy ją sobie sami.

Deklarując się jako zwolennik szerokiego sejmo- i radowładztwa, upatruję w tak szeroko pojmowanych konsultacjach społecznych, do tego sformalizowanych przez ustawę, istotnego czynnika ograniczającego demokrację przedstawicielską. Mogącego nawet w skrajnych przypadkach doprowadzić do jej swoistego ubezwłasnowolnienia...

Zresztą spójrzmy na problem z pozycji obywatelskiej. Oto jestem obywatelem odpowiedzialnym, spokojnym i zdyscyplinowanym, ufającym władzy legalistą. Mam tylko jedną wadę: jestem obywatelem leniwym...

Gotów jestem raz na jakiś czas (powiedzmy — co cztery lata, może nieco rzadziej) dołożyć maksymalnej staranności, wykazać przenikliwość i upór, zmobilizować całą chytrość, wszystkie umiejętności dyskusji i zadawania pytań niezadawalnych, talenty perswazyjne i agitatorskie — po to, by **wybrać**, wybrać najlepszych, w mym przekonaniu, przedstawicieli do władzy.

A ponieważ jestem obywatelem leniwym, oczekuję od mych przedstawicieli, posłów i radnych, że przez czas swojej kadencji nie będą mnie absorbować rządzeniem, nie będą zadawać pytań. Chcę mieć do nich zaufanie (nawet do tych, których skreśliłem w głosowaniu), chcę wierzyć, że podejmują decyzje zgodnie z moim interesem, a ponieważ nie jestem egoistą, nie będę powątpiewać w szczerość ich intencji, wiedzę i dobrą wolę, gdy któraś z tych decyzji akurat mi się nie spodoba. Zresztą ufam, że w takim razie moi przedstawiciele we władzy udzielą mi odpowiedzi na ewentualne pytania, że będą umieli argumentować i bronić tego, co uchwalili. Oczywiście nigdy nie uchylę się od odpowiedzi na konkretne pytanie mego przedstawiciela, jeśli z naprawdę ważnych powodów zechce poznać moje zdanie w jakiejś konkretnej sprawie. Ale wolałbym, aby mnie zbyt często nie absorbował wątpliwościami wypływającymi z praktycznych implikacji sprawowania władzy. W zamian za to gotów jestem wraz z nim dzielić ryzyko i odpowiedzialność jako rzetelny, świadom swych praw i obowiązków wyborca. Zaś wszystkie decyzje będę wykonywał bez sprzeciwu.

Mogę przypuszczać, że taka postawa nie jest odosobniona...

Nie ulega dla mnie wątpliwości, że proponowana ustawa o konsultacjach jest klasycznym objawem tzw. fideizmu prawniczego — polegającego na wierze w to, iż samo stanowienie mądrych, słusznych i postępowych praw zmieni stosunki społeczne. Toteż projekt ustawy przewiduje bardzo skomplikowane unormowania — poczynając od kilku różnych rodzajów konsultacji, poprzez rozliczne obowiązki organu przeprowadzającego konsultację, skutki i gwarancje rzetelności konsultacji, aż po czas trwania dyskusji publicznej (minimum cztery tygodnie — dla ciekawości).

Tymczasem istota sprawy sprowadza się do wątpliwości czy konsultacje są bardziej zjawiskiem politycznym czy też prawnym. Uważam, że konsultacje mają wyraźny charakter polityczny, natomiast kształtu prawnego mieć w tak dokładny sposób zreglamentowanego nie powinny. Konsultacje można przeprowadzać i w dzisiejszym stanie porządku prawnego, co zresztą udowodniono — rzeczą decydującą nie jest i być nie może oblig ustawowy, tylko wola organu władzy czy administracji, który chce o coś zapytać obywateli i potem rzetelnie skorzystać z ujawnionych opinii. A sformalizowane procedury i obowiązki konsultowania są znakomitą pokusą dla fikcji i manipulacji — mimo prawnych gwarancji.

Problem polega też i na tym, o co chcemy pytać — o opinię czy o radę? Jeżeli o radę, to lepiej dać sobie spokój — byłoby to nad wyraz skuteczne szamaństwo: zaklinanie deszczu, który objawia się w postaci gradobicia i burzy z piorunami. Każdy bowiem pytany o radę życzy sobie, by postąpiono zgodnie z jego radą, życzy sobie zatem kontroli nad podjęciem i wykonaniem konsultowanej decyzji. W prostej linii grozi to obezwładnieniem organów władzy czy administracji.

Wiele jeszcze innych względów przemawia za tym, że należy więcej uwagi poświęcić doskonaleniu systemu przedstawicielskiego. A do kwestii społecznych należy raczej podchodzić wzorem jeży uprawiających miłość — ostrożnie!

TOMASZ SAS

BAZYLI BIAŁOKOZOWICZ

2

Michał Szołochow

W takim podejściu Szołochowa do tworzywa literackiego w całej pełni ujawniała się określona prawidłowość charakterystyczna dla rzeczywiście wielkiego talentu. Lew Tołstoj, np., początkowo zamierzał napisać powieść o dekabrystach, czyli o wydarzeniach związanych z rokiem 1825, rozpoczął pracę, ale wyczuwał wyraźny niedosyt społecznej, psychologicznej i etycznej motywacji ich czynu zbrojnego. Sięgnął więc do genezy idei dekabrystów, do pobytu wojsk rosyjskich w Paryżu w 1815 r. i do wojny 1812 roku. Powstawał więc zupełnie nowy utwór, który znamy obecnie jako genialną powieść *Wojna i pokój*. Lew Tołstoj cofnął się jeszcze bardziej wstecz, do bitwy pod Austerlitz, do 1805 roku. Takie podejście autor uzasadniał następująco: *„Wstyd mi było pisać o naszym zwycięstwie nad Francją Bonapartego, pomijając nasze porażki i naszą hańbę. Któż przy lekturze utworów patriotycznych o 1812 roku nie odczuwał tego ukrytego, ale nieprzyjemnego uczucia wstydu i niedowierzania? Jeśli przyczyna naszego zwycięstwa nie była przypadkowa, lecz wynikało ono z istoty charakteru rosyjskiego ludu i wojska, to charakter ten powinien był ujawnić się jeszcze dobitniej w okresie niepowodzeń i klęsk"*.

Podobnie więc i Szołochow w *Cichym Donie*, dążąc do pełnego ujawnienia charakteru kozackiego, przedstawiał Kozaków w najrozmaitszych sytuacjach, zarówno w okresie pokoju, jak i wojny wiążąc ich losy z wydarzeniami w całej Rosji, a więc z losami ogólnonarodowymi i prowadząc ich przez męczarnie wielkiego przetwarzania. Takie podejście było uwarunkowane Szołochowskim realizmem, realizmem jego bohaterów, który — jak to trafnie zauważył Jarosław Iwaszkiewicz — „polega także na prawdzie ich działania".

Pierwsze dwa tomy *Cichego Donu* ukazały się w 1928 roku, trzeci — 1932, czwarty — w 1940. Za całość powieści-epopei w 1941 roku pisarz otrzymuje nagrodę państwową. W przededniu Wielkiej Wojny Ojczyźnianej ZSRR, utwór ten stanowił swego rodzaju literaturę obronną.

Cichy Don przyniósł Szołochowowi olbrzymi sukces, światową sławę i międzynarodowy rozgłos. Mamy tu bowiem do czynienia z autentycznym arcydziełem. *„Jedno pewne*, — zupełnie słusznie konstatuje Wojciech Żukrowski — *że „Cichy Don" jest jedną z paru książek, które kulturalny człowiek powinien przeczytać. I co wysoki sąd o tej epice potwierdza, można do niej powracać. Ta proza ma tchnienie stepowego wiatru, niesie jak wody Donu"*.

O „CICHYM DONIE" PISANO MNÓSTWO

rozpraw i studiów, artykułów i recenzji. Badano konstrukcję utworu, jego strukturę, fabułę, jego kompozycję, język i styl, pejzaż, warstwę ideologiczną, dialektykę narodową i ogólnoludzką. Analizując poszczególne postacie powieści-epopei baczną uwagę zwrócono przede wszystkim na Grigorija Mielechowa. Wokół postaci tego właśnie bohatera, jego filozoficznych parametrów oraz roli miejsca i znaczenia całej koncepcji Szołochowskiego eposu rozgorzały namiętne dyskusje i spory. Wypowiedziano o nim, o jego losie i tragedii wiele kontrowersyjnych sądów i różnorodnych interpretacji. Powstała więc olbrzymia literatura przedmiotu, przekonywająco potwierdzająca wysoką rangę pisarstwa Szołochowa. Mamy tu bowiem rzeczywiście do czynienia z twórcą, o którym *„można mówić w nieskończoność i z różnych punktów widzenia"* — trafnie zauważa Piotr Palijewski, konstatując jednocześnie: *„Tak to jest już z dziełami sztuki, które podobnie jak życie ludzkie niosą w sobie pierwotną, podstawową wiedzę, jaką nie dysponuje maszyna, wiedzę zaprogramowaną przez rozwijającą się przyrodę. Dlatego też „Cichy Don" jest bogatszy i treściwszy od całych tomów o nim"*. Tenże badacz radziecki stanowczo stwierdza, iż prawdziwa wielkość tego genialnego arcydzieła, jakim bezsprzecznie jest *Cichy Don*, wciąż jeszcze pozostaje ukryta, niejako w cieniu i czeka na właściwą interpretację. Taki stan rzeczy Palijewski wyjaśnia następująco: „Przyczyną był pewien zbieg okoliczności: jeszcze nie przyswojono sobie najwyższych osiągnięć literatury rosyjskiej XIX i początku XX wieku, a tu nagle po Tołstoju, Dostojewskim, Czechowie, Gorkim w latach dwudziestych pojawia się *Cichy Don*. Taka koncentracja arcydzieł to przecież rzadkość. Arcydzieła pojawiają się w chwilach, kiedy trzeba ukazywać i oświetlać drogę naprzód. Ale nie zapominajmy, że *Cichy Don* został ukończony w roku 1940 i całe to doświadczenie narodu, które podjął Szołochow, przesłoniła następna wojna, także do dziś nie przyswojona w literaturze i wśród jej odbiorców. Po prostu wielkie dzieło znalazło się pomiędzy dwoma grzebieniami fali historycznej i będąc już po drugiej stronie fali, jeszcze słabo widzimy jego znaczenie. Także podejrzliwość tych, którzy starali się wybić poprzez krzykliwe formy, i cały mechanizm działania «geniuszów bez geniuszy» automatycznie przesłaniały najwyższą sztukę".

Niezmiernie ważną rzeczą w moim odczuciu jest jednak fakt, iż w ostatnich latach w badaniach naukowych nad Szołochowem w sposób wyraźny i konsekwentny postawiono sprawę artystycznego nowatorstwa jego utworów. Problem ten poruszało wielu badaczy, ale najbardziej konsekwentnie i przekonywająco koncepcję nowatorstwa Szołochowa i światowego znaczenia jego twórczości wysunął opracował i uzasadnił Piotr Palijewski. Wychodzi on z założenia, że dyscyplina prawdy, prawdy życia w twórczości Szołochowa posiada zdecydowane pierwszeństwo przed dyscypliną konstrukcji. Wyśmienita znajomość tej właśnie prawdy życia pozwoliła pisarzowi najbardziej wszechstronnie i najprawdziwiej odzwierciedlić doświadczenia rewolucji rosyjskiej, która, rozumiana jako dążenie do wspólnej prawdy, stała się jego odkryciem w literaturze i na długo określiła magistralny kierunek rozwoju literatury radzieckiej. Zdaniem Palijewskiego Szołochow wyraźnie daje do zrozumienia, że wyzbylibyśmy się swego człowieczeństwa, gdybyśmy nie walczyli o spełnienie wymogów wspólnej walki. Dlatego najlepszą odpowiedź co do istoty i sensu „ludowości" (narodności) dają właśnie dzieła autora *Cichego Donu*, przedstawiające środowisko ludu, który nigdy nie wyzbywa się poszukiwania prawdy. Do tych mas, tworzących podwaliny piramid, niejednokrotnie sięgali twórcy kultury, oczekując ich odpowiedzi, ale one milczały, ponieważ nie umiały wyrazić swoich myśli, odczuć i doznań. Natomiast w twórczości Szołochowa — akcentuje Palijewski — te właśnie masy przebudziły się i przemówiły tysiącami głosów, bynajmniej w nie mniejszym napięciu ujawniając różnorodność życia wewnętrznego, niż najbardziej oświeceni myśliciele w dziełach Rousseau, lub Lwa Tołstoja, albo ideologowie Dostojewskiego. Przy tym Szołochow — zaznacza Palijewski — uniknął ckliwości w stosunku do ludu i obrzydzenia wobec nagromadzonej w nim ciemnoty, pomiędzy którymi miotali się wielcy klasycy.

Metodę Szołochowa, wypracowaną przez literaturę rosyjską, począwszy od Puszkina, badacz radziecki określa jako *integrującą*, która nie pomija żadnej myśli pretendującej do prawdy, światopoglądu, żadnego człowieka, środowiska, kolektywu, warstwy, która pozwala im całkowicie się wypowiedzieć i sprawdza je pod względem powszechności, gdzie się zazwyczaj okazuje jak wiele jeszcze im trzeba zrozumieć. Na tej właśnie umiejętności wysłuchania argumentów każdej prawdy polega nowa jakość humanizmu wyrażonego w świecie artystycznym Szołochowa.

Piotr Palijewski wprowadził pojęcie „środka" i „centrum", którego nie należy mylić z czymś „pośrednim", bo jest właśnie „centralizującym spoiwem", czyli „podstawą", która w swojej istocie nie jest „środkiem", ale czymś zasadniczym, centralnym, czymś, co pozwala zachować jedność poprzez „prawoje dieło", czyli „słuszną sprawę". Stwierdzając, iż jedną z powtarzających się stale myśli Szołochowa jest tępienie środka, Palijewski pisze m. in.: „Oprócz środka, czyli tego, co chce się schować *między*, istnieje przecież także coś innego: to, o co właśnie walczą skrajne strony, co pragną reprezentować jak najlepiej. Ten «środek» stanowi podstawę. Nie jest to środek, lecz centrum. I owo centrum istnieje w Szołochowskim świecie". Jego bohaterowie, przebijając się ku temu „centralnemu zadaniu", dowodzą swego powiązania z prawdą szukającą jedności. W *Cichym Donie* żywioł ludu został przedstawiony jako siła konstruktywna, jako podstawa zdolna do „wchłonięcia rozdarć" i do zjednoczenia rezerwowanych „więzi czasów".

Takie właśnie postawienie sprawy umożliwiło Palijewskiemu, mądrze spożytkowującemu zdobycze z głośnych i długotrwałych dyskusji i polemik wokół postaci Grigorija Mielechowa, sformułowanie swego — dodajmy w pełni przekonywającego — poglądu na rolę i miejsce w koncepcji *Cichego Donu* tej właśnie centralnej postaci: *„Grigorij Mielechow też bowiem nie znajduje się zwyczajnie pośrodku, ani między, jakkolwiek tam również bywa. Jego charakter również stąd się wywodzi, z tych powiązań. Stałą linią tego charakteru są poszukiwania prawdy, i to nie kontemplacyjne, lecz czynne — walka o prawdę, jej obrona, bez przebierania w środkach. W każdym danym jego odruchu życiowym są różne rzeczy, i zbliżenie, i klęski, i zbieżności, wszystko, nie ma tylko uchylania się (z wyjątkiem chwil strasznego zmęczenia). Grigorij nawet formalnie nie jest pośrodku: jest albo po jednej stronie, albo po drugiej, ale za każdym razem dlatego, że ma przed sobą owo centralne zadanie"*.

Szołochowowi niejednokrotnie stawiano zarzut, że w jego eposie najbardziej nieudanymi i bezbarwnymi postaciami okazali się rewolucjoniści. Palijewski i ten pogląd poddaje zasadniczej rewizji, a swój punkt widzenia uzasadnia następująco: *„Z tradycyjnego stanowiska (również tutaj) postaci te musiały wydać się bezbarwne, ponieważ u Szołochowa widzimy zupełnie nowe w literaturze proporcje między ludem, a przywódcami, których ten lud wyłonił. Szołochow pokazał sprzeczność między wspaniałym, rewolucyjnym, przeobrażającym punktem widzenia, a jego poszczególnymi przejawami. Jego nowatorstwo jako pisarza polegało na tym, że żaden z nosicieli tego punktu widzenia nie wyczerpuje go i wydaje się nawet poniekąd ograniczony, zastygły w porównaniu z całym zakresem jego zadań"*.

Oceniając

NOWATORSTWO SZOŁOCHOWA

Palijewski w rozmowie z Janem Jarco tak mówił m. in.: *„Rewolucja przebudziła inicjatywę narodu, lecz równocześnie podniosła drzemiące bezczynnie wyobrażenia ludu ukształtowane przez tysiąclecia, wyszlifowane w doświadczeniu i sile sprawiedliwych. Naród walczył i po stronie czerwonych, i po stronie białych, lecz punkt widzenia ludu, jako całej kształtującej się nowej jednostki przejęli i reprezentowali sobą czerwoni. Niestety, mało kto z pisarzy to zrozumiał i część poczuła wstręt do narodu, do jego wartości — jak do gliny, którą należy przepalić na cegłę i wybudować następnie konstruktywistyczną budowlę. Szołochow był pierwszy, który pokazał naród — zjednoczoną masę, poszukiwanie prawdy, rewolucyjne przekształcanie świata. Z tego stanowiska Szołochow spojrzał na wszystkie siły rewolucji z niezwykłą ostrością"*.

Szczególnie wysoko Palijewski ceni umiejętność spojrzenia prawdzie w oczy, wytrzymanie do końca twardego jej spojrzenia. Zdaniem radzieckiego literaturoznawcy, pisarz, szanując i ceniąc człowieka, jednocześnie poddaje go w sprawach życia, miłości i śmierci najcięższym próbom i patrzy na niego, o ile zachodzi ku temu taka konieczność, „z tej perspektywy filozoficznej, która daje prawo do przekraczania ograniczoności w imię tego, co jest nieograniczone".

Tak się w najbardziej ogólnym i dość pobieżnym zarysie przedstawiają poglądy Palijewskiego na nowatorstwo i światowe znaczenie Szołochowa. Niektóre ujęcia mogą budzić niedosyt, jak np. interpretacja śmierci w eposie Szołochowa i stosunku do niej samego pisarza, albo niedocenianie — jak się wydaje — przy rozpatrywaniu nowatorstwa Szołochowa oddziaływania wypracowanej historycznie poprzez swój zasadniczy nurt, czyli magistralny kierunek rozwoju tradycji rosyjskiej literatury klasycznej oraz jej roli i znaczenia w kształtowaniu się autentycznego nowatorstwa autora *Cichego Donu*. Można też wskazywać na oczywiste potknięcia, jak np. w kwestii rzekomego zagadkowego milczenia najwybitniejszych pisarzy o Szołochowie. Ale bezwzględnie trzeba przyznać, że prace Piotra Palijewskiego o autorze *Cichego Donu* stanowią nowe i w pełni oryginalne słowo w bogatym dorobku szołochowoznawstwa.

Swego rodzaju wydarzeniem w dziejach literatury radzieckiej było ukazanie się pierwszej księgi *Zoranego ugoru* w 1932 roku. Unikając schematów, deklaratywności, ilustracji do z góry założonych tez, Szołochow przekonywająco ukazał skomplikowany proces przemian w psychice chłopskiej, związany z kolektywizacją rolnictwa. Utwór ten uczył pryncypialnego stawiania trudnych problemów współczesności. Dotyczył bowiem aktualnych spraw kolektywizacji lat 1929—1930. Do tematu tego powrócił Szołochow w okresie powojennym, publikując w 1960 roku drugą księgę *Zoranego ugoru*. W tym samym roku utwór ten został wyróżniony premią Leninowską.

W latach Wielkiej Wojny Ojczyźnianej Związku Radzieckiego Szołochow jako korespondent wojenny gazet „Prawda" i „Krasnaja Zwiezda", publikuje korespondencje, opowiadania, szkice i reportaże, wzywające naród radziecki do wytrwałej walki z agresorem faszystowskim. Na szczególną uwagę zasługują opowiadanie *Nauka nienawiści* (1942) i rozdziały powieści *Oni walczyli za Ojczyznę (1943—1944)*. Do tematu powyższej powieści pisarz wielokrotnie wracał po wojnie, publikując nowe rozdziały i dając w 1969 roku świeży jej wariant.

Artystycznej realizacji tematu o męstwie, wytrwałości, dzielności i humaniźmie człowieka radzieckiego dokonał autor w pięknej noweli *Los człowieka*, napisanej i opublikowanej w latach 1956—57, która odegrała przełomową rolę w radzieckiej literaturze pięknej o drugiej wojnie światowej.

DOŃSKI PATRIARCHA

Jako działacz partyjny i państwowy, jako aktywny społecznik Szołochow bardzo się przyczynił do rozkwitu swego regionu, szczególnie zaś Górnego Donu, uwiecznionego tak pięknie na kartach jego wiekopomnego dzieła. Nic też dziwnego, iż region ten ludzie powszechnie nazywają Krajem Szołochowowskim. *„I nie tylko dlatego*, — stwierdza Aleksander Suiczmiezow — *że jest to ziemia rodzinna tego wybitnego pisarza współczesnego, który tu mieszka w starej stanicy kozackiej Wieszeńska, który przewędrował i zjeździł wszystkie zakątki w dorzeczu Górnego Donu. Nazwano tę ziemię krajem Szołochowa, bowiem nie ma tu stanicy, rzeczki stepowej lub porosłego bylicą i macierzanką kurhanu, o którym nie byłoby jakiejś wzmianki w „Cichym Donie", czy „Zoranym ugorze", w „Losie człowieka", czy we wczesnych opowiadaniach pisarza"*.

Stanica Wieszeńska dzięki Szołochowowi stała się dużym ośrodkiem życia kulturalnego ZSRR. Odwiedzają ją licznie wdzięczni czytelnicy radzieccy i zagraniczni. Dzieło Szołochowa należy bowiem do światowej skarbnicy kultury i zapisało się w niej złotymi zgłoskami. *„Mówi się*, — słusznie pisze Józef Ozga-Michalski, — *że do Wieszeńskiej stanicy ludzie ciągną jak do Mekki, ale nie o to chodzi; nie chodzi o uświęcony kamień Stanicy Wieszeńskiej. I nie chodzi o zasłużoną Nagrodę Nobla, której laur od lat spoczywał na czole autora „Cichego Donu" w świadomości jego czytelników na całym świecie. Chodzi o historyczny fakt: o nobilitację duszy epoki socjalizmu, która urodziła się między dwoma brzegami Donu, a te brzegi były wtedy dwoma brzegami świata"*. Właśnie dlatego stosunek do Szołochowa i jego dzieła nie jest w świecie tak bardzo jednoznaczny. Autor *Cichego Donu* był bowiem pisarzem, którego — jak słusznie zauważył Aleksander Owczarenko — „nie można tak po prostu aprobować lub nie". Zresztą sam Szołochow zdawał sobie z tego doskonale sprawę. Nic też dziwnego, iż w 1972 r. w rozmowach z Wojciechem Pomykałą, Romanem Sroczyńskim i Barbarą Wencel, delegacją dwutygodnika „Wychowanie", powiedział, m. in.: *No cóż, — nie kochają mnie wrogowie naszego kraju z różnych imperialistycznych ośrodków. Wiedząc, że nie sposób dalej nie zauważać radzieckiej literatury starają się swoim słuchaczom i czytelnikom przedstawić jej zdeformowany, jednostronny obraz. Radziecka literatura utorowała sobie drogę do czytelników na całym świecie, ale skoro nie można jej już dziś przemilczeć, próbuje się, zwłaszcza w opracowaniach krytycznoliterackich, wypaczyć jej obraz. Dlatego też, gdzie mogą, pomijają moją twórczość i moje nazwisko. Nie zależy mi, zresztą na ich dobrej opinii. Nigdy nie zabiegałem o poklaski tych specyficznych odbiorców i reklamiarzy literatury. Zresztą, był taki czas, że nawet moją biografię czynili przedmiotem manipulacji. Gdy przed wielu laty pojechałem do Paryża, w części francuskich gazet ukazał się komunikat, że bawi w Paryżu pisarz — Mark Szołochow. Jak wiecie, na imię mam Michał. Ci, co pisali informację, też dobrze o tym wiedzieli. Michał, to typowe kozackie imię, a ja wychowałem się i urodziłem na Kozaczyźnie, z którą związane jest całe moje życie. Nadanie mi niekozackiego i nierosyjskiego imienia było swoistą próbą adaptacji mnie, mego życiorysu do potrzeb określonych ośrodków. Zresztą, jak wróciłem, moi kozaccy przyjaciele nie bez humoru potraktowali tę próbę metamorfozy narodowości i pochodzenia. Tu wiedzą dobrze, skąd pochodzę, kim jestem. I choć od tego czasu minęło wiele lat, ci, którym przeszkadzało nawet moje imię, czynią wszystko, aby pomniejszyć to, co robiłem i robię. Nie przejmuję się tym, bo świadomy jestem ich celów.*

Postępowa opinia światowa jest również doskonale świadoma dywersyjnych celów ośrodków propagandy antykomunistycznej, postponujących twórczość jednego z najwybitniejszych reprezentantów bogatej i różnorodnej literatury radzieckiej. Międzynarodowa opinia publiczna zna Szołochowa jako wybitnego pisarza-humanistę i konsekwentnego działacza ruchu obrońców pokoju. Należy podkreślić, iż już w 1937 roku Szołochow brał udział w światowym kongresie w obronie kultury w Hiszpanii i Francji. W 1948 roku uczestniczył w Kongresie Intelektualistów we Wrocławiu. Był też członkiem Radzieckiego i Światowego Komitetu Obrońców Pokoju. Manifestacja uroku człowieka w twórczości autora *Cichego Donu*, obrona jego godności i kultury, konsekwentna walka o pełne prawo do pokoju i twórczej pokojowej pracy zyskały Szołochowowi powszechną sympatię postępowej opinii publicznej. Głosy tej właśnie opinii spowodowały, iż Szołochow w 1965 roku otrzymał Nagrodę Nobla za całokształt twórczości ze szczególnym wyróżnieniem *Cichego Donu*.

Twórczość Szołochowa jest również bardzo popularna, znana i ceniona w Polsce, co też w całej pełni potwierdził konkurs czytelniczy „Dziennika Ludowego" w 1956 roku poprzez przyznanie autorowi *Zoranego ugoru* nagrody Złotego Kłosa.

Dowodem uznania roli, znaczenia i rangi Szołochowa w literaturze radzieckiej i światowej są liczne odznaczenia, członkostwa honorowe Akademii Nauk i doktoraty *honoris causa* najstarszych uniwersytetów europejskich. W 1939 r. wybrano Szołochowa członkiem Akademii Nauk ZSRR, a w 1965 — Serbskiej Akademii Nauki i Sztuki w Jugosławii. Był doktorem *honoris causa* uniwersytetów w Saint Andrews, Lipsku i Rostowie nad Donem. W 1967 roku nadano mu tytuł Bohatera Pracy Socjalistycznej ZSRR. *Z okazji 70 rocznicy urodzin odznaczono pisarza radzieckim Orderem Lenina, bułgarskim* — Georgi Dymitrowa i mongolskim — Suche-Batora.

Tradycja i twórcze inspiracje Szołochowa — wielkiego pisarza-humanisty, zaangażowanego w najważniejsze sprawy swego narodu i uwrażliwionego na los człowieka w ojczyźnie, odważnie spoglądającego w oczy surowej prawdzie — są żywe we współczesnej literaturze radzieckiej. W tej to właśnie literaturze w centrum uwagi staje człowiek nowego świata, zwycięskiego świata socjalizmu i jego złożone problemy. Literatura ta, kontynuując chlubne tradycje, śmiało podejmuje problemy związane zarówno z drugą wojną światową, jak i ze współczesną tematyką społeczno-obyczajową, a także niezmiernie istotny i doniosły temat moralnych konsekwencji rewolucji naukowo-technicznej. Szołochow zaś chlubnie patronował tej wysoce odpowiedzialnej i patriotycznie zaangażowanej literaturze radzieckiej. Cenią to bardzo wysoko współcześni twórcy kultury, czemu tak dobitny wyraz dał Wasilij Szukszyn w rozmowie z bułgarskim dziennikarzem Spasem Popowem:

Szołochow zaraził mnie swoim stosunkiem do życia. Mieszka ten mędrzec w Wieszeńskiej i trzyma się z dala od całej tej naszej codziennej karuzeli... Dzień po dniu staramy się tylko, by nic się nam nie wymknęło. A wieczorem, kiedy zamyśli się człek, co się wydarzyło w ciągu dnia, jaki ślad po sobie pozostawił, okazuje się, że nic. Życie potoczyło się dalej. Jeszcze jeden dzień przesunął się koło mnie. Przesuwamy się tak obok najważniejszych w życiu rzeczy, nie umiemy spokojnie myśleć i pracować. To nie moje własne odkrycie, lecz myśl starożytnych. Jej zaprzeczeniem jest życie Szołochowa. Oto najważniejsza rzecz, jakiej się dowiedziałem w jego domu. Trzeba pracować! I pożegnać się z całym tym nawałem zajęć — z filmem, sztukami, aktorstwem, scenariuszami itp. Napiszę z dziesięć opowiadań więcej i pozostanie kapitał na całe życie... Ale napisać je, to jeszcze mało — ważne jest, żeby napisane były na wysokim poziomie artystycznym. Szołochow to mędrzec. I uroczy człowiek. Okazało się, że zna mnie lepiej, niż ja jego...

Należy więc z całego serca życzyć współczesnej literaturze radzieckiej więcej znakomitych arcydzieł literackich o narodowych i zarazem ogólnoludzkich wymiarach, kontynuujących godnie i twórczo nowatorskie zdobycze autora *Cichego Donu*.

„KURIER WIECZORNY",
PONIEDZIAŁEK, 28 KWIETNIA 1924 R.

Intronizacja złotego

Około godziny dziewiątej rano tłumy publiczności poczęły napływać do katedry św. Stanisława Kostki, aby wziąć udział w zapowiedzianym uroczystym nabożeństwie z okazji otwarcia Banku Polskiego i wprowadzenia w obieg nowej złotej waluty polskiej.

O godzinie dziewiątej zjawili się w katedrze przedstawiciele władz miejscowych, zajmując miejsca w prezbiterium. Na nabożeństwo przybyli: prezes sądu okręgowego p. Kamiński, dowódca O.K. gen. Majewski wraz ze swoim zastępcą gen. Pogorzelskim, dyrektor izby skarbowej p. Towarnicki, kurator okręgu szkolnego p. Jarosz oraz szereg wyższych urzędników państwowych.

W zastępstwie p. wojewody Rembowskiego, który zmuszony był w sprawach urzędowych wyjechać do Warszawy, zjawiła się delegacja województwa z pp. Toleckim i inż. Wojciechowskim na czele.

Licznie zjawili się również przedstawiciele przemysłu łódzkiego. Obecni byli między innymi pp. Barciński, Kernbaum, Pawłowski.

Sfery bankowe reprezentował dyr. Szulborski.

GRATULACJE

Gdy w prezbiterium zjawił się dotychczasowy dyrektor łódzkiego oddziału PKKP, a obecnie dyrektor łódzkiego oddziału Banku Polskiego p. Czerlunczakiewicz w towarzystwie wicedyrektora Ćwierciakiewicza, wszyscy obecni złożyli mu życzenia z okazji otwarcia Banku Polskiego i objęcia przezeń kierownictwa oddziału łódzkiego, jednego z największych jakie Bank Polski posiada na prowincji.

UROCZYSTE NABOŻEŃSTWO W KATEDRZE.

Uroczystą mszę św. celebrował w asystencji licznego duchowieństwa J.E. ks. biskup Tymieniecki.

Po mszy św. ks. biskup wygłosił podniosłe okolicznościowe przemówienie, którego zebrani przedstawiciele władz i świata gospodarczego wysłuchali stojąc. W przemówieniu tym ks. biskup podkreślił, że Polska po odzyskaniu niepodległości i po odniesieniu zwycięstwa nad wrogiem zewnętrznym, który zalał jej ziemie, w dniu dzisiejszym święci nowy olbrzymi tryumf: Wytężoną pracą narodu i przy ofiarnym kierownictwie mężów, stojących u steru władzy w zadziwiająco krótkim czasie zdołała pokonać nieprzezwyciężone trudności gospodarcze i finansowe, powstrzymała upadek swej waluty i oto dziś, zapewniwszy jej zdrowie i silne podstawy, wprowadza w obieg nowy pieniądz, który pozwoli na ostateczne uporządkowanie nie tylko skarbu państwa, ale i stosunków materialnych całej ludności.

Dzień dzisiejszy, mówił ks. biskup, jest dniem prawdziwego tryumfu i przełomowym dniem w naszym niezależnym życiu państwowym. Polska żywotnością swoją wprowadza w zdumienie świat cały. Dowodzi bowiem, że nie tylko w czynie orężnym, ale i w pokojowej, twórczej pracy potrafi skupić wysiłek całego narodu i pokonać największe trudności, jakie tamować chcą jej rozwój i rozkwit.

Po nabożeństwie odśpiewano Te Deum.

W nabożeństwie wzięły udział tłumy publiczności. Nawy katedry św. Stanisława po brzegi wypełnione były przedstawicielami wszystkich warstw miejscowego społeczeństwa. Patrząc na zgromadzone w katedrze tłumy, widziało się, że dzieło naprawy skarbu znajduje żywy oddźwięk we wszystkich sferach i że cała ludność dobrze zdaje sobie sprawę z ważności i doniosłości przełomowej dzisiejszego dnia.

Różne uczucia malowały się na twarzach zebranych. Radość i wzruszenie na twarzach tych, którzy najbardziej ucierpieli przez złą walutę, z których spadek marki wyssał wszelkie zasoby materialne i posiadane oszczędności i których zarobki, otrzymywane za ciężką pracę, topniały przez noc, nie dając im możności zabezpieczenia sobie najskromniejszej nawet egzystencji, ani pamiętania o niepewnym jutrze.

Widoczna troska malowała się w oczach przedstawicieli świata przemysłowego, który w okresie słabej i niepewnej waluty znajdował korzystne warunki dla swego rozwoju, a dzisiaj niepewny jest jutra i nową ciężką pracą prawie od podstaw przebudowywać musi plany swej dalszej działalności.

OTWARCIE ŁÓDZKIEGO ODDZIAŁU BANKU POLSKIEGO

O godzinie 10.30 otwarto dla publiczności podwoje łódzkiego oddziału Banku Polskiego i kasy z przygotowywanymi na dzisiejsze wypłaty stosami nowych banknotów złotowych.

Poznikały wszędzie tak popularne inicjały „PKKP", a zamiast nich widnieje napis „Bank Polski oddział łódzki".

Na zewnątrz nic się nie zmieniło. Urzędują ci sami ludzie i cisną się do okienek i kas ci sami klienci, co zawsze.

Płynie ta sama fala banknotów markowych do kas wykupna weksli, ale już nie odpływa z okienek kas wypłat. Kasy te wypłacają już efektywne złote i tylko drobne płacone są w markach, chociaż przygotowywany jest również tymczasowy bilon papierowy, sporządzony w ten sposób, że na połówkach banknotów markowych, wykonany został w odpowiedni sposób, uniemożliwiający udatne fałszerstwo napis.

KTO PIERWSZY W ŁODZI OTRZYMAŁ ZŁOTE W KASACH BANKU POLSKIEGO

Pierwszym, który w Łodzi odszedł od kasy w Banku Polskim z efektywnymi złotymi w ręku nie był ani żaden przedstawiciel firmy przemysłowej, które najwięcej gotówki wynoszą z kas Banku Polskiego, ani żaden przedstawiciel świata bankowego i handlowego, ale żołnierz armii polskiej. Starszy szeregowiec okręgowego zakładu gospodarczego nr 4 w Łodzi Stanisław Adamiak był pierwszym, który w Łodzi otrzymał do ręki nowy polski pieniądz.

Otrzymał od krewnych z Ameryki kilka dolarów. Dziś rano wybrał się do Banku Polskiego, by jednego dolara zamienić na marki polskie. Nie wiedział nawet, że marek już nie otrzyma.

Dolara przyjęto od niego i otrzymał blaszany numerek do kasy. Ponieważ był pierwszym, gdyż przyszedł do Banku, gdy urzędowanie się jeszcze nie rozpoczęło i cierpliwie czekał przed zamkniętymi drzwiami wejściowymi, pierwszego też wezwano do kasy po odbiór należności.

Zdumiał się żołnierzyk, gdy zamiast milionów, kasjer wyliczył mu

PIĘĆ ZŁOTYCH I 18 GROSZY

jako równowartość wymienionego dolara.

Pierwszy ten posiadacz nowego polskiego pieniądza zakłopotany odszedł od kasy, nie wiedząc dobrze, czy z kolei nie przyjdzie mu złotych wymieniać na marki, jeśli będzie chciał kupić sobie np. pudełko papierosów.

OBY SZCZĘŚLIWY OMEN

Dziwny, ale charakterystyczny przypadek. Pierwszy pieniądz polski otrzymuje do ręki żołnierz polski. Otrzymuje go w zamian za dolara.

Pierwszą transakcją, jaką dokonał Bank Polski w Łodzi, jest wymiana dolara na złotego i ustalenie jego kursu.

Oby cyfra 5,18 pozostała już na zawsze jedyną relacją złotego do dolara i oby ta pierwsza transakcja była dobrą wróżbą na przyszłość. — Złoty obejmuje swoje władztwo na ziemiach polskich jako równorzędny pod względem wartości dolarowi.

Złotówka w wieku emerytalnym

JOLANTA WROŃSKA

Pan Stanisław Adamiak ma 82 lata, znakomitą pamięć oraz kilka żelaznych zasad w życiu. Źródłem tych zasad były niezachwiane pewniki. Od zasad nie odstąpił, ale do paru pewników stracił jakby zaufanie. Na przykład do takiego, że najlepsze pieniądze robi się na solidnej robocie i użytkowaniu własnego mózgu. Głównie zaś przestał pan Adamiak wierzyć, że bez silnego pieniądza absolutnie niemożliwe jest funkcjonowanie normalnego państwa.

Bo nijak pojąć nie sposób, jakim cudem państwo się jeszcze nie rozsypało, kiedy pieniądz taki lichy, że w sam raz nadałby się na tapetę. I jak to jest, że za myślenie nie dostaje się pieniędzy, tylko po krzyżu?

Jak się tyle przeżyło, to wystarczy, by człowiek miał skalę porównawczą. I na tej skali parę rzeczy jakby się powtarza. Taka — dajmy na to — inflacja. W 1924 roku, kiedy pan Stanisław był akurat w wojsku, co kilkanaście dni kadra i żołnierze dostawali wyrównawcze dodatki inflacyjne do żołdu. Pieniądz leciał na łeb, na szyję. Zaraz po II wojnie — to samo. Wojenne „młynarki" liczyło się w dziesiątkach tysięcy. Pan Stanisław pamięta, jak w 1950, kiedy przyszła wymiana pieniędzy, zarabiał 55 tysięcy miesięcznie, a na nowe złote wyszło mu, że 1.650 zł. I za te pieniądze to on mógł wyżyć z niepracującą żoną i trojgiem dzieci. Bez szaleństw, ale i bez paniki, czy człowiek nie będzie musiał przed pierwszym wbijać zębów w ścianę. Owszem, pan Stanisław rozumie, że zarabiał więcej niż średnia krajowa, taka, przypuśćmy, pielęgniarka dostawała 450 zł i też musiała żyć. Ale pieniądz był więcej wart. Pan Stanisław to wie, bo miał nieszczęście przejść na rentę w 1958 roku i dostał 1.033 zł, czyli 65 procent pensji. Dzieci były już na swoim, tylko we dwoje z żoną — dało się żyć. Za te pieniądze można było, przykładowo, kupić 1100 jajek, albo 15 metrów ziemniaków. A dzisiaj? Ze starym portfelem w kieszeni jest człowiek ekspertem od inflacji. Bo teraz na rękę wypada 7.800 zł renty, plus 1500 dodatku za starość i za te 9.300 zł żyje się ze strachem w oczach. Pewnie, nie musi człowiek wyżywić z tego stadka dzieci, urządzać mieszkania, czy inwestować. Potrzeby są mniejsze, ale znowu życie kosztuje drożej, a już, nie daj Boże, znaleźć się w chorobie. Głowa od tego puchnie i tyle.

TEN DZIEŃ

sprzed 60 lat pamięta pan Stanisław doskonale. Rankiem, 28 kwietnia 1924 roku, szły ulicami Łodzi delegacje cechów rzemieślniczych ze swymi chorągwiami. Ludzie ciągnęli w stronę katedry św. Stanisława na uroczyste nabożeństwo z okazji otwarcia Banku Polskiego i wprowadzenia złotówki do obiegu. Tylko, że pan Stanisław nic o tym nie wiedział, bo śpieszył się do banku, nie wiedząc, że stanie się bohaterem dnia. Chciał wymienić otrzymane od krewnych z zagranicy kilka dolarów na polskie marki. Szykował się z wielką walizką na tę transakcję, bo za jednego dolara płacono wówczas 1.800.000 marek, więc należało wziąć ze sobą spory sakwojaż.

— Stałem w ogonku — wspomina pan Stanisław — pod drzwiami banku. Pojęcia nie miałem, co się święci. Po otwarciu, kiedy podszedłem do okienka walut — wszystko jak zwykle: ten sam personel, to samo wnętrze — zrobiło się małe zamieszanie. Okazało się, że jestem pierwszym klientem łódzkiego oddziału Banku Polskiego, któremu wypłacą nowo wprowadzone złotówki. Może dlatego, że byłem w mundurze, dostałem od dyrekcji kwiaty i... 5 zł 18 groszy za swojego jednego dolara. Byłem zaskoczony, i trochę zmartwiony, bo zamiast milionów dostałem jeden banknot o wiele mniejszy od płachty banknotu marki, a te 18 groszy to był przecięty na pół banknot 10.000 marek z przybitym stemplem Banku Polskiego i nominałem 18 groszy. Zupełnie nie przydała się walizka. U kasjerki dowiedziałem się, że 1 złoty równa się 1 frankowi szwajcarskiemu w złocie, i jeszcze, że złotówki mają pokrycie w złocie i dewizach i nawet pamiętam, że tego złota było 19.450 kg. W 1927 roku, po okresie inflacji złotego, gazety huczały o pożyczce stabilizacyjnej, jaką rząd polski uzyskał za granicą. Wtedy kurs złotego do dolara ustalono na 1 do 8,9141 i tak się utrzymał do 1939 roku, mimo ciężkiego kryzysu gospodarczego. To chyba najlepiej świadczy o tym, że złotówka była coś warta i liczyła się na świecie. Dla dzisiejszych ludzi ten dolar wart ledwo 9 zł brzmi jak sen jaki złoty. klienci Pewexów śmętnie supłają te siedem stów na jednego „zielonego" i opowiadają sobie legendy z zamierzchłej przeszłości, kiedy to za dolara płaciło się 96 albo 110 złotych. I to wszystko po „czarnym" kursie.

Za tamtejsze 5 zł 18 groszy można było kupić: jeden kg słoniny — 1,65 zł, 1 kg kiełbasy krakowskiej — 2,40 zł i cena utrzymała się do 1939 roku, a jaka to była krakowska! Za 1 kg szynki — 3,60 zł, a za pasztetową — 3 zł. W eleganckiej restauracji „Roma" w 1939 roku obiad kosztował... złotych sztuk jeden!!! Obiad z dwóch dań plus deser. Mięsko było uczciwe i na pół talerza. no i w ogóle jak się wchodziło do lokalu, to po smakowitych zapachach można było „wywąchać" kartę dań. Dziś — smutnieje pan Adamiak — *wchodzisz człowieku do restauracji i gdziekolwiek w Polsce, przez cały tydzień, wszędzie i na okrągło ten sam zapaszek „przeglądu tygodnia".*

OSIEMDZIESIĄTKA Z KAWAŁKIEM

zwłaszcza, gdy ma się dobrą pamięć, daje prawo do różnych refleksji. Pan Adamiak pamięta, jak w osiemnastym, wraz ze swoją drużyną harcerską współpracował z Polską Organizacją Wojskową przy rozbrajaniu Niemców.

Na początku 1924 roku, jak przyszła wymiana pieniędzy i potem ten artykuł w „Kurierze Wieczornym", naczalstwo, za tę mimowolną zasługę w banku dało awans na kaprala, a niedługo potem przyszedł koniec służby. Matury człowiek nie miał, bo rodziców nie stać było na kształcenie dzieci, więc trzeba się było imać roboty, którą się już znało. Został pan Stanisław cywilnym urzędnikiem w tej samej intendenturze, gdzie pracował będąc żołnierzem. W rachunkowej księgowości już zdobył trochę doświadczenia. Czego szkoła dać nie mogła, uczyła praktyka i ludzie, którzy znali się na tej robocie. A jak człowiek uczciwie pracował, to i uczciwie zarabiał. W 1926 roku było tego 186 zł i 10 groszy, co było pensją zupełnie przyzwoitą. Potem zdarzył się krótki epizod z osadnictwem wojskowym na kresach wschodnich, zakładanie mleczarni w Świsłoczy i pierwsze refleksje o tym, jak to tanio wychodzi mieć dobry pomysł. Po ożenku w 1928 roku, przyszła praca w kancelarii adwokackiej i nowa specjalność w administrowaniu i obrocie nieruchomościami. Za 150 złotych plus pięć procent prowizji od przeprowadzonych transakcji czteroosobowa rodzina żyła najzupełniej spokojnie. Czynsz za pokój z kuchnią wynosił 40 zł miesięcznie, jadało się przyzwoicie. Na przykład 1 kg ziemniaków nigdy nie kosztował drożej niż 4 grosze, a za 1 kg truskawek płaciło się od 20 do 80 groszy.

Druga wojna w życiu pana Adamiaka, a właściwie trzeba liczyć i tę trzecią w 20 roku, zaczęła się od... pogrzebu pryncypała, szefa kancelarii adwokackiej. Zmarł 1 września 1939 roku, a na pogrzeb pozwolenie dawała już władza okupacyjna. W marcu 1940 roku Niemcy przesiedlili całą rodzinę do Tuszyna i przyszło przekwalifikować się na steinwebera, czyli kamieniarza.

— Jakoś tak z końcem 1944 zostałem pomocnikiem księgowego w niemieckim przedsiębiorstwie rolnym. Tam nauczyłem się księgowości budżetowej i handlowej. Ale pierwszego bilansu rocznego na tym stołku — śmieje się pan Stanisław — *nie zdążyłem już zrobić. Wypadł akurat w styczniu 1945.*

Wyzwolenie, powrót do Łodzi i krótki czas ponownego administrowania przedwojennymi kamienicami kojarzy się z bezsensowną rachunkowością. Komorne za mieszkania wynosiło od 5 do 18 zł miesięcznie, zarobek od tego wynosił 5 proc., a sam wywóz śmieci kosztował 1.000 zł miesięcznie. Więc, żeby dzieci z głodu nie pomumierały, bierze się pan Stanisław wraz z kolegami za organizowanie spółdzielni krawieckiej. Nazywało się to Przemysłowo-Konfekcyjna Spółdzielnia Pracy „Przyszłość". Jak się miało okazać, przyszłość nie była taka znów świetlana, choć spółdzielnia doskonale zarabiała na siebie i przynosiła zyski. Życiowe zasady pana Adamiaka przestały tylko mieć związek z życiem. Na przykład taka zasada:

UCZCIWIE ROBISZ — UCZCIWIE ZAROBISZ

a w księgowości to grunt. W księgach musi być porządek i saldo musi się zgadzać, a ponadto — co już w ogóle trudno pojąć — porządek na papierze ma się zgadzać z tym, co w życiu. Wymagania pan Adamiak miał ciut za wysokie jak na nowe warunki, więc szarpał sobie nerwy i zdrowie nadwerężał, bo zrozumieć nie potrafił, że należy zaksięgować tonę zbrojonego powietrza. To znaczy prętów zbrojeniowych czy czegoś tam innego, czego w magazynie dokładnie i absolutnie nie było. Bo jak to tak? — na papierze jest, a w życiu nie ma? Z tego niezrozumienia sytuacji, a co gorsza, z głośnego mówienia o tym oraz pokazywania palcem na złodziei stał się pan Stanisław jednostką konfliktową i nieprzystosowaną. A nawet — co mu zakomunikował pewien sekretarz komitetu miejskiego — ciąży na nim zarzut wrogiego stosunku do nowego etapu w dziejach. Wróg klasowy słowem, głupio upierający się przy zgodności ksiąg rachunkowych z rzeczywistością. Oficjalnie na rentę, a faktycznie wylany z posady w 1955 roku, został pan Adamiak bez pracy na 8 miesięcy, a żyć trzeba było. Więc żona zaczęła podnosić oczka w pończochach i plisować spódnice. I tak się żyło. Opinia klasowego wroga zamknęła drzwi instytucji w całej Łodzi. Trzeba się było tułać po całym województwie, po rozmaitych POM-ach, GS-ach i spółdzielniach. I wszędzie zaczynało się tak samo. Totalny bałagan w księgach, powoli, pracowicie oczyszczony i uporządkowany. Kiedy już było wszystko klarowne, zaczynały się kłopoty. Porządek w księgach natychmiast wyławiał niedobory, kanty, rachunki z sufitu oraz rozentuzjazmowaną twórczość sprawozdawczą na użytek władz zwierzchnich. Takiego porządku instytucje fizycznie mogłyby nie wytrzymać i dlatego zadawały elementarne pytanie księgowemu Adamiakowi... co on z tego ma... Zdrowie już nie dawało rady przystosować się do nowej rachunkowości, toteż w 1958 roku odszedł pan Adamiak na rentę nieodwołalnie. Za 1.033 złote dostał trochę spokoju oraz czasu na zastanowienie się nad tym, dlaczego

NIE OPŁACA SIĘ KRAŚĆ OCZAMI

To jest taki rodzaj kradzieży, który uprawiać wypada, a nawet należy go propagować. Uczyć warto się choćby od diabła. Szkół pan Adamiak nie pokończył, ale wie, że podglądać fachowców, przyswajać dobre pomysły i ulepszać, to jest najtańsze źródło pieniędzy. Całe życie był takim „złodziejem oczami". I pewnie dlatego teraz, na starość, usprawiedliwia się, że jest przedwojenny i nie rozumie. Nie rozumie, co się wyrabia ze złotówką, a to przecież świadczy o tym, że nie opłaca nam się myśleć. Rozłożyliśmy ją dokładnie. Nie dość, że demokratyczne waluty biją złotego na głowę, to jeszcze bezwstydnie leżymy na łopatkach wobec walut całkowicie niedemokratycznych. A już tajemnicy rozmaitych kursów, co instytucja to innych przeliczników, istnienia kursu oficjalnego i czarnorynkowego w walutach zachodnich pan Adamiak nie rozumie już zupełnie, choć naprawdę na tym się zna.

I wniosek z całego życia wysnuł pan Stanisław następujący. Dzisiejsi ludzie potrafią myśleć tak samo jak dawniej i niegłupio. Tylko przestało im się to opłacać. On sam jest chodzącym tego przykładem. W 1955 roku przypadkiem obserwował pracę pocztowców przy segregowaniu listów. Strasznie było to żmudne i skomplikowane. Przyszło mu wtedy do głowy, że świat cyfr jest tak prosty i przejrzysty, że warto go wykorzystać. Miał otóż pan Stanisław szczęście — a może nieszczęście? — wpaść na pomysł sformułowany we wniosku racjonalizatorskim z datą 6 września 1955 roku, gdzie szczegółowo opisywał proponowany przez siebie kod cyfrowy dla przesyłek pocztowych. Na przykład, zamiast pisać: Stanisław Kuźma, wieś Stodolna 36, powiat Puchaczów, województwo lubelskie, piszemy: Stanisław Kuźma, 12-43-7 wieś Stodolna. „12" — to kod okręgu pocztowego lubelskiego, „43" — urząd pocztowy okręgu Puchaczów, a „7" — obwód obsługiwany przez jednego listonosza. Wniosek poszedł do ministra łączności, a 25 października 1955 przyszła odpowiedź z Komisji Usprawnienia Administracji Publicznej Ministerstwa Łączności (nr KU. 10/354), podpisana przez przewodniczącego, Ob. Zonika, w której stoi jak następuje:

„Wymieniony wniosek komisja uznała za nie nadający się do zastosowania, ponieważ w praktyce byłby on niewykonalny: 1. z powodu niemożności narzucenia klienteli proponowanego sposobu adresowania, 2. trudności w opanowaniu pamięciowo przez pracowników poczty ponad 7 tysięcy numerów placówek oddawczych. (...) Pomysł nie jest nowy, ponieważ rozpatrywała już podobne znacznie wcześniej".

Na dwa lata przed oficjalnym wprowadzeniem kodu pocztowego w Polsce, z dniem 1 stycznia 1973, jesienią 71 pisał o tym red. Potęga w „Głosie Robotniczym". Mógł tylko szyderczo śmiać się z niechęci do myślenia różnych bardzo ważnych urzędników oraz stawiać kolejną stację na Golgocie polskich wynalazków i racjonalizatorów. W dwa lata potem, 5 stycznia 1973 roku, wrócił do tematu „Kurier Polski". W pięć dni po wprowadzeniu kodu pocztowego opisywał, jak to z surmami i heroldami ogłaszano... że dorównujemy najlepszym w świecie, bo za przykładem RFN (od 3 listopada 1961 roku), Francji, Japonii, a nawet NRD unowocześniamy komunikację pocztową. Tymczasem pan Adamiak poważył się na świętokradztwo. Postanowił bowiem zgłosić do Urzędu Patentowego PRL wniosek o uznanie swego pierwszeństwa. Co więcej, wygrał, po odwołaniu do Sądu Najwyższego, udowadniając w ten sposób, że spora gromada ludzi trudni się uprawomocnioną defraudacją grosza publicznego. Bo jak inaczej nazwać proceder uprawiany przez osoby pobierające regularne pensje, nie świadczące w zamian nie tylko żadnej społecznie użytecznej pracy, ale nawet nie wykonujące przynależnych obowiązków. Zwłaszcza zaś obowiązku myślenia, a przynajmniej nieprzeszkadzania tym, którzy myślą. Pozostała tylko satysfakcja i świadomość, że było się pierwszym, choć kłopotów z powodu własnej pomysłowości miał pan Adamiak sporo, za to pieniędzy nie zobaczył żadnych.

Pan Stanisław uważa, że warto było przeżyć 82 lata, żeby obejrzeć jak świat zwariował. Postawiony na głowie układ, w którym za myślenie można dostać kopniaka, procentuje nam obficie. Widać to w gospodarce, kulturze i gdzie tylko można. Ludziom się nie opłaca wysilać, bo nic z tego nie mają. A ludzka natura już taka jest, że chce mieć coś dla siebie, by był sens cokolwiek robić. A obiegowym dowodem takiej diagnozy — tu pan Stanisław wraca do rocznicy złotówki — jest stan naszego pieniądza. Pozycja waluty jest najlepszym probierzem szacunku dla samych siebie i własnej roboty.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Czekoladowy pociąg

Dokończenie ze strony 1

stępnym razem sobie odbije.

Mundurowi zatrzymują się na dłużej w końcu każdego wagonu. Przykładają dłonie do ścianek i sufitu. Opukują te miejsca. A trzeba im przyznać, że „nosa" mają niebywałego. Idą w ruch wkrętaki, wyjęte z podręcznej torby i już po chwili pokrywa włazu odskakuje od sufitu. A w środku? Czekolada. Kartony wędrują na pocztowy wózek. Będzie tego kilkadziesiąt kilogramów. To już przemyt na dużą skalę. Właściciela oczywiście nie ma. Trudno się mówi. Ryzyko w tym fachu, rzecz normalna. Funkcjonariusz wynosi dwie paczki z wagonowej toalety. Też czekolada.

— No i bardzo dobrze — twierdzi stojący w przejściu podróżny. — To gówno, nie czekolada. Z kakao ma tyle wspólnego, co salami z osiem. Śmierdzące prochy i chemikalia. Ersatz. Niech se zabierają to świństwo. Przynajmniej nie potrują się nasze dzieci.

Pospieszny rusza. Wyraźnie poprawiają się nastroje pasażerów. Kolejna bateria niemieckiego piwa zjawia się na półeczce pod oknem. Kapsle pryskają spod otwieracza i spadają na podłogę. W tyle wagonu śpiew:

„Całe Drezno posiwiało od zazdrości
Bo zobaczyło ile mogą nasi chłopcy.
A my jedziemy, jedziemy poprzez świat
Dziewczyny z Polski — niech żyją nam."

PECUNIA NON OLET

Po drugiej stronie granicy jest Zgorzelec. Na kolejowej stacyjce jeszcze pusto. Cuchnie z szaletu i ciemnych kątów dworca. Śmierdzi ludzkim potem, wilgocią i zgnilizną.

Po godzinie dwudziestej drugiej wchodzą do poczekalni ludzie. Coraz więcej i więcej. Zgrzytają hamulce taksówek, zatrzymujących się przed budynkiem. Skrzypią drzwi. Ludzie wnoszą walizki, duże i małe torby. Już nie ma miejsc na ławkach. Wszędzie piętrzą się bagaże. Jak na planie filmu: statyści niosą rekwizyty — walizy puste i lekkie, które, gdy ruszy kamera, staną się ciężkie i pełne. Kamera jeszcze nie rusza, więc kobieta z łatwością trzyma w ręce dwa próżne nesesery. Facet pod ścianą liczy gotówkę. Statyści stoją, palą, spluwają na posadzkę. Czekają. Dwie staruszki — i jeszcze dwie. W ciemnych paltach, w ciemnych kościelnych kapelusikach. Trzech nastolatków w pumpach. Grubas przed trzydziestką. Dwie blondynki w pełnym makijażu. Obrotna pani z gapowatym panem. Typy o nijakich twarzach i podkrążonych oczach. Dzieci nie ma. Dzieci dziś nie podróżują.

Cicho. Atmosfera wyczekiwania. Nikt o nic nie pyta i nie uśmiecha się. Nie czas i nie miejsce na uprzejmości.

— „Pociąg pospieszny z Lipska i Drezna do Warszawy Wschodniej, przez Wrocław, Łódź, wjedzie za chwilę..."

Wszyscy wychodzą na ciemny peron. Jeden, dwa, trzy, cztery... dwadzieścia dwa i jeszcze trzy spóźnione taksówki zajeżdżają przed stacyjkę. Widać światła lokomotywy. Pierwsze wagony i pierwsze okrzyki przez otwarte okna.

— Chłopy! Polska, jak rany! Poznaję swojaków — cieszy się nabuzowany blondas. — Do nas ludziska, do nas. Niemiaszki puściły cały towar.

Wsiadający nie tłoczą się przy drzwiach. Wchodzą po cztery, pięć osób do każdego wagonu. Torba i wypchany portfel do ręki. Można ruszać na obchód.

— Czekolada, guma do żucia, herbata — nieśmiało zaczyna młody mężczyzna z torbą na ramieniu.

— Cześć student. Masz szczęście, bo wyzbywam się czekolady. Ile chcesz? — pyta nie ogolony pasażer.

— A po ile?

— Jak zawsze. U mnie cennik stały. Setka od sztuki.

— Biorę pięćdziesiąt.

Towar jest zapakowany i nikt go nie odlicza. Paczuszka przechodzi do rąk studenta, a sprawnie odliczona gotówka do kieszeni sprzedającego. Tutaj nikt nikogo nie zamierza „rąbnąć" na parę setek. Gra nie warta świeczki. Jak tylko kogoś zaświerzbi ręka, to musi wiedzieć, że raz na zawsze wypada z trasy. Za tydzień, oszusta nie wpuszczą do pociągu albo w ustronnym miejscu, po męsku, wbiją mu do głowy (i nie tylko) zasady dobrego wychowania. A potem gościa wystawią na peron i cześć. Zmiataj bracie szukać innego zajęcia. Chamstwa w międzynarodowym pociągu nie toleruje się!

— Wezmę jeszcze karton gumy i setkę mordoklejek — składa zamówienie tęgi jegomość.

— Chodź pan tutaj — przywołuje go pasażer ze środka wagonu.

— Kabaretki, trampki, adidasy kupię — od drugiej strony wagonu przepycha się mała brunetka.

— Panienko, ile tych kabaretek?

— Ile się da. Po osiem stów wezmę wszystkie.

— Mam dwadzieścia.

— A ja dziesięć — oferuje sąsiad z miejsca pod oknem.

— Tylko czarne — grymasi dziewczyna.

— Gdzie tam. Brązowe, zielone i cholera wie jakie jeszcze — uspokaja ją człowiek z pękatą reklamówką na kolanach. Dziewczyna pakuje towar do walizy i rusza dalej.

— Tramki, adidasy, bawełniane figi...

GASTARBEITERZY

Czekoladę, cukierki, kawę, herbatę, rajstopy, bieliznę, czajniki z gwizdkiem i inne rarytasy sprzedają polscy pracownicy zatrudnieni w Niemieckiej Republice Demokratycznej.

Gastarbeiterzy — bo tak mówią o nich nasi sąsiedzi zza Odry, wykonują prace w macierzystych instytucjach, realizujących długoterminowe kontrakty zagraniczne. I choć klasycznymi robotnikami-gośćmi nie są, określenie to przyjęli ze zrozumieniem. Budują kompletne obiekty przemysłowe, świadczą usługi w rozmaitych sektorach gospodarczych.

Pobory gastarbeiterów wypłacane są w walucie kraju, na terenie którego przebywają. Średnia płaca robotnika cudzoziemskiego jest wyższa niż ta, którą otrzymują pracownicy miejscowi. Polacy zarabiają w NRD 900—1000 marek miesięcznie. Dalsze 120 marek dochodzi z tytułu czasowego zakwaterowania poza miejscem zamieszkania. Czynności szczególnie uciążliwe, mało prestiżowe, a wręcz pogardzane przez gospodarzy, premiuje się dodatkowymi kwotami, tak, że miesięczna pensja może osiągnąć 1600 marek i więcej. Chętnych do tych prac nie brakuje. Zgłaszają się młodzi ludzie, dla których najcięższe nawet zajęcia i noce w robotniczym hotelu, mają być zrekompensowane okrągłą sumką, przeznaczoną na zakup mieszkania czy samochodu.

W NRD ceny artykułów żywnościowych są relatywnie niskie. Oszczędnie gospodarując, można odłożyć nawet 60—70 proc. pensji. Za te pieniądze opłaca się kupić towary rzadko spotykane w naszych sklepach i przywieźć je do kraju. Ze zbytem kłopotu nie będzie, a korzyść to większa, niż na przykład gromadzenie wschodnich marek, których placówki „Pewexu" i tak nie honorują. Polak myśli ekonomicznie, więc kupuje za Odrą.

Dwustronna umowa przewiduje wszelako, że gastarbeiterzy mogą wywozić do swojego kraju praktycznie wszystko, co uznają za potrzebne. W tym przypadku nie obowiązują celne taryfy przewozowe. Jedynym ograniczeniem jest ilość dóbr, która nie powinna wskazywać na handlowy cel podróży.

Piątek jest ostatnim dniem pracy. W piątek gastarbeiterzy wsiadają do pospiesznego Lipsk —Warszawa i jadą na weekend do Polski.

— Można zostać w NRD — mówi hydraulik jadący do Wrocławia. — Idzie się wtedy na piwko do miasta albo ogląda się filmy w hotelu. Czasem organizują wycieczki do Berlina. Sobota jeszcze jakoś zleci, za to w niedzielę i tak skończy się popijawą. Szkoda forsy i zdrowia. Wolę dwa dni być w domu i jeszcze zarobić parę groszy w pociągu.

Najlepszy zarobek jest na czekoladzie, kawie i pieprzu. Ale idzie wszystko. My liczymy markę za 100 złotych. Jak mniej, to się nie opłaca. Dobrze jest przywieźć dwa, trzy żelazka, czajniki, termosy albo młynek do kawy i kuchennego robota. Ja kupiłem do domu firanki i materiał na zasłony. Mam niedrogi dywan „enerdowski". Może uda się popracować tam dłużej niż rok.

Tutaj, w pociągu, gastarbeiter jest panem. Nie wstaje z miejsca, wybiera klientów, dyktuje ceny. Pieniążki same przychodzą do rączki i jeszcze ludzie mu dziękują. Żyć nie umierać.

Towaru jest dużo, jednak ceny nigdy nie spadają. Gastarbeiterzy mają monopol na handel, toteż sprytnie korzystają z przywileju. Nie ma konkurencji. W pierwszym i ostatnim wagonie taryfa jednakowa. Przed Warszawą, gdy zrobi się luźniej, ceny podskoczą o kilka procent. Wiadomo — równowaga popytu z podażą, to warunek dobrego rynku.

— Trzy razy w miesiącu wyskakuję do Polski i 70 tysięcy muszę mieć, jak nic — mówi monter z Poznania. — Drobnicę spylam w pociągu, a po resztę ustawi się kolejka przed moim mieszkaniem. Jeszcze tak nie było, żebym kupił coś niepotrzebnego.

Z domu zabieram żarcie i papierosy na cały tydzień i mogę nie wydawać nawet jednego feniga. Główka pracuje!

BIZNES

Przed Wrocławiem większość oferowanych towarów znalazła nabywców. Kilku gastarbeiterów spakowało puste torby i zostało tylko z podręcznym bagażem. No i oczywiście z plikiem krajowych środków płatniczych, w wewnętrznej kieszeni marynarki. Interes ubity, można z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku zmrużyć oczy i odpocząć przed spotkaniem z rodziną.

Dwa razy owocne transakcje zostały na kilka chwil zawieszone. — Uwaga! Władza ludowa — głośno, lecz spokojnie informuje zgromadzonych krępy mężczyzna, w tym celu dyżurujący przy drzwiach.

Torby zamknięte. Butelki z piwem przykryte kurtką. Pasażerowie śpią.

Milicyjny patrol wolno przechodzi wagonowym korytarzykiem, ale podstaw do interwencji nie ma. Wszystko w zgodzie z przepisami, a na twarzach podróżnych maluje się obraz niewinności. Patrol wychodzi.

— To ile dałem tego pieprzu? — życie wraca do normy — Dwadzieścia cztery? Znaczy się dorzucam jeszcze dwadzieścia sześć i pytam, czy chcesz pan mandarynki i galaretkę.

— Mandarynki ja biorę — uprzedza pani z torbą na kółkach.

— Kto ma herbatę ekspresową?

We Wrocławiu wysiada duża grupa gastarbeiterów i prawie wszyscy „zaopatrzeniowcy". Ich miejsce zajmie druga tura amatorów kolejowego biznesu. Jeszcze pociąg stoi na peronie, jeszcze pakunki wylatują z okien, wprost w ręce oczekujących rodzin, a już nowi handlarze obskakują wagony.

— Jest czekolada — a może kabaretki?

— Kawę, kawę — kto ma kawę?

Wchodzi chłopak z marynarskim workiem na plecach. — Może panowie chcą kupić świeże piwo? — nieśmiało oferuje. Widać, że dopiero zaczyna dworcową karierę.

— My ci synku możemy sprzedać nie takiego sikacza, ale porządne, niemieckie piwo. Powiedz tylko, ile sobie życzysz — sto, dwieście flaszek? — śmieją się, wskazując na dwa rzędy zakonspirowanych butelek, ustawionych pod siedzeniami.

Chłopak zmieszany, wycofuje się.

Będzie pamiętał, że tym towarem w pospiesznym z Lipska nikomu nie zaimponuje.

Ilu ludzi żyje z tego pociągu? Handlarze, pośrednicy, bazarowi sprzedawcy, a nawet zbieracze butelek.

Podczas dłuższych postojów na stacjach w wagonach zjawiają się postacie z podartymi torbami i parcianymi workami, do których upychają walające się po podłodze butelki. Bezceremonialnie wygrzebują szklane opakowania ze śmietniczek i spod siedzeń. Biorą, jak leci — małe, duże, wymiarowe i nadtłuczone.

— Dziadek, zabieraj te tutaj. Masz jedną z piwem.

Starzec łapczywie chwyta butelkę w brudne dłonie i śmieje się, ukazując bezzębne dziąsła.

W przyszłym tygodniu towary z lipskiego pociągu trafią do sklepików, warzywniaków, na targowiska i do butików. Cały kraj zna smak „enerdowskiej" czekolady, po 80 fenigów sztuka, sprzedawanej w detalu po przystępnej cenie 200 złotych. Łatwo obliczyć, że od chwili opuszczenia kolejowego wagonu, tabliczka czekolady podwaja swą wartość. Ciekawe, przez ile jeszcze przechodzi rąk? Podobnie jest z pieprzem, gumą do żucia, cukierkami. Kolonialne sklepiki chętnie zakupują każdą ilość tak atrakcyjnych artykułów. Siatkowe rajstopy za 8 marek, pójdą jak woda po 1600 zł. Tekstylne obuwie też rychło znajdzie nabywców. Kawa i herbata zasila ajencyjne kawiarenki. Bawełniane koszulki, po naszyciu gustownych kwiatuszków lub kolorowych zwierzątek, trafią na wystawy ekskluzywnych butików, z równie ekskluzywnymi cenami. Do tego dołączy pokątny handel na ulicach, bazarach i w zakładach pracy. Tak, tak. Czajnik z gwizdkiem i termos kupisz tanio od koleżanki z biura albo od znajomej z fabrycznej hali. Nie masz żelazka — popytaj sąsiadów. Może mąż lub syn pracuje w NRD. A jeśli chcesz zrobić większe sprawunki, jeśli chcesz kupić taniej, to nie zwlekaj. Pospieszny z Lipska przyjeżdża do Łodzi o 6.30.

ROMAN KUBIAK

Mizeria studenta i asystenta

J. STANISŁAW KNYPL

Motto: „Nauk żałuje, że nie ma. Potrzebne przeogromnie. Bez szkoły nie jest człowiek wart".

(Anna Strońska — „Dziesięć myśli Teresy", „Polityka" nr 14 (84)

Portret studenta, nakreślony statystycznymi średninmi przez Zbigniewa S. Nowaka w artykule „Równia pochyła" z wiele mówiącym nadtytułem „A poza tym nic na studiach się nie dzieje" („Dziennik Łódzki" nr 79 z dn. 2. 4. 1984) jest przygnębiający. W ostatecznym rozrachunku mniej niż połowa z tych, co zostają przyjęci na I semestr, zamienia indeks na dyplom; reszta „wykrusza" się po drodze, a „odpadając" — marnuje szanse sobie dane, zawodzi nadzieje. Z tych zaś, co dyplom otrzymują, ponad dwie trzecie ma oceny dostateczne, tj. zadowala się minimum, niezbędnym do zaliczenia przedmiotu, roku, studiów. Tylko 3 proc. absolwentów legitymuje się średnią ocen powyżej 4,5.

1. PRAPRZYCZYNA MIZERII

O studentach pisano albo pełnymi zachwytu „ochami": jacy oni piękni i zaangazowani; słowami przygany: jacy oni niewdzięczni, idący na lep i dający się wodzić na pasku; słowami pożałowań: jacy oni biedni, przeciążeni praca; albo słowami potępienia: jak oni piją! Słowa uznania należą się Z. S. Nowakowi za odwagę uzupełnienia obrazów studenta-przyszłości narodu, studenta-niewdzięcznika, studenta-emigranta, studenta-nieboraka, studenta-rozpustnika itd. — obrazem studenta-państwowca, względnie studenta-trójniaka, tj. człowieka dorosłego, któremu w najpiękniejszym okresie (19—24 lat życia) ambicji i ochoty do pracy starcza na tyle tylko, by zdobyc ocenę „państwową", tj. „trójkę" (często po pierwotnej „dwójce").

Można się było spodziewać, że statystyczny obraz studenta-państwowca spotka się z polemikami i dyskusją — jezeli nie ze strony samych studentów (ci niewiele czytają, a pisanie przychodzi im z najwyższym trudem), to ze strony nauczycieli akademickich, a także ze strony „zwykłych" obywateli, którym nie powinno być obojętne nic, co studentów dotyczy. Nic takiego się nie stało. Przeto odważam się dorzucić swoje trzy grosze do tematu — istotnego, i może właśnie dlatego zbywanego milczeniem. Rozważania świadomie ograniczam tylko do jednego nurtu, maksymalnie upraszczając tok myśli — może wreszcie da się któryś ze studentów sprowokować, złapie za pióro i wyrąbie swoją prawdę prosto w oczy?

Zbigniew S. Nowak podaje kilka przyczyn, objaśniających mizerię statystycznego studenta, jako pozbawionego zapału i ambicji przeciętniaka. Wymienione przez niego czynniki są przyczynami rzeczywistymi, tj. dobrze objaśniającymi genezę pewnych aspektów katastrofalnego stanu rzeczy, obserwowanego dzisiaj, tak co się tyczy samych studentów jak i uczelni. Jednak nie są one przyczynami najważniejszymi.

Dwie są główne przyczyny niskiej sprawności studiowania i mizernych ocen w indeksach. Pierwsza — to negatywna selekcja materiału na studentów, a druga — to negatywna selekcja materiału na asystentów. Bezpośrednią przyczynę zaś tych dwóch przyczyn stanowi pojęcie „braku motywacji" tak ze strony studentów do pracy zwanej studiowaniem, jak i ze strony asystentów do pracy nad studentami ze studentami.

Praprzyczynę dzisiejszego „braku motywacji" i niedostrzegania perspektyw związanych z wykształceniem stanowi przez dziesięciolecia kultywowane mniej lub bardziej skrycie — a ostatnio jawne, bagatelizowanie pracy wysoce kwalifikowanej, niskie cenienie walorów umysłu i skutków jego koncepcyjnej aktywności.

2. WYBIÓRKI PO DYPLOM

Negatywna selekcja materiału na studentów zaczyna się już w szkole podstawowej. W trosce o najwyższą sprawność nauczania, pojmowaną formalnie, staje się na głowie, aby tzw. patentowanych leni, obiboków i tumanów wywianować „świadectwem ukończenia szkoły" na dalszą drogę życia. Gdy taki leń (zdolny!) śmieje się później w nos koledze, który uczciwie przysiadywał fałdów nad książką, to temu ostatniemu nie tylko nie jest miło, ale w dodatku wyciąga on pierwsze cierpkie wnioski nt. pracy i nagrody za nią. Z drugiej strony rodzice, widząc co się dzieje wokół, kierują swoje dzieci do nauki „fachu", a nie do liceów ogólnokształcących, zwłaszcza z językiem łacińskim w programie. Wiedzą bowiem, że za naprawienie kranu, zbicie desek czy pomalowanie ściany lecą „brudasy do rączki" fachowca; a za recytację Owidiusza w oryginale, leci co najwyżej zgniłe jabłko na głowę recytującego.

Kolejna wielka selekcja odbywa się po maturze, kiedy to co bardziej utalentowani i zaradni młodzi ludzie podejmują pracę „konkretną", w miarę możności na własny rachunek, lub udają się do szkół pomaturalnych, obiecujących zdobycie fachu konkretnego. Wiedzą już bowiem, że z pensji, oferowanych magistrom, wyżyć trudno. Ta wstępna selekcja przed progiem uczelni skutecznie wyklucza z grona studentów jednostki najbardziej życiowo zaradne, ambitne i utalentowane.

W rezultacie na studia wybiera się materiał bardzo specyficznie przesiany. Oprócz prawdziwych zapaleńców (których jest niewielu) są to osobnicy dwojakiego rodzaju: tacy, co studia traktują jako sposób na przedłużenie młodzieńczej beztroski, przygodę, sposób na zdobycie męża itp., oraz tacy, co są niezaradni, jacyś słabowaci, niedojrzali jakby, mało zdolni. Obrazu dopełniają tacy, którzy wykalkulowali sobie, że jako studenci będą mieli więcej, niż mieliby jako pracownicy z maturą na państwowej posadzie.

Pomijając wzmiankowanych zapaleńców (których jest niewielu) reszta braci studenckiej stopniowo dostrzega coraz wyraźniej, co ją czeka po studiach. Czekają ją stanowiska, które obejmuje się całkowicie niezależnie od ocen w indeksie i na dyplomie. Czekają ją pensje bliskie minimum życiowemu, także całkiem niezależnie od rodzaju pracy. Asystent-stażysta w PAN, inżynier-stażysta w fabryce, aplikant w sądzie, ekonomista, lekarz, socjolog? — Każdemu równo i tyle samo, tj. ok. 6500 zł, niżej więc w porównaniu do tego, co „należało się" studentowi (8700 zł!), a grubo niżej gdy odliczy się beneficja pod postacią np. ulgowej stołówki i biletów do teatru, a doda komorne i koszty pieluch. Czy w takiej sytuacji młody człowiek może mieć ambicje i motywacje, może tryskać zapałem i entuzjazmem? On nie może ich mieć, i nie tryska.

Studentowi nie zależy na ocenach lepszych niż 3, ponieważ z lepszej oceny nic nie ma, oprócz pejoratywnego przezwiska kujona, blacharza lub pracusia. Studentowi także nie zależy na terminowym kończeniu studiów. Tylko skończony „głupi" starałby się co rychlej zamienić studiowanie na troski i kłopoty pracy zawodowej, z jednoczesnym pogorszeniem statusu materialnego. Studentowi, co więcej, nie zależy na zdobyciu dyplomu (!): po co, skoro bez dyplomu zarobić można więcej niż z dyplomem — który to dyplom w dodatku uniemożliwia podejmowanie wielu rodzajów zajęć, jak np. pracy „gospodarza domu" z mieszkaniem służbowym i przywilejem do całkowitego rozbratu ze szczotką i miotłą jak rok okrągły?

Studenci wcale nie są „głupi". Patrzą wokół, a także w taryfikatory płac, np. inżynierów, sędziów i innych magistrów (np. Agnieszka Wróblewska — „Młody inzynier podejmie pracę...", „Przegląd Techniczny Innowacje" nr 15/84; A. Jankowski — „Dlaczego odchodzą", „Prawo i Życie" nr 14/84). Dochodzą do wniosku, że nie ma do czego śpieszyć się, nie ma po co wyprużać sobie żył, nie ma o co zabiegać i walczyć.

3. TOMBAK NA KATEDRĘ

Selekcja materiału na asystenta zostaje posunięta o dalszy stopień ku negatywnej doskonałości, bowiem asystentów wyższej uczelni rekrutować trzeba spośród byłych studentów. W szranki staje nie cała grupa absolwentów, lecz jej resztki zwane szarym ogonem. Co zaradniejsi bowiem magistrowie, zanim zostali magistrami, już sobie pracę znaleźli „u Polonusa", „u prywaciarza", „na własnym", wreszcie „na państwowym" (lecz lukratywnie rokującym „na boki"!). Kto pozostaje? Pozostają zapaleńcy, którzy kierują się ideami, a że są utalentowani, przeto chcą robić karierę w nauce, wyrażając więc ochotę podjęcia pracy m. in. w uczelni. Ale tych jest niewielu, bardzo niewielu. Głównie pozostają tacy, którzy czy to z braku wyobraźni, czy też z braku innych możliwości i szans (nie są zdolni ich dostrzec!), decydują się na zaszczytną służbę w charakterze nauczyciela akademickiego, tj. na pracę dydaktyczną i naukową jednocześnie za pensję bez premii i deputatów, bez widoków na samodzielne mieszkanie. Jest to materiał jakościowo słaby, choć zwykle z najlepszymi chęciami! Wiem, że to brzmi obraźliwie i gorzko, a w konkretnych przypadkach krzywdząco. Ale najbardziej obraźliwą i gorzką bywa właśnie prawda; statystyczna zaś prawda bywa ostro krzywdząca w odniesieniu do ludzi z krwi i kości. Statystycznie średnia zaś prawda jest taka, że uczelnie opanowane zostały przez „młodych" bez talentu i krzty wyobraźni twórczej, przy czym tej mszycy nie jest w stanie ruszyć żadna „rotacja" czy „okresowa ocena dorobku".

Co młody asystent robi? Taki asystent „z marszu" podejmuje opiekę nad studentami, o rok od siebie młodszymi. Asystent-stażysta ma oczywiście opiekuna, zalicza kursy dydaktyczne, może także zasięgać rad i porad doktorów i profesorów. Jak wygląda taka opieka i co dają kursy, lepiej nie mówmy. Żadne słowa nie zaprzeczą prawdzie, że z miesiąca na miesiąc były student staje przy katedrze i samodzielnie uczy studentów aktualnych; musi ich uczyć, albowiem ma tzw. pensum dydaktyczne, z którego go rozliczają, i które stanowiło jedyną podstawę do przyjęcia go do pracy. Katedra zaś (zakład, instytut) nie ma nikogo, kto mógłby za stażystę wykonać tę dydaktyczną orkę.

Jak asystent uczy? Uczy jak może. Na początku stara się dać maksimum z siebie (na ogół). Później skrzydełka mu opadają; dostrzega, że jego awanse i los zależą przede wszystkim od pracy naukowej, zwłaszcza od publikacji i doktoratu. Jakie za uświadomieniem tej prawdy postępują skutki dla dydaktyki, łatwo sobie dopowiedzieć — zwłaszcza gdy uwzględni się, że nauczyciel akademicki — skoro nie może wyżyć z pensji, musi rozglądać się za tzw. „bokami". Wynik? — Niskiego i coraz niższego lotu dydaktyka; ślamazarna i coraz bardziej ślimacza nauka.

4. TŁUCZEK Z BUŁAWY

I tak brak zainteresowania wiedzą ze strony studenta spotyka się z brakiem zainteresowania dydaktyką ze strony asystenta. Jeden nie uczy się ponieważ wie, że dobre opanowanie przewidzianej programem wiedzy stanowi co najwyżej jego prywatne hobby, bez konsekwencji w dziedzinie materialnego zabezpieczenia bytu i możliwości „spełnienia się" w pracy zawodowej. Drugi nie uczy z takim oddaniem, z jakim mógłby, ponieważ praca ta także stanowi co najwyżej prywatne hobby — a do hobby, wiadomo, dopłaca się; z hobby się nie wyżyje. Obaj mogą co najwyżej z zazdrością śledzić ogłoszenia w gazetach o poszukiwaniu tokarzy, zbrojarzy, zdunów. Obaj mogą co najwyżej z zazdrością słuchać o zarobkach rówieśników — fachowców od roboty prostej a konkretnej. Oni długo pozostawać będą z zarobkami poniżej średniej krajowej, a o dachu nad głową marzyć będą jeszcze dłużej.

I tak toczy się (stacza!) ten świat edukacji na najwyższym poziomie po równi pochyłej, coraz niżej, w kleszczach sprzężenia zwrotnego ujemnego: coraz gorszy materiał (studenci), coraz gorzej kształcony (przez uczelnie) daje coraz mniej wartościowy produkt ostateczny, tj. coraz niższą jakość dyplomu. Mimo to ludzie z wyższym wykształceniem są chętnie angażowani (gdy się zgłoszą), ponieważ pracodawcy: *„Wiedzą, że inżynier ma mniejsze wymagania, można mu zaproponować niższą stawkę, niż żąda fachowiec"* (Agnieszka Wróblewska, op. cit.). Za marny dyplom płaci się marnie i relatywnie coraz marniej — to zrozumiałe i ekonomicznie uzasadnione! A także sprawiedliwe.

Czy ktokolwiek mógłby spodziewać się czegoś innego? Nie, nie mógłby. Wszystko więc gra? Gra!

Gra dlatego, że kiedyś tam na wyjściu założyliśmy coś, czego rezultatem było systematyczne i konsekwentne deprecjonowanie wykształcenia, również, (a także i zwłaszcza) w dziedzinie wynagrodzeń. Dziś już nie zdumiewa, że pensja chirurga o kilka długości odstaje od pensji rębacza. Chirurg wszak ledwie rusza skalpelem przy sercu lub trzustce — żadna praca i żaden wysiłek! Rębacz zaś rąbie na odlew, że ściana kruszy się z rumorem, a las kładzie się pokotem — i to jest dopiero praca! Godną podziwu jest praca, przy której wióry sypią się, a iskry lecą; cóż zaś dobrego można powiedzieć o „pracy" konstruktora, który pętając się z kąta w kąt wymyśla coś takiego, iż skrawanie i kucie w ogóle staje się niepotrzebne? — Nic dobrego.

Przez lata przykładaliśmy wagę i cenę do pracy konkretnej — usypać, wymurować, wyasfaltować, przenieść, naprawić, zaorać itd., a wszystko rękami. Przeto nic dziwnego, iż produkty tej pracy konkretnej a fachowej są coraz droższe, a młodzież garnie się właśnie do „fachu". Przez lata całe nie przykładaliśmy ceny do pracy „niewymiernej i niekonkretnej", jak napisanie czegoś na papierze, nauczenie dziecka alfabetu, wyleczenie z kataru — przeto nie dziwmy się, iż do tych prac, wymagających głębokich studiów a nie prostego przyuczenia, młodzież nie garnie się. I nie będzie się garnąć.

I niech nas nie wprowadza w błąd coroczne oblężenie bram uczelni w okresie egzaminów wstępnych. Wśród oblegających nie ma tych, co noszą buławę marszałkowską w tornistrze. A jeśli nawet tacy są, to po dyplomie zmuszeni zostaną buławę użyć do tłuczenia chałturek, dla chleba.

5. POWRÓCIĆ NA UTARTE SZLAKI

Pytanie, ile Polskę kosztują oszczędności, czynione na zaniżonych wynagrodzeniach ludzi z dyplomami — było i jest pytaniem bezsensownym. I takim ono pozostanie tak długo, jak długo będzie nas stać na opłacanie tych oszczędności naszym zbiorowym poziomem życia, także ujętym w kleszcze sprzężenia zwrotnego: marna płaca za wysiłek umysłowy, marniejsze dyplomy, jeszcze marniejsza produkcja, i coraz mniej do podziału pomiędzy coraz to więcej potrzebujących. I jak długo nie zdecydujemy się pójść śladem przetartym od wieków. Od wieków bowiem wyższe i najwyższe wykształcenie, a tym samym i kwalifikacje oznaczają lepszy byt. Który to byt „określa świadomość". Co wyjaśnia, dlaczego wykształcenie jak świat światem było magnesem przyciągającym wszystko, co najlepsze, najzdolniejsze, najbardziej niespokojne intelektualnie i oryginalne, najbardziej uparte i wytrwałe spośród młodzieży zwłaszcza robotniczej i chłopskiej. Co wyjaśnia także, dlaczego u nas dzieje się odwrotnie.

Ja zaś wyjaśniam, że słowo mizeria w tytule tej kalającej własne gniazdo wypowiedzi nie oznacza smakowitej sałatki z ogórków i śmietany, przyprawionej solą i pieprzem. Oznacza ono nędzę, właśnie mizerię stanu, w który wpada się gładko jak po równi pochyłej. Wydobyć się zeń można, choć z najwyższym mozołem, gdy się widzi perspektywę, daleką i realną jak materia — nadającą sens wysiłkom, motywującą do myślenia i wymyślania. Na razie perspektywy są mgliste, a motywacje do studiowania bardzo niejasne, z roku na rok słabsze — bo niematerialne.

■

Dokończenie ze strony 1

Wahadełko mądrzejsze od radia

Ale naczelnik nie tylko w ciągu paru sekund potrafi osiągnąć stan relaksowej doskonałości („— W dniach przyjęć szczególnie mi to pomaga, wie pan, proszę Jankę, sekretarkę, by kilku petentów na chwilę przyhamowała, zamykam oczy, koncentruję się, nakazuję sobie siłą woli odpoczynek, czuję jak mi nogi i ręce ciążą, jak bym miał spuchnięte balony zamiast nich, jestem nieobecny duchem, a po paru minutach mam wrażenie, że wstałem wyspany, tak, tak, często to stosuję z doskonałym skutkiem...) Od bodaj 15 lat praktykuje choć „moc" poczuł jeszcze wcześniej, między innymi poszukiwania wody. Z doskonałymi skutkami. Po chwili zastanowienia oświadcza, że było to chyba około 80-90 przypadków i na palcach jednej ręki wyliczy tych, którym za pierwszym podejściem miejsca na budowę studni nie wskazał. Albo wyszukiwanie żył wodnych...

— Wie pan, ja u siebie, w gminie, to prawie w ogóle nie prowadzę takiej działalności, ale jak się kto z przyjaciół przeprowadza, buduje, czy choćby tapczan nowy kupi — to proszą o pomoc. I ja im wskażę, gdzie jest żyła, to nieszczęsne dodatnie promieniowanie, co spać nie daje, bóle głowy, ociężałość wywołuje. Jak nie ma innego wyjścia, bo na przykład nie ma jak łóżka przestawić, to można choćby miedź w nim trzymać, izolując się od wpływu promieniowania. Albo specjalny ekran w piwnicy zrobić, co całkowicie wyeliminuje dodatnie ładunki. Mieszamy wapno z białkiem zwierzęcym (to dlatego dawniej do dołu z wapnem wrzucano zdechłego kota czy psa...) i trocinami z drzew iglastych, ewentualnie brzozy. I robimy z tej substancji cienką wylewkę w piwnicy. To bardzo skuteczne.

Słucham z niedowierzaniem, więc pan Stefan oświadcza, że zaraz mi pokaże, gdzie tu jest żyła wodna, a najgorsze ponoć są ich skrzyżowania. Jedno z nich jest na pobliskim zakręcie szosy, gdzie też masę wypadków było. Podobno kierowcy orientację na chwilę tracą, organizm jest tak skołowany, że efektem są te wypadki. Znam i ja te zaburzenia. Mnie też krew do głowy uderza, gdy jadąc nocą spotykam wlokącą się środkiem drogi furę z pijanym jak bela woźnicą, traktory i przyczepy bez jednego światła z tyłu. I bez żyły wodnej tracę na ułamek sekundy orientację, gdy urżnięty w sztok rowerzysta wykona przed maską samochodu piękny slalom zakończony wywrotką lub nie sygnalizowanym skrętem w lewo...

Obywa się bez zaklęć i odczyniania. Naczelnik łapie za różdżkę, którą trzyma przed sobą w poziomie. Życzliwie zainteresowany postępuję krok za nim. Nic się nie dzieje, pan Stefan — cały spięty, ja też, czekam gdzie tu żyła. Nagle — wysunięty do przodu koniec „procy" opada w dół.

— Widzi pan? — Tu jest żyła i to duża, bo ściągnęło mnie wyraźnie i mocno — naczelnik jest uśmiechnięty.

— Widzę — też się uśmiecham — ale zanim cokolwiek będę tu drążył, chciałbym i ja spróbować i sprawdzić te żyłę. Można?...

Biorę różdżkę — elegancka, plastykowa, „czubek" miedziany czy mosiężny, „kierownica" — również. Odchodzę parę kroków, aparat wysuwam przed siebie, dwa końce — przepisowo, między kciukiem a wyciągniętym palcem wskazującym. Koncentruję się strasznie i ruszam. Dochodzę do naczelnika, minimalny ruch kciukiem i — fik, różdżka wskazuje że jednak jest ta żyła pod nogami.

— Eee, oszukiwał pan, tak to każdy potrafi — pan Stefan grozi mi palcem — to jest nieuczciwe!

— To tylko brak wprawy, pan już piętnaście lat ćwiczy — odcinam się złośliwie.

Malicki nie obraża się, a nawet sugeruje, że zaraz możemy sprawdzić czy ja w ogóle mam jakieś predyspozycje. Wyciąga z kieszeni kurtki zawieszone na łańcuszku, mosiężne wahadełko. Każe mi stać spokojnie, dotyka lewą ręką gdzieś w okolicy serca, skupiony, powtarza ten zabieg kilka razy, potem prosi bym wyciągnął w jego stronę, poziomo, obie dłonie. Dyskretnie rozglądam się, bo wyglądać musimy teraz nieco cudacznie. Na szczęście nikogo nie ma w pobliżu — do szosy stąd dość daleko, ale nieliczni, widoczni na polach rolnicy — mają ważniejsze zajęcia.

A tu wahadełko zaczyna się bujać — w lewo i w prawo, coraz mocniej. Malicki jest usatysfakcjonowany.

— No tak, niestety, pan prądów żadnych nie odczuwasz, inaczej mówiąc — mocy nie masz, wyciągnąłem w pańską stronę rękę i już wiedziałem, że nie, bo mrowienia nawet nie czułem...

— Czemu mrowienia?

— No to takie wrażenie, przy tych ludziach, co słabe predyspozycje mają. Ale mam przyjaciela, księdza, w Kieleckiem, też leczy i to o wiele dłużej niż ja. To jak w jego stronę dłoń wyciągnę — to jakby mnie momentalnie prąd poraził...

— Ciekawe...

— ...i prawdziwe. Ale jeszcze o panu: zadałem przy okazji wahadełku kilka pytań, jak pan się rozglądałeś i podstawowe organy ma pan zdrowe. Może coś z wątrobą...

— Dziękuję, ale jeszcze ma się dobrze i nigdy nie dała o sobie znać...

— Spokojnie, spokojnie, ale jeszcze może się odezwać, w niedługim czasie, trzeba na nią uważać, nie przemęczać.

— Nie będę, przyrzekam, ale niech mi pan opowie jeszcze o tych pytaniach adresowanych hm, do wahadełka...

— Najpierw robię test podstawowy, bo nie wiem w którą stronę danego dnia będzie się wychylać na „tak" i na „nie". Zadaję więc pytanie, na które znam odpowiedź, no, na przykład: „Czy żyje mój ojciec?". A potem pytam o stan poszczególnych organów, często dotykając ich ręką, co przyśpiesza i ułatwia odpowiedź.

— To mówi pan naczelniku, żeby na wątrobę baczniejszą uwagę zwrócić, pewnie nie jeść i nie pić byłoby rozsądnie?

— Pan sobie żartuje, ale ja mogę panu nawet powiedzieć jakie wódki są mniej lub bardziej szkodliwe ze względu na zawartość dodatnich ładunków...

— Może parę przykładów, biznesmenom z „Ponalu" na pewno te dane się przydadzą...

— Ja to ręką czuję i wahadełko potwierdza. „Bałtycka" i „Żytnia" — są zdecydowanie najgorsze, ten koniak „Soberano" to ma taką ilość ładunków, jakby z winogron na terenach uranonośnych pochodził; każdemu odradzam. Pewnie pana interesuje, co najmniej szkodzi?

— Właśnie, szalenie mnie to intryguje, pewnie wszystkie „Napoleony"?

— A żeby pan wiedział, porównując z „Soberano" to mają minimalną ilość promieniowania. Podobnie jak i prawidłowo wyprodukowany ...bimber.

— Naprawdę rewelacyjne rzeczy mi pan tu opowiada. Mam nadzieję, że szefowie „Ponalu" przeprowadzą odpowiednie korekty w zaopatrzeniu swych sklepów!

Ale to było wciąż preludium możliwości bioenergicznego naczelnika! Za chwilę „odczarował" mi paczkę „Carmenów"! Sam oczywiście nie pali, bo to strasznie niszczy organizm, tym niemniej zaproponował, że postara się ściągnąć z tej jednej paczki jak największą ilość owych nieszczęsnych, dodatnich ładunków. Przystanęliśmy przy zaparkowanej niedaleko „Skodzie" naczelnika. Tenże ułożył papierosy na masce i znów sięgnął po wahadełko. Koncentrował się przez chwilę, po czym w głos zadał pytanie: — Czy te papierosy są szkodliwe? Po sekundzie mosiężny ciężarek zaczyna swoją wędrówkę — w lewo, w prawo. Już wiem — dzisiaj oznacza to odpowiedź na „tak". Ręka naczelnika niby ani drgnęła, ale...

— A może ja teraz spróbuję? — proponuję.

— Nie, to bez sensu — oponuje pan Stefan. — Nie ma pan żadnych predyspozycji, a więc jeżeli zacznie się wahadełko wychylać, to pan będzie po prostu oszukiwał. A ja tego nie czynię. Spróbuję tę paczkę nieco „uzdrowić".

Wahadełko powędrowało do kieszeni, a Malicki, znów piekielnie skoncentrowany zaczął dłońmi wykonywać krążące, niewielkie ruchy nad „Carmenami". Coraz ciaśniejsze kółka, wreszcie otrząsnął ręce, jak po myciu i sięgnął ponownie po zaczarowany ciężarek. I co powiecie?! Wahadełko zaczęło się bujać w przeciwną stronę! Ta jedna paczka była już o wiele mniej szkodliwa! Z przyjemnością zaciągnąłem się „odczynionym" papierosem. Niestety, ich jakość nie uległa wyczuwalnej poprawie, choć już nie promieniowały. Na propozycję, by spróbować zamienić je w „Kenty" czy choćby „Caro" — naczelnik się obruszył wyraźnie...

— Nie ja pana namawiałem na tę rozmowę, nie chcę też pana do niczego przekonywać. To tak jak z leczeniem chorych: jeśli nie ma wiary, samodyscypliny to szkoda mojej czy innych terapeutów pracy!

— Niech się pan nie gniewa, ale czy to prawda — szybko przeskoczyłem na nowy temat — że w przypadku ludzi chorych najsilniejsze oddziaływanie mają nowotwory.

— Tak, niestety, jest, ale znam wiele przypadków cofnięcia nawet bardzo ciężkich przypadków tej choroby XX wieku.

— Niech mi pan opowie o jakimś przypadku uzdrowienia czy choćby ewidentnej poprawy dzięki pańskiej energii....

— Na razie nie ma sensu, ja nie chcę się tu chwalić, nie jestem poza tym oficjalnie praktykującym, dopiero zamierzam poddać się stosownym testom dla radiestetów i terapeutów, ale mam kilkadziesiąt zaprzyjaźnionych osób, wielu cierpiących na ostre bóle głowy, dokuczliwe migreny, którzy twierdzą, że nawet jeśli przez kilka minut przyłożę im ręce do głowy — to przynoszę ulgę, ból mija.

Energia pana naczelnika jest mu też wielce przydatna w pracy. Twierdzi, że dzięki niej wyczuwa na przykład kto telefonuje, czy przyjaciel czy wróg, z dobrą nowiną czy nie bardzo. I nie ukrywa, że jeśli ma już dość codziennych problemów swojej gminy, skarg, wzajemnych niesnasek i jeszcze dzwoni taki telefon — to prosi panią Jankę, sekretarkę, by powiedziała, że go nie ma. A ta wciąż nie może zrozumieć jakim cudem jej szef wie wcześniej kto telefonował i że akurat nie miał dobrych wiadomości.

Są i inne plusy owych niezrozumiałych „fluidów". Ot, choćby codzienna współpraca w urzędzie. Pan Stefan twierdzi, że wystarcza mu jedno spojrzenie na człowieka i wie, czy to uczciwy, solidny człowiek czy lump, złodziej i pasożyt. Nie ma też problemów ze swoimi współpracownikami, który widzi „jak w rentgenie".

— A ile razy przyjdzie chłop jeden z drugim i gada co mu ślina na język przyniesie, kłamie po prostu, oszukać chce władzę, w piersi się bije, zarzeka. A ja mu w oczy patrzę i wiem, że prawda jest całkiem inna. Ilu potem czerwonych ze wstydu opuszcza pośpiesznie urząd...

— Kilku moim pracowniczkom w okresie ciąży bezbłędnie przepowiedziałem płeć dziecka. W ogóle próśb takich miałem kilkanaście minimum. Ja tego nie notuję, a może i szkoda. Wiem, że tylko w dwóch przypadkach moje opinie nie sprawdziły się...

— Może się pan śmiać, ale jak byłem w sanatorium to i masaże robiłem wielu kuracjuszom, w końcu się już opędzić nie mogłem, kręgi też umiem nastawiać, a wahadełko, które pana tak bawi, pozwala także odczytać czyjąś chorobę, czy w ogóle charakter wyłącznie na podstawie zdjęcia. Podobnie na podstawie tylko planu mieszkania mogę ustalić miejsca, gdzie przebiegają żyły wodne.

— Strasznie mądre to wahadełko...

— Żeby pan wiedział — mądrzejsze od radia...

Jeśli tak, to szybko zorganizowałem panu naczelnikowi jeszcze jeden test. Wyciągnąłem mianowicie zdjęcie osobistej małżonki, co to je wciąż na sercu noszę i znamy się jak łyse konie bez fluidów nijakich i poprosiłem by Malicki stwierdził stan jej zdrowia, może parę cech charakterologicznych...

Znów małe misterium. Pan Stefan ze skupioną twarzą dotyka zdjęcia, zamyka oczy, koncentruje się, wreszcie wyciąga wszystkowiedzący ciężarek i zaczyna. Nic się nie odzywam, gdy wahadełko zaczyna się przesuwać miarowo, najpierw z lewa na prawo i z powrotem, potem dla odmiany we wręcz przeciwległym kierunku.

Wreszcie słyszę:

— Serce zdrowe, chyba wszystkie podstawowe organy w porządku, nic tu groźnego nie widzę, może jakaś mała nerwica żołądka, w ogóle żona należy do nerwowych ludzi. (Kto dziś nie jest nerwowy? — zastanawiam się w duchu) Dolegać jej chyba nic nie dolega. No cóż, charakter ma wybuchowy, łatwo się zaperza, ale urazy w sercu długo nie lubi nosić i do zgody dąży...

— Dajmy sobie spokój, panie Stefanie, toż w tym stylu i bez wahadełka ułożę panu kilogram horoskopów dla każdego znaku Zodiaku...

Tak więc niedowiarkiem byłem i pewnie zostanę. Wahadełka sobie nie zafunduję, bo dzięki Bogu, dziewczyny bajerować to jeszcze bez żelaznego ciężarka potrafię. Te „zdrowsze" Carmeny przekażę w testamencie dyrektorów fabryki papierosów w Krakowie, na bimber przestawię się pod warunkiem, że radykalnie stanieje i „Ponal" zadba o estetyczne etykietki i reklamę w telewizji.

A z panem Stefanem jestem w kontakcie. Przyrzekł mi bowiem, że zabierze mnie ze sobą na wyprawę „po złote runo". Na jakiejś starej mapie wahadełko „skoncentrowane" siłą jego woli na metale szlachetne powiedziało mu bowiem, że coś tam jest zakopane. Może nie Bursztynowa Komnata, ale przyzwoity kuferek złotych „dwudziestek". A wtedy wszystko publicznie odszczekam...

I póki co, po napisaniu powyższego, funduję sobie prawdziwy relaks. Lewa ręka mi ciąży, jest coraz cięższa, prawa waży chyba z tonę, noga lewa jak z ołowiu, zamykam oczy, odprężam się, właśnie leżę na plaży, jest upalnie, roznoszą gratis ananasy, jak to na „Kanarach" w zwyczaju...

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

JAROSŁAW WARZECHA

Intymny atlas anatomiczny

Często chodziliśmy na długie piesze wycieczki. Matka, ojciec i ja. Mogłem mieć sześć, może siedem.

Na początku każdej wycieczki wyszukiwałem ciężki kij, który ciągnąłem potem kilometrami, rysując na ziemi linię.

Ciągnąłem uparcie mimo krzaków, kamieni na wąskich ścieżkach, trzeszczących kładek na strumieniach.

Ktoś przecież będzie tędy szedł i pomyśli — kto zostawił ten ślad? Kto wyrysował go tak uparcie?

A może pójdzie dalej za linią biegnącą mimo wszystkich kamieni na drodze i trzeszczących kładek?

A może nikt nie będzie szedł i nikt na moją linię nie trafi?

Wtedy linia skamienieje, pokryje się igliwiem i liśćmi, ale będzie. Na zawsze. I gdy nawet ja przeminę (co jest przecież niemożliwe!), zostanie ślad.

Przyszedł czas, by zacząć rysować własną linię na ziemi.

Wrześnie, te wszystkie wrześnie z zapachem dymu, z ciepłymi dniami i wieczorami chłodnymi, te wrześnie — kobiety przed ostatnim kochankiem, wrześnie, gdy nie pływa już statek po rzece, a pożółkły rozkład rejsów wisi za zamkniętym okienkiem kasy, gdy pierwsze szkolne wycieczki patrzą na ostatnie letnie pary, gdy kasztany leżą między suchymi liśćmi, a nikt już się nie schyla, chociaż ich skóra jest brązowa, sprężysta i chłodna.

Wrześnie z nadzieją na cały rok — do przyszłego lata.

Tego lata byłem z nią. A nawet jestem z nią jeszcze, ale już o niej nie myślę.

Więc leżę z nią w łóżku. Na parapecie okna na wyciągnięcie ręki gra radio. Leżę i patrzę w sufit. Pomalowany na biało, drewniany sufit.

— O czym myślisz? — mówi ona.

— Myślę o tobie — mówię ja, bo tak mi się jakoś z przyzwyczajenia powiedziało. A może i dlatego, że jeszcze za wcześnie, żebym powiedział, że już o niej nie myślę. A może dlatego, że to jej się należy. Była przecież ze mną i miała tyle nadziei.

Leżę więc i patrzę w sufit. Gra radio. Dziewczyna wstaje. Robi śniadanie.

Patrzę w sufit i widzę twarz innej dziewczyny. Ona coś do mnie mówi. Pamiętam, ale już nie wiem, co wtedy mówiła. Nie mogę sobie przypomnieć.

— Co ci jest? — mówi do mnie ta dziewczyna i wiem, że zaraz zacznie się domyślać.

— Coś mi się przypomniało — mówię i wiem, że popełniłem błąd. Zaniepokoiłem ją. Wszedłem bez niej w jakieś moje wspomnienia, a przecież jeszcze z nią jestem.

— Co? — mówi dziewczyna.

— Przypomniał mi się nasz pierwszy spacer — i naprawdę przypomina mi się nasz pierwszy spacer. Padał deszcz. Szliśmy pod jej małą parasolką i miałem mokre ramię. Między kamieniami jezdni płynęła woda i było ciemno. Podobało mi się, że ma taką silną dłoń. Podobało mi się, że mówi o sobie i że ma białe równe zęby.

Dziewczyna stawia na stole szklanki z herbatą, smaruje bułki.

— Tak, to było piękne — mówi.

— Mhm — mówię i czuję ulgę, że nie wymaga ode mnie niczego więcej. Żadnego potwierdzenia.

Później jemy śniadanie i już nie muszę nic mówić.

Idziemy wąwozem. Jest gorąco, ale tutaj, między żółte ściany lessowej drogi dociera tylko światło u wylotu.

— Posłuchaj — mówi dziewczyna i staje pod wrośniętą w wąwóz lipą.

— Brzęczy — mówię. I jeszcze stoimy i słuchamy wszystkich pszczół tego lata.

Kończy się wąwóz i wychodzimy w przestrzeń słońca. Przy drodze chałupa. Drewniane ściany z odpadającą niebieską farbą. Na drzwiach kłódka. Pusto.

Studnia obok chałupy jest głęboka. Dziewczyna krzyczy do studni moje imię. Bardzo dużo słońca. Może przez to słońce, a może przez tę chałupę ze strzechą i głęboką studnię nie chcę psuć sceny. Patrzę w studnię i teraz ja krzyczę w wodę jej imię. Potem spuszczam wiadro.

Szczegóły — stalowa linka odkręca się z brązowego wyślizganego kołowrotu. Korba sczerniała od deszczu. Brzegi kręgów zarośnięte mchem. Patrzę na to i wiem, że będę pamiętał te niepotrzebne szczegóły. Tysiąc takich studni i wszędzie to samo. Ale ta zostanie. Może przez to słońce? Bardzo dużo słońca.

Siedzimy na rynku, dziewczyna trzyma torbę z czereśniami. Jemy czereśnie. Przechodzą inne dziewczyny. Patrzę za nimi. Odwracam się za jej plecami.

— Ale ty jesteś — mówi dziewczyna.

— Jaki? — mówię i wiem dobrze jaki naprawdę jestem. Ale to było, nim jeszcze zacząłem patrzeć w sufit.

Pada deszcz. Siedzę na łóżku i patrzę na bohomaz na ścianie. Rycerz z krzywą gębą za chwilę wjedzie do rzeki. Zachód słońca. Zarzeką warowny gródek.

— Przyjedziesz do mnie — mówi dziewczyna.

— Przyjadę — mówię i myślę, że więcej jej nie zobaczę.

— Na pewno przyjedziesz?

— Postaram się — i wiem, że to jest odpowiedź. Bo przecież zawsze mogę się nie postarać. — Nie mogłem się postarać — powiem przy jakimś przypadkowym spotkaniu.

Pada deszcz. Będę pamiętał tego rycerza z krzywą gębą, zachód słońca i warowny gródek. Może przez ten deszcz? Bardzo dużo deszczu.

Wychodzę w deszcz. Czas zacząć rysować własną linię na ziemi.

Wrzesień znowu był ciepły, a ja mogłem być wszystkim i mogłem być też niczym. Nie potrafiłem bowiem mierzyć, ważyć i obliczać. Komu potrzebny jest człowiek, który nie umie mierzyć? Nie potrafi też ważyć ani obliczać!

Komu potrzebny jest taki człowiek, nawet z dyplomem w okładce z brązowej skóry, ze złotym orzełkiem, z wykształceniem salonowym?

Tak wtedy myślałem idąc ulicą, bez pojęcia, że choć nie ma już tamtych salonów, to przecież powstały już te salony, i choć te salony to jednak bez wątpienia nie salony tamte, moje salonowe może okazać się nie tak całkiem niepotrzebne.

Jeszcze wtedy nie wiedziałem że...

Jeszcze wtedy nie wiedziałem nic!

I w samym środku wrześniowego dnia, tuż przy wielkich oknach, przez które kiedyś podglądałem sam środek świata, spotkałem działacza.

Następnego dnia szedłem polecony, do gmachu, który kiedyś poznałem. Miał windę.

To było wiele lat wcześniej, ale taka winda już wtedy była jedyna — żelazna ośmioboczna klatka, przeszklona kryształowymi szybkami, z półkolistą pluszową ławeczką. Przesuwało się korbką i winda wolno jechała w górę.

Kiedyś z Grubym Piotrem weszliśmy do tego zawsze pustego korytarza. Przesunąłem rączkę do końca i wyskoczyłem. Jechała do samej góry, pusta.

Widmo — winda.

Winda — widmo.

Windomidmo!

Teraz szedłem na trzęsących nogach, po schodach, bo winda była nie tamta, tylko normalna, jak wszędzie.

Więc po schodach na pierwsze piętro, w drzwi, korytarzem w lewo do końca i jeszcze raz w lewo i w drzwi ostatnie na prawo. Ufff!

Przekraczanie progów. Jednego, później jeszcze jednego i jeszcze tego jednego, poza którym nic nie będzie trzeba przekraczać, tylko być i być do samego końca. Aż.

Ale teraz stałem przed drzwiami. Ten, który miał zdecydować, siedział za drzwiami.

Ja tu przed. On tam. Za.

Ja przed nim.

Ale on wcale nie był ciekawy. Ani mnie, ani o mnie ode mnie. On już chyba wiedział, a raczej wiedział już na pewno, bo nawet dokładnie na mnie nie patrzył, tylko na dwa stare medale leżące na biurku. „Za wierną służbę", „Za najwierniejszą służbę".

Patrzył, dotykał palcami wypukłej głowy Cesarza, gładził wstążki, na których były zawieszone.

Stałem między medalami i wtedy, a może już wcześniej, on zdecydował.

Zgodził się, bym rozpoczął rysowanie swojej linii.

Tu, w codziennej gazecie, znanej w tym mieście, a także w wielu innych miastach w kraju, a może i w jakimś mieście za granicą?

Zgadza się dać mi tę szansę, choć jest to szansa, o jakiej nie śniło się mnie, do trzeciego pokolenia wstecz (sprawdzone!). Tego nie powiedział, ale kiedy spojrzał między spojrzeniami na medale, wiedziałem, że to tylko nie zostało powiedziane głośno.

Ślepy. To była moja ulubiona zabawa — iść ulicą z zamkniętymi oczami.

Zawsze czułem, że odszedłem już bardzo daleko, a gdy otwierałem oczy, byłem zaledwie o kilka kroków dalej. Później, gdy nauczyłem się, że to co czuję, nie jest prawdą, myślałem, że jestem bliżej, ale gdy otwierałem oczy, byłem jeszcze bliżej. Więc gdy zrozumiałem, nie próbowałem się już domyślać, gdzie jestem, tylko otwierałem oczy zawsze zdumiony miejscem, w którym się znalazłem.

To był niewielki pokój z zakratowanym oknem wychodzącym na ślepą ścianę sąsiedniej kamienicy i czarne od smoły dachy komórek.

Nigdy nie dowiedziałem się, co było bardziej w lewo i co jeszcze bardziej w prawo.

Pod ścianami, zwrócone do siebie tyłem, stały zsunięte cztery biurka — dwa pod jedną i dwa pod drugą. Wąskie przejście środkiem i wieszak w kącie przy drzwiach. Wieszak do wieszania.

Perspektywa. Lubiłem stawać między kolejowymi szynami i patrzeć daleko, jak zbiegają się w jednym punkcie.

Szedłem przed siebie, przeskakując z podkładu na podkład, a one ciągle zbiegały się tak samo.

Ale ja szedłem i szedłem, bo chciałem odkryć te wszystkie miejsca, które może są inne, a jednak gdy już do nich dochodziłem, to za chwilę zostawały z tyłu, takie same jak te, koło których miałem przechodzić za chwilę.

Mgła. I drugiego, a może trzeciego dnia (a może jeszcze dużo później) szedłem przez mgłę. Samochody ledwo jechały i ledwo jechały tramwaje w tej mgle, co pozwalała na wszystko niewidocznym po drugiej stronie. Co oni tam...?

Umówił się ze mną w barku na pierwszym piętrze Głównego Hotelu. Aktor Vojtek, co miał monogram jak Volkswagen: Wojtek Vojtek!

— Chodzę tu zawsze między pierwszą a trzecią — powiedział Vojtek i rzeczywiście było między pierwszą a trzecią.

— Pijam tylko pernod — powiedział jeszcze Vojtek — bo przypomina mi dzieciństwo. Mój ojciec jeszcze przed wojną, zawsze po południu pijał...

Ojciec Vojtka przed wojną sprzedawał śledzie. Solone i nie.

Kłębiła się mgła i nie widać było tramwajów pod oknem.

Vojtek był dobrym aktorem i Vojtek miał sukcesy, ale dawno już minął czas, gdy odwiedzał pewną przystojną charakteryzatorkę. Jej mąż ślęczał zawsze wtedy nad kolejnym filmem ze starych kronik.

Teraz przyszedł czas budowania czegoś trwałego. Dom. Modrzewiowy. Z dużym, stromym dachem, krytym gontem, z tarasem wykładanym marmurowymi płytami, z garażem pod tarasem i z małym basenikiem za Domem.

Vojtek był dobrym aktorem i jego udział w ważnych Uroczystych Akademiach był ważny. Spis Członków Komitetu w wykonaniu Vojtka to była liryka i dramat, i tragedia, i porządny kawał komedii.

Kiedyś na spotkaniu z Dobrymi Artystami (a Vojtek był Dobrym Artystą), Najważniejszy powiedział — O, my się przecież znamy — i poklepał Vojtka po plecach.

Żeby zbudować Dom (a może i coś więcej?) trzeba było jak on, ale ja przecież o tym nie wiedziałem i chyba mnie nawet to nie obchodziło. Ja byłem tutaj, żeby napisać o Vojtku-artyście.

Mgła. Siedziałem na pierwszym piętrze Głównego i piłem okropny anyżkowy pernod.

Więc dla nich recytował na akademiach, ale Ich Żony lubiły poznawać go osobiście.

Ich Żony, patrzące zza samochodowych szyb na odrażający świat pieszych, wymiętych tramwajowo-autobusowych.

Ich Żony rządzące za płotami rozległych działek, gdzie stały domy budowane przez chętnych do czynu żołnierzy i więźniów.

Kanapy Ich Żon, wypieszczone i odstawione pod ścianę w magazynie fabryki, do której przyjechałem, by pisać o dobrej pracy zwijaczy sprężyn. To One miały ugniatać sprężyny swoimi wielkimi dupami, podczas pilnej nauki życia wyższych sfer z kryminałów Joe Alexa.

One z pańską pogardą dla tych zwijaczy, strugaczy i palaczy.

One, z brakiem trudności, ze względu na formę żeńską, w prawidłowej wymowie czasowników „wyszłam, poszłam, przyszłam", co nie było już takie proste dla ich mężów zmuszonych używać formy męskiej.

I także One, dla których panie kierowniczki Salonów Handlu Sztuką odkładały marnie wyceniane dzieła, jakich pozbywały się stare ziemianki przyciśnięte rentą, co nie daje umrzeć.

Te dzieła robiły później karierę u antykwariuszy w Wiedniu czy w Paryżu... te same...

Mgła. Vojtek był naprawdę dobrym aktorem, a ja wiedziałem, jak o tym napisać dla swojej codziennej gazety, chociaż ciągle nie wiedziałem jeszcze tylu rzeczy.

Mgła dawno opadła, ale zostało jej trochę gdzieś, tam w pokrętnych zakamarkach skłębionej szarej substancji. Ta odrobina mgły, o której nie pamięta się przecież na co dzień, z którą żyje się jak z wadą serca i która przypomina się dopiero, gdy nie można złapać powietrza.

Ta odrobina mgły jak ślepota na barwy. Wszyscy widzą, tylko ten jeden, nie podejrzewany nawet, przechodzi nagle przy czerwonym świetle.

Te trochę mgły jak wada wzroku widzącego ptaka na gałęzi dalekiego drzewa, lecz niewidzącego drobnych kółek leżącego na dłoni zegarka.

Kółek i kółeczek obracających świat!

Więc nie widziałem.

Kręciły się gdzieś obok, ponad, pod.

Niekiedy wyczuwałem jakby ich gwałtowne drgnienia, ale przeważnie obracały się cicho i niedostrzegalnie.

Inni opowiadali czasami jak funkcjonują, w którym miejscu zahaczają jedne o drugie i gdzie wystarczy wepchnąć szpilkę, by działały zgodnie z wolą.

Nagroda nie była więc nagrodą, kara może wcale nie była karą, a grzech był tylko cytrynowym albo migdałowym olejkiem do ciasta?

Migdałowy smak grzechu.

One ciągle były — Julie i Ewy i nawet Cecylie — jak kiedyś tamta Cecylia, której imię zostawało w gardle, choć minęło przecież wiele lat, pełnych godzin przepełnionych minutami, bogatymi jak całe lata. One ciągle były ze mną, a może obok mnie, bezgrzeszne i ja, mimo wszystkiego co robiliśmy w dzień i w nocy, razem i osobno, na lądzie, w wodzie i powietrzu.

Wszystko szło i szło.

Główna Ulica błysnęła pewnego dnia sznurami kolorowych lampek rozwieszonych przez całą szerokość. Mogło być tych sznurów trzysta, a może więcej?

Może nawet trzysta sześćdziesiąt sześć? Po jednym na każdy dzień roku Przestępnego?

Na razie miałem zająć się opisem kolorowych lampek, ale niedługo może przyjdzie czas na całą prawdę? On mi to przyrzekł wtedy, tam, w gabinecie, między orderami za najwierniejszą służbę. Prawda, nie przyrzekał wprost, raczej dawał do zrozumienia, ale czy mógł inaczej?

Przyrzeczenie jest przecież przyrzeczeniem, a Cała Prawda może się objawić dziś, lub jutro, a najwyżej pojutrze.

(Fragment powieści przygotowanej dla Wydawnictwa Łódzkiego)

Wirydarz poetycki

Ryszard Przymuś

Ranek

Ranek wschodek schodków
dnia nie urządzonego,
jeszcze jest orbitą bambosza
i szumem deszczu w ścianie,
językiem dalekiej podróży.
Tymczasem biały klawesyn
zajeżdża z szykiem przed wieżowiec,
tymczasem znów ta zdarta płyta
tymczasem, tym — czasem...
Najwyższa pora.
Otwierasz słońce,
wybijasz powietrze,
podajesz rękę...

Wywrócić świat

Wywrócić świat —
taboret przywiązać do drzewa,
poręcz przetopić w kielich ziemi,
ptakom przyprawić skrzydła,
ryby obdarzyć płetwami,
słońce zakopać jak jabłko na zimę,
księżyc posmarować masłem z Nowej Zelandii,
przeskoczyć siebie,
przekrzyczeć siebie,
przemyśleć świat,
i zamienić go w inne słowa
niż te, które są ropuchami ulicy.

Wacław Krakowski

Widma retkińskie

Jak się dowiedzieć
czego chcą nawiedzający mnie
po tamtej stronie pozostali
ludzie

ręka za krótka
by podać
a po westchnieniu
nie przejdą

a może na wiersz czekają
tylko jak zwrotki ułożyć
by nie zawaliły się
nagle

Luty 1984 r.

Ewa Patura

Śnieżna impresja

Śnieg
Jest nieuchwytnym snem
Poetów i obłąkanych
Jest zesłaniem niebiańskim
I perwersją grzesznych myśli
Zapach dojrzałego turkusu
Wdzierający się w nozdrza
Śnieg
Łagodny oddech bóstwa
Jest nową nadzieją
I nowym szaleństwem życia
Kochać się na śniegu

☆ ★ ☆

Zamknięci w konturach naszych ciał
Dyszący pod bezkształtną masą myśli
Śnimy o wypłynięciu
Ponad skuteczność spojrzeń
Dosłowność muśnięć
Niedoskonałość oczekiwań
Kiedyś przyjdzie uspokojenie
Nadmiarem gasnących szeptów
Skowytem blaszanego kubka
Spadającego z kamiennych schodów
Wiatrem oszalałych
Płóciennych koszul
Kiedyś przyjdzie uspokojenie
W otoczce
W przejrzystomlecznym pęcherzu
Drgającym
Zespalającym się z rytmem serca
Słodkawomdłym
Białe łóżko
Drewniany krucyfiks
Który kiedyś mógłby być ucieczką
Już nie teraz
Kiedyś przyjdzie uspokojenie

Daremna „powtórka" ze Słowackiego

Są sztuki, których przypominanie jest oczywistą powinnością teatru, a należy do nich bezsprzecznie „Kordian". W tym roku (nie każdy o tym wie lub pamięta) mija „Kordianowi" 150 lat i jest to dodatkowy powód, żeby pokazywać go publiczności, zwłaszcza w ośrodku tak ważnym teatralnie, jak Łódź. Zawsze powinien być jednak jeszcze jeden powód: odczuwana przez reżysera potrzeba przekazania widzom swojego osobistego stosunku do dzieła.

Zakładam, że w Teatrze Studyjnym wchodziły w grę wszystkie te powody, uzasadniające wystawienie sztuki, przedstawienie nosi bowiem wyraźne, bardzo wyraźne piętno osobistej wypowiedzi młodego reżysera ZBIGNIEWA MICHA, który jakby na usprawiedliwienie skrajnego subiektywizmu swojej interpretacji „Kordiana" przywołał małe słówko: „według".

Ale czy owo asekuranckie „według" nie zobowiązuje oceniającego do dociekań — czemuż to tekst sztuki Juliusza Słowackiego o spisku koronacyjnym okazał się dla zamysłów inscenizatora i reżysera niewystarczający i jakiż to artystyczny zamysł temu przedsięwzięciu przyświecał?

Przyznam się, że napotkałem nieprzezwyciężone trudności doszukując się uzasadnień dla tej nowej inscenizacji, dla wielokrotnych zmian kolejności scen i dla literackich wtrętów, wśród których zdołałem rozpoznać fragmenty „Lambra" i „Godziny myśli", a nie jestem pewien, czy w tej „powtórce" ze Słowackiego nie było jeszcze innych utworów.

Nie brakło zresztą udanych pomysłów reżyserskich, jak np. z „Przygotowaniem" pokazującym, jak to w diabelskim tyglu — niby w retorcie Fausta — wykluwają się niefortunni polscy wodzowie, co tutaj zrealizowano na dowcipnie wmontowanej scence wędrownego teatrzyku lalkowego, a przeprowadzono bardzo sugestywnie i sprawnie. Pomysłowo wyzyskano też przeciwległe balkony widowni w wizycie **Kordiana u Papieża** czy kłótni **Cara z Konstantym.** Ale przeważały sytuacje i rozwiązania niedostatecznie się tłumaczące i powodujące zamęt, aż wreszcie doszło do tego, że najbardziej nieprawdopodobny pomysł wydawał się już możliwy.

Najważniejsze jednak, że bezceremonialne zerwanie reżysera z następstwem scen (mniejsza o to, że uświęconym tradycją, lecz przecież umotywowanym logiką rozwoju akcji i przemian bohatera) nie posłużyło stworzeniu w zamian jakiegoś porządku logicznego, który byłby dostatecznie klarowny. Te odstępstwa od autorskiego porządku rzeczy znalazły swój najsilniejszy wyraz w potraktowaniu zakończenia aktu II jako końca utworu, co — moim zdaniem — zbyt samowolnie i dowolnie spointowało ideę autora.

Pomijam już to, że los Kordiana został wcześniej definitywnie przesądzony, skoro kurier wiozący ułaskawienie nie zdążył na miejsce egzekucji („oficer rękę podniósł w górę"), a tu mamy Kordiana do tego stopnia żywego, że osobiście wdrapał się na sam szczyt Mont Blanc. A jeśli nawet wzniósł się tam duchem, to czy jako duch ma spaść na dół, aby zawołać, iż „Polska Winkelriedem narodów" i wydać okrzyk: „Polacy!"? Bez sensu byłby taki zamysł i według mnie całkiem sprzeczny z polityczną, a nie mistyczną materią tego utworu.

Ale, co gorsza, to zakończenie II aktu, w swojej zmienionej funkcji, jakby wieńczącej myśl przewodnią autora, nabiera też całkiem innego znaczenia. Po porównaniu bowiem Polski z Winkelriedem, który skierował w swoją pierś dzidy nieprzyjaciela, wezwanie do Polaków w swej masochistycznej raczej niż patriotycznej wymowie zawiera przecież apel o krwawą, mesjanistyczną ofiarę, równą narodowemu samounicestwieniu. Bo co u jednostki można uznać jako jej prawo (a niekiedy obowiązek moralny) do poświęcenia życia za innych, to w odniesieniu do narodu takie „wymaganie" oznacza skazanie go na hekatombę, a takich nieodpowiedzialnych przywódców niestety nam nie brakło.

Zważmy zresztą, iż u Słowackiego ten akcent jak gdyby bezkrytycznej aprobaty dla Winkelrieda i zatarcie granicy między ofiarą jednostki a ofiarą narodu ulega znacznemu złagodzeniu i zatarciu przez sceny późniejsze — przez samo fiasko zamachu na cara, przez zabarwione sceptycyzmem i polityczną trzeźwością nauki doktora w szpitalu wariatów, a ponadto nie wolno chyba całkowicie utożsamiać postawy autorów z wypowiedziami pozytywnych bohaterów, jak to bywa w literaturze dydaktycznej.

Po obejrzeniu tego aż 4-godzinnego spektaklu rodzi się też pytanie, czy w takim razie te rozliczne zabiegi kompozycyjne, których byliśmy świadkami, miały służyć tylko tej, jakże wątpliwej poincie, jaką nam zaserwowano, czy jakiejś niedocieczonej dla mnie myśli? Można też mieć sporo zastrzeżeń, czy na barki tak młodego i zbyt mało doświadczonego zespołu nie włożono zadań zanadto odpowiedzialnych? Nie zdołał ich udźwignąć, występujący w tytułowej roli, młody i niewątpliwie uzdolniony aktorsko JAROSŁAW DUNAJ, tworząc postać nie dość chyba spójną wewnętrznie, choć z uznaniem trzeba się odnieść do uwolnienia podawanego tekstu od niebezpieczeństw koturnowości. U wielu aktorów niepokoiła też zupełnie kiepska dykcja, co obserwuje się nie tylko w tym teatrze, i nie tylko w Łodzi. Mnie usatysfakcjonowały najbardziej role: TADEUSZA TEODORCZYKA jako **Grzegorza** i **Starca,** ZBIGNIEWA MICHA jako **Mefistofelesa (Doktora)** i JOLANTY NIWIŃSKIEJ w roli **Papieża** (przy całej wieloznaczności tego pomysłu).

Z opracowania scenograficznego najwyżej oceniłbym kostiumy, zwłaszcza projekty lalek, muzyka natomiast wydawała mi się w swojej funkcji jakby niedookreślona.

Zespół poniósł z pewnością duży wysiłek i — jak to się nieraz pisze — dał z siebie bardzo wiele. Czy jednak każde nowe doświadczenie artystyczne przyczynia się do pomnożenia wiedzy i umiejętności nie doświadczonych artystów i wzbogaca je w pożądanym kierunku? Nie wiem więc, czy wolno ostateczny efekt przedstawienia skwitować zdawkowym pocieszeniem, że poniesione trudy na pewno nie pójdą na marne i zaowocują w przyszłości...

JERZY KWIECIŃSKI

„Kordian" według Juliusza Słowackiego. Reżyseria — ZBIGNIEW MICH, współpraca reżyserska — WOJCIECH KOBRZYŃSKI, scenografia i lalki — JOANNA BRAUN, muzyka — WOJCIECH GŁUCH, KRZYSZTOF ŚCIERAŃSKI. Premiera prasowa 10.IV.1984 r. w Teatrze Studyjnym '83 im. Juliana Tuwima.

Nie wszystko złoto, co się świeci

Czy wiecie Państwo, jaka jest recepta na sukces w dziedzinie rewii? Otóż do przygotowywanego programu należy włączyć: skecze, monologi, dowcipy oraz nieodzowne schody, gdyż „schody wciąż nie mogą wyjść z mody", a wówczas zamiast płyty murowany sukces! Te wszystkie odkrywcze informacje uzyskałem podczas projekcji filmu pt. Lata dwudzieste, lata trzydzieste" w reżyserii rodzimego specjalisty od tzw. produkcji rozrywkowej, Janusza Rzeszewskiego.

Autorami scenariusza są: znany satyryk Ryszard Marek Groński oraz Michał Komar, który z łatwością przeskakuje z tajemniczych obszarów magii i psychotroniki w świat szeleszczących sukien i woalek.

Już na płaszczyźnie literackiej scenariusz razi swą naiwnością. Historyjka inżyniera, który postarawia się zemścić na wspólnikach za niedostarczenie wierteł, aż roi się od naiwnych rozwiązań. Bodajże pięć lat temu Rzeszewski zrealizował film pt. „Hallo, Szpicbródka". *Oglądając „Lata dwudzieste..." nie sposób nie powiedzieć:* przecież to znowu ten sam schemat, ta sama metoda realizacji. Zmienili się tylko bohaterowie powieści. Kasiarza kupującego teatrzyk, aby obrabować bank zmienił kolejny amant. Tym razem jest nim nafciarz. Osobiście, nic nie mam przeciwko ponownemu wykorzystywaniu w kinie tematów już niejako „kultowych" przez publiczność, wszak są reżyserzy robiący stale swój, ten sam film. Nazwisk nie wymienię, gdyż pisząc o takim filmie jak „Lata dwudzieste, lata trzydzieste" byłoby to zbyt wielkim wyróżnieniem dla Rzeszewskiego umieszczenie go obok tych reżyserów.

Banałów i konwencjonalnych rozwiązań jest w filmie co niemiara. Jeśli pojawia się postać baletmistrza, to musi być on koniecznie Rosjaninem, a na dodatek zdegenerowanym alkoholikiem, dla którego jedyną zapłatą (bo innej jakoś nie otrzymuje) jest butelka wódki. Skoro inżynier Dereń zapałał tak wielką i czystą miłością do kopciuszka zmieniającego się, dzięki wytężonej pracy, z podręcznej śpiewaczki w gwiazdę pierwszego formatu, to dlaczego w końcu porzuca ją i wraca z powrotem do spartańskich warunków? Chyba większość ludzi wolałaby spać w atłasowej pościeli, niż na żelaznych łóżkach, jadać w wytwornych restauracjach. A może w bohaterze odezwał się romantyzm i zamiłowanie do świeżego powietrza?

Od momentu, gdy kupuje on teatr, reżyser i scenarzyści robią do publiczności wielkie oko. Kochani nie martwcie się! Wszystko zakończy się dobrze. Kopciuszek zostanie gwiazdą, a teatr „Miraż" będzie świetnie prosperował. Miała to być „słodka tajemnica" autorów filmu. Niestety, w ten sposób odbiera się widzowi chęć dalszego oglądania. Wiem, że niby pewne prawa gatunku, że niby jak w bajce itd., lecz jest to po prostu źle skomponowana bajka. Mógłbym dalej wyliczać miałkość fabuły, ale darujmy sobie te analizę.

W „Latach dwudziestych..." Rzeszewski czerpie hojną ręka z elementów charakterystycznych dla rewiowego widowiska. Czegóż tu nie ma! Są girlsy zasłaniające wachlarzami piersi, samochody na scenie, psy, tancerze, gwiazdy, no i ... oczywiście schody. Wielkie rozświetlone schody, na których tańczą, po których schodzą artyści. Wszystko razem trąci kiczem i brakiem dobrego smaku. Rozumiem, że konwencja rewii wymaga schodów, gdyż są one nawet w Casino de Paris, ale lepiej już oglądać od czasu do czasu rewię w telewizji, niż przeznaczać duże kwoty pieniężne na realizację filmu fabularnego. Czy ciągle w naszej kinematografii nie może być innej formuły do zaprezentowania popisów wokalno-tanecznych, jak tylko schodowo-teatrzykowe? Wyjdźmy w końcu z tego zaklętego kręgu, a trafniej będzie powiedzieć — zejdźmy ze schodów!

Rzeszewski dla ratowania filmu zaangażował całą plejadę bardzo dobrych aktorów: Piotra Fronczewskiego, Dorotę Stalińską, Grażynę Szapołowską czy Tomasza Stockingera. Mimo że wszyscy mają w swym dorobku wiele udanych ról, w tym filmie jednak nie wzbijają się ponad poprawność. Może nagromadzenie takiej ilości sław na jednym planie filmowym spowodowało taki efekt, a może jest to po prostu wina samego reżysera?

Umyślnie podając nazwiska występujących w filmie aktorów nie wymieniłem Jana Kobuszewskiego i Krzysztofa Kowalewskiego. Są oni najjaśniejszymi postaciami tego filmu. Dla nich scenarzyści wymyślili zabawne dialogi i sytuacje. Szczególnie Kobuszewski w roli Maksymiliana Fuksa kaleczący język i posługujący się swoistą logiką, prezentuje tutaj swą vis comica. Żałować należy, że jest on tylko postacią drugoplanową.

Naprawdę niewiele dobrego można powiedzieć o „Latach dwudziestych...". Trochę zabawnych dialogów, parę ciekawszych dramaturgicznie scen i wcale nie są to sceny rozgrywające się na estradzie teatru „Miraż", a więc te, dla których zbudowano całą historię, byłoby wszystkim. Może jeszcze jedna uwaga należy się Rzeszewskiemu. W sekwencjach teatralnych elementy scenografii nieustannie rozbłyskują światłami, ale jak brzmi przysłowie: nie wszystko złoto, co się świeci.

Jest faktem, że film ma tzw. szeroką widownię, ale wynika to raczej z reklamy i nazwisk aktorów widniejących na plakatach. Nie sądzę jednak, aby większość widzów była zadowolona po obejrzeniu „Lat dwudziestych, lat trzydziestych".

WALDEMAR BĘDZIŃSKI

Dlaczego ten antykwariat jest przy Piotrkowskiej?

Nigdy za dużo książek o przeszłości Łodzi. Rosną młode pokolenia, które tej przeszłości nie znają, a i starszym przyda się przypomnienie sobie tego i owego. Zresztą obywatele Łodzi nie zawsze chętnie przyznają się do wszystkiego, co składa się na przeszłość ich miasta i regionu. Warto więc stale do tego wracać i odkrywać tak przed młodymi, jak i starymi uroki tego, co w Łodzi już minione. Zrobił to w swej ostatniej książce Jerzy Wilmański. Nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej ukazał się „Antykwariat przy Piotrkowskiej". I autor wyjaśnia, dlaczego ten łódzki przecież antykwariat umieścił przy ul. Piotrkowskiej:

„Antykwariat przy Piotrkowskiej. Właśnie tu, bo ta ulica symbolizuje całą przeszłość i teraźniejszość miasta".

Zresztą już Jan Izydor Sztaudynger śmiał się z tej łódzkiej przywary, pisząc:

„To największą w Łodzi troską,
by Łódź całą zmieścić na Piotrkowską".

Jakżeby inaczej mógł postąpić Jerzy Wilmański — miłośnik wielki wszystkiego co łódzkie — jak nie umieścić swego antykwariatu przy ul. Piotrkowskiej.

Antykwariat — lojalnie określa to charakter książki. Jest to zbiór anegdot, faktów, wycinków prasowych, zdarzeń od roku 1884 do roku 1945. Autor z góry zresztą zastrzega i przestrzega, że w jego antykwariacie *„wszystko może być niespodzianką i zaskoczeniem, gdzie nie ma wyrównanej pod sznurek chronologii, a przyszłość — nie koturnowa a codzienna".* Antykwariat, jak sama nazwa wskazuje, jest takim miejscem, w którym gromadzi się stare książki i rzeczy, które mogą jeszcze przydać się współczesnym.

Jerzy Wilmański opisuje więc, jak powstał w Łodzi „Dziennik Łódzki" i przypomina ludzi związanych z jego narodzinami, a przede wszystkim Henryka Elzenberga. Pisze o starych łódzkich pismach i ludziach z nimi związanymi, o teatrze Aleksandra Zelwerowicza i kinematografie „Casino", o skandalu wywołanym przez Juliana Tuwima i nagrodzie literackiej dla niego, a także poszukuje śladów Zenona Pietkiewicza — łódzkiego korespondenta warszawskiego „Złotego Rogu". Można byłoby zresztą długo jeszcze wymieniać, co można znaleźć interesującego w antykwariacie Jerzego Wilmańskiego. Ale mnie zafrapowały szczególnie dwie sprawy.

Pierwsza — to próba przypomnienia i uporządkowania starych nazw łódzkich ulic. Nie jest to zajęcie dla felietonisty, dla zbieracza starych pism i książek — a więc antykwariusza — ani dla pisarza. Jest to zajęcie dla historyka. Jerzy Wilmański oburzony na nieustanną zmienność nazw ulic w Łodzi mimochodem przypomina ich historię w tych nazwach zawartą. I jest to rzecz niebywale pożyteczna. Nie mogę więc mieć pretensji do autora, że swoje zestawienie nazw zrobił zbyt powierzchownie i zupełnie przypadkowo. Sądzę, iż nadszedł już czas, aby zajęli się tym historycy, archiwiści i sporządzili pełny zestaw zmiany nazw, co dla miłośników przeszłości miasta byłoby nieocenioną pomocą.

Bo z tymi nazwami ulic w Łodzi ani nie było, ani nie jest tak prosto. Oto na przykład dzisiejsza Zarzewska nosiła niegdyś nazwę Nowozarzewskiej, a dawna Zarzewska — to dziś Stefana Przybyszewskiego, ale nie Stanisława Przybyszewskiego — jak niektórzy nie pamiętając o imieniu sądzą — a działacza robotniczego.

Spacerowa — pisze J. Wilmański — to aleja Tadeusza Kościuszki. Tak, ale niezupełnie. Otóż bowiem właściwa Spacerowa, to tylko część dzisiejszej alei T. Kościuszki od Zielonej do Andrzeja. Natomiast od Andrzeja do Rozwadowskiego (czyli dziś Ludwika Zamenhofa) nosiła nazwę: Nowospacerowa. Obie te ulice przegradzał dom modlitewny braci morawskich, który został rozebrany dopiero w 1904 roku i obie te ulice mogły się połączyć i tak powstała była Spacerowa, a dzisiejsza aleja T. Kościuszki.

I tak można by o wielu innych łódzkich ulicach. Powtarzam — nie czynię z tego zarzutu, zwracam jeno uwagę specjalistom, że czas wziąć się do pracy i rzecz całą miłośnikom przeszłości wyłożyć.

Druga sprawa — to bardzo trafna prognoza przyszłości miasta, jaką 17 kwietnia 1928 roku w „Ilustrowanej Republice" opublikował niejaki F., a którą to prognozę odnalazł i przytacza Jerzy Wilmański, za co mu się należy serdeczne podziękowanie.

Książkę Jerzego Wilmańskiego pięknie ozdobił rycinami Stanisław Ibis-Gratkowski. W sumie powstała ładna całość. Ale, jak to zwykle bywa, w najbardziej zgranym zespole zawsze się znajdzie jakiś patałach, który na tej pięknej całości zostawi albo brzydkie plamy, albo fatalną rysę. W przypadku „Antykwariatu przy Piotrkowskiej" pretensje można — a nawet trzeba mieć — do korekty KAW. Błąd w nazwisku Wiesławy Kaszubiny (Kaszublina — na stronie 44), to poważna plama na honorze korekty. Rodzi to wątpliwość, czy w innych wypadkach pisownia jest poprawna? Na przykład na stronie 51 czytam: *„Gdy w 1920 r. zawiązała się Selekcja Entomologiczna przy Lwowskim Oddziale Polskiego Towarzystwa Przyrodników..."* — to nie wiem, czy błąd to korekty, czy oryginalna nazwa sekcji.

Ale już w zestawie nazw ulic na stronie 76 błąd ewidentny w nazwie ulicy Milszej. Napisano nazwę tej ulicy: Milsha. Jest to dawna nazwa ulicy Mikołaja Kopernika. Zarówno w pisowni tej ulicy w spisie ulic Łodzi załączonym do książki „Rewolucja 1905—1907 w Łodzi i okręgu", jak też tomie I „Łodzi. Dziejów miasta" w podpisie do fotografii 29 widnieje nazwa ulicy: Milsza. Więc chyba korekta KAW nie ma racji.

Są to wprawdzie drobiazgi, ale czasem drobny pryszczyk może odebrać część uroku pięknej twarzy. Tak i tu drobne błędy korektorskie psują troszeczkę urok tej książki.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

PS. W czasie obrad VI Zespołu Krajowej Konferencji Delegatów na IX Zjazd PZPR Albert Kosowski — drukarz z Warszawy — zwrócił się do pisarzy, recenzentów i dziennikarzy, aby w metryczce książki recenzowanej podawali też, kto ją wydrukował i jak to uczynił. Może nie miejsce na to w metryczce, ale w recenzji, jeśli trzeba, można to uczynić. „Antykwariat przy Piotrkowskiej" Jerzego Wilmańskiego drukował Zakład Graficzny WSiP w Łodzi. Zrobiono to dobrze. Ale chciałbym poznać nazwiska korektorek KAW.

Z korektą dzieje się coraz gorzej. W „Odgłosach" również.

L. W.

Jerzy Wilmański, „Antykwariat przy Piotrkowskiej", KAW, Oddział w Łodzi, Łódź 1983, str. 120, cena: 70 zł.

Medium

Dokończenie ze strony 1

miałam tyle lat, ile miałam, że chciałam być aktorką i zafascynowana byłam dwiema kobietami-gwiazdami. Byłam pod wielkim wpływem Beaty Tyszkiewicz i gigantycznym — Elżbiety Czyżewskiej, która do dziś jest dla mnie jedną z najwybitniejszych aktorek. Obserwowałam wtedy każdy jej gest, sposób mówienia, reakcji, ubierania, stylu życia i tego jak podchodzi do roli, jak się koncentruje.

— Ile miała pani lat?

— Czternaście.

— A wyglądała na dziewiętnaście.

— Może, na premierze nie znający mnie ludzie zobaczyli tłuściutkie dziecko. Obecnie znajomi mówią, że wyglądam młodziej niż w czasach moich wcześniejszych filmów.

— Jak wiodło się pani na studiach aktorskich?

— Do PWSFTviT przyszłam z pewnym dorobkiem aktorskim, po poznaniu wybitnych osobowości filmu i w jakiś sposób skażona i nasiąknięta różnymi prądami, które wykraczały poza ramy szkoły. Wydział Aktorski ukończyłam w ciągu 2 lat, będąc przyjęta na drugi rok i później idąc poza normalnym tokiem studiów. Będąc na roku dyplomowym studiowałam już na I roku reżyserii. W czasie studiów grałam w filmach, ten okres był niezwykle intensywny.

— A po dyplomie aktorskim?

— Rzeczywistość zawodowa objawiła mi się jeszcze przed szkołą. Po dyplomie przekonałam się, że jednak szkoła jest gdzieś obok tej rzeczywistości i później wróciłam jakby bardziej dojrzała, świadoma.

— Zdecydowała się pani na pracę w filmie i TV, co u nas jest luksusem, na który mogą sobie pozwolić nieliczni aktorzy. Pani mogła, bo chciała czy musiała?

— Był to mój świadomy wybór, bo zależało mi na decydowaniu o moim losie aktorskim. Jestem osobą zbyt żywiołową, aby być przykutą do jednego miejsca. Poza tym pasjonował mnie film i chciałam sprawdzić swoje predyspozycje w tym kierunku.

— Zagrała pani kilkadziesiąt ról, z tej liczby przy ilu by się zatrzymała?

— Przy trzech: dziewczynie ze „Wszystko na sprzedaż", bo spowodowała mój wybór, zostałam pobudzona przez Wajdę, Teresce z „Hubala", bo dała mi największą popularność, Małgorzacie z „Fausta", która pogłębiła moją aktorską świadomość.

— W pamięci widzów zapisała się pani jako Tereska z „Hubala" i powtórzyła swoje emploi w kilku następnych rolach, później narodził się w pani bunt?

— Bunt narodził się wtedy, gdy poczułam, iż jestem osobą zdefiniowaną przez środowisko i widzów. Zawsze uciekałam od definiowania i zmieniając radykalnie swoją zewnętrzność, bawiąc się tym, z czasem dojrzewania, pogłębiania, rozszerzania mojej świadomości, starałam się wymknąć tym definicjom i określić się sama.

— W filmie gryma pani rzadziej niż dawniej?

Foto: Małgorzata Potocka

— Na pewno spowodowały to studia reżyserskie, którymi byłam zajęta, niegrywanie w teatrze i niezbyt częste przebywanie na publicznym forum. Podejrzewam, że część reżyserów nie angażuje mnie w tej chwili, bo myśli pewnie, że przewróciło mi się w głowie, że taka „przemądrzała aktorka" nie jest wygodna we współpracy, może nawet myślą, że zrezygnowałam... Ale nie wszyscy lubią ryzyko.

Grałam też w filmach: czeskim, jugosłowiańskim i polsko-austriackim. Do tego ostatniego „Księżycowa droga" zaangażował mnie Maciej Wojtyszko, który zaryzykował i pokazał mnie w zmienionym emploi. Mimo że nie byłam tam na pierwszym planie, to było dla mnie korzystne doświadczenie aktorskie.

— W jakim filmie wkrótce panią zobaczymy?

— Zagrałam niedużą rolę w nowym serialu TVP, który ma wkrótce wejść na ekrany.

— Dlaczego boi się pani teatru?

— Nie boję się teatru i myślę, że będzie to dla mnie jeszcze jedno wielkie przeżycie aktorskie, na które czekam. Ale jestem bardzo kapryśna i prowadzę ostrą selekcję tego w czym biorę udział. Chociaż bardzo trudno zdobyć tę pozycję niezależnego i wolnego artysty..., co daje możliwość wyboru.

— A gdyby zagrała pani w teatrze, to w jakiej roli?

— Nie ma to znaczenia. Byłam osobą, która nigdy nie miała jakiejś idee fixé. Role, które grałam dawały mi mniejszą lub większą satysfakcję, ale nie żyję marzeniem, bo byłabym ciągle zgorzkniała i zawiedziona, że to ciągle nie jest to. Tymczasem okazuje się, że to nie tylko wielkie role mogą przynieść satysfakcję.

— Na co więc czeka pani w zawodzie aktorki?

— Na dobre propozycje.

II. REŻYSER

— W wywiadzie dla „Sceny" powiedziała pani, że uważa się przede wszystkim za filmowca i dlatego studiowała reżyserię, mówiąc o stworzeniu pewnego rodzaju „własnego kina". Można to zrozumieć różnie, a jakie to miało być kino według pani zamysłu?

— Nie kino jako „własność", tylko własne, osobiste kino. Robię filmy skromne, bardzo subiektywne, głównie o sztuce współczesnej, ale mam dwa gotowe scenariusze na filmy fabularne i może uda mi się je zrealizować.

— O czym opowiada pani fabularny film „ZOO"?

— „ZOO" jest filmem fabularnym z niefabularną konstrukcją, a fabularną narracją. Jest filmem o sile wewnętrznej, wielkiej aktywności, wierze, rozczarowaniach, niepewnościach i błędach, aby widz był zmuszony do refleksji i określenia przed samym sobą swoich dążeń i wątpliwości. Próbuję przedstawić atmosferę, w której żyje moje pokolenie, na podstawie strzępów, fragmentów życia mojej bohaterki, którą sama gram. Moim zamierzeniem było, aby bohaterem filmu stała się otaczająca nas rzeczywistość. W tym obrazie zawarłam wiele wątków autobiograficznych.

— A więc znowu pani, z tej i z tamtej strony kamery. Czyżby była pani aż taką egocentryczką?

— Jestem egocentryczką.

— Zaangażowała pani nawet własnego męża?

— Od momentu, kiedy spotkałam mojego męża, życie moje kompletnie się zmieniło. Ma on ogromny wpływ na mnie i na pewno bez niego nie zdarzyłoby się to wszystko co robię. Znakomicie mi się z nim pracuje i on rozumie mnie nie tylko jako kobietę-żonę, lecz głównie jako twórcę. Liczę się z jego opinią, która ma duże znaczenie w mojej pracy. To, że rozwijam się powoduje jego konsekwentna i twórcza postawa. „ZOO" było przy okazji naszą prywatną przygodą, w której mąż mnie zaskoczył, bo okazał się lepszym aktorem ode mnie.

— Był to jak do tej pory jedyny pani film fabularny?

— Wcześniej zrealizowałam „Aberację", napisaną na podstawie ekspresjonistycznego opowiadania Stanisława Grabińskiego z 1917 roku — „Szary pokój". Film traktuje o obsesji człowieka posiadającego sobowtóra i jego nieustannej ucieczce przed własnym wizerunkiem.

— Myśli pani o reżyserii prawdziwego filmu kinowego?

— Myślę, że bardzo prawdziwe są rzeczy, które robię, czyli jakby długość filmu nie może o tym stanowić. Często spotykam się ze zdaniem: „Zrobiłabyś duży, porządny film fabularny", bo w powszechnej opinii krótkie filmy mają mniejsze znaczenie, co jest nieprawdą. Nie mam ambicji udowadniania komukolwiek, że mogę też zrobić „prawdziwy film".

— Jest pani tylko słabą kobietą. Czy znajdzie więc w sobie tyle siły, aby zapanować nad sztabem pracowników technicznych, aktorami, statystami itp.?

— Nie jestem słabą kobietą i jak do tej pory nigdy nie miałam problemów z ekipą. Starałam się, żeby te ekipy były jak najmniejsze i do współpracy dobieram ludzi, którzy mają podobny światopogląd co ja i pracują jakby na podobnej fali. W praktyce ma to ogromne znaczenie, aby nie tracić czasu na przekonywanie kogokolwiek o słuszności mojej idei.

— Ma pani jakiś reżyserski ideał w kobiecym wydaniu?

— Nie jest dużo kobiet-reżyserow, ale ostatnio coraz więcej. Interesujące są dla mnie: Valia Export, Rebecca Horn i ze starszej generacji Margaret Duras i nieżyjąca już Germain Dulac. Jednak nie jestem wyznawczynią prądów „women liberation" i nie chcę się utożsamiać z tzw. kinem kobiecym. Pragnę, aby moje kino było bardzo osobiste, dlatego zdaję sobie sprawę, że nigdy nie będzie ono dla tzw. szerokiej publiczności.

— Jakie są pani ambicje w tym drugim zawodzie?

— W aktorstwie i reżyserii mam takie same ambicje, takie same dążenia do przekazywania swojej świadomości, do próby określenia swojej postawy wobec rzeczywistości, w której funkcjonuję.

— Uważa się pani za osobę wolną, niezależną, wyemancypowaną?

— Żyję w określonych warunkach. Staram się nie ulegać tym czasowym, mylnym wpływom i moje nieustanne dążenie jest jakby ciągłą walką o siebie, o zachowanie własnej tożsamości. W naszych warunkach najtrudniej jest określić samego siebie i mówić za siebie, w swoim imieniu. Opinia publiczna trawi to ciężko. Nie mówiąc o tym, że jeżeli środowisko artystyczne, w którym się obracam i egzystuję jest delikatnie mówiąc zdziwione moim stylem życia lub moją zewnętrznością typu: niebieskie włosy lub czarne paznokcie, to tym bardziej jest podrażnione tym, co ja wygaduję. Pytają — po co ta ekstrawagancja, czy tylko dla chęci wyróżnienia się (egocentryzm ze znakiem zapytania), a to jest tylko jeden z elementów mojego buntu przeciwko zdefiniowanym normom, które uwielbiam przekraczać, a także moja prywatna zabawa z samą sobą, dającą mi dużo relaksu i zadowolenia. Poza tym naprawdę uwielbiam wszystkie skandale i wybryki mody. Ludzie oceniają mnie dość powierzchownie. Jest to powszechną chorobą dotyczącą innych osób i zjawisk, dlatego lubię mylić trop ocen publicznych i robię dużo żartów tzw. otoczeniu...

— Jak np. słynna czarna suknia, w którą ubrała się pani na swój ślub. Podobno w swoich poszukiwaniach artystycznych używa pani siebie jako medium?

— Tak, to pozwala mi na precyzyjniejsze, bardziej wnikliwe penetrowanie mojej kondycji twórczej. Często posłużenie się drugą osobą powoduje barierę emocjonalną, która w większości przypadków niweluje potrzebną precyzję.

— Nad czym obecnie pani pracuje?

— Jestem w fazie przygotowań filmu o twórczości Bogusława Schäffera, jego teatru i muzyki. Jest to postać, która mnie zafascynowała. Poznając jego teatr i muzykę zostałam zaskoczona jego wielkim wyczuciem filmu. Rzadko zdarzają się tak wybitne i wszechstronne osobowości i zetknięcie z nim bardzo dużo mi daje w sensie edukacji własnej. Film ten robię w Wytwórni Filmów Oświatowych, z którą jestem związana od kilku lat i w której świetnie mi się pracuje. Oprócz tego mam zamiar robić duży film fabularny, ale o tym następnym razem.

III. FOTOGRAF I KTO?

— Fotografią zajmowała się pani od dziecka. Jakie zdjęcia wykonywała pani mając 14 lat?

— Robiłam zdjęcia dokumentalne, które rejestrowały moje prywatne sytuacje, przeżycia.

— Kto uczył panią fotografowania?

— Ojciec był pierwszym, który kupił mi aparat i zapalił do tej pracy. Sam był fotografem i bardzo się tym pasjonował. Później świadomość, że tym medium mogę określić również siebie, dał mi również mój mąż.

— Jak rozwijała się ta umiejętność z biegiem lat, z dojrzewaniem i doświadczeniem?

Foto: Małgorzata Potocka

— Są to bardzo zróżnicowane okresy i nie sposób tego wyrazić jednym zdaniem, powiem tylko, że przez ostatnie lata aparat służy mi do różnorodnych poszukiwań własnych i służy do zdjęć dokumentalnych, które nieustannie robię.

— Kogo pani fotografowała?

— Siebie.

— Kto obecnie jest pani modelem?

— Ja...

— Na zdjęciach w „Scenie" prezentuje się pani szokująco w awangardowym, punkowo-rockowym „opakowaniu". Jaki jest obecny wizerunek bulwersującej artystki?

— Obecnie mam nieco inne „opakowanie", które często zmieniam, żebym broń Boże nie została punk-rockową gwiazdą. Nie chcę być wyznawcą żadnej „religii" i często lubię zmieniać „wiarę"...

— Zaczęła pani współpracować z gwiazdami rocka. Zapewne po to, aby pomóc im w wykreowaniu swoich estradowych postaci?

— Robię to nie tyle zawodowo, ile z przyjaźni dla przyjaciół i dlatego, że autentycznie to lubię i cieszy mnie, jeżeli mogę kogoś wzbogacić moją radą. Jestem aktorką, dlatego łatwiej mi jest komuś uzmysłowić możliwość ekspresji scenicznej, jako reżyser mogę skontrolować czy przekaz jest wiarygodny zamierzeniom idei, jako fotograf pozwalam temu komuś uzmysłowić sobie jego własne wizerunki w stylu, który reprezentuję. Ostatnio pomagam Gaydze, która jest bardzo otwarta, chętna, elastyczna. Nie chcę wkraczać w zawody ludzi do tego predysponowanych, ale z wielką przyjemnością wymyślam stroje, makijaż, scenografię, a najważniejsze interpretuję.

— Jakiej muzyki słucha pani w domu?

— Dobrej... teraz „Talking Heads", „B-52 s" i „Republiki". Bardzo lubię rocka i nev vawe i żarłocznie śledzę wszystko nowe co się pojawia...

— Tańcząc przy tym i śpiewając?

— Jako aktorka powinnam to robić, jako Małgorzata Potocka kocham to robić...

— Nie zdarzyło się, że czuła pani, iż zbłądziła w tym wszystkim, że pomyliła się?

— Nieustannie błądzę, gubię się, ale potem zaraz „znajduję się" i to są te moje zwycięstwa.

— Co na to wszystko mąż i córka?

— Tańczą ze mną rock and rolla.

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

Polemiki • Listy • Opinie

KULTURA I BZDURA

Mimo że „Odgłosy" tematyki muzycznej raczej nie preferują — ośmielam się jednak podzielić z Redakcją i P.T. Czytelnikami radosną wiadomością: będzie lepiej! Od 1 stycznia 1985 roku. Z czym lepiej? Z jazzem. Bo nareszcie kwestią zajęto się urzędowo; samo Ministerstwo Kultury i Sztuki, a konkretnie Departament Teatru i Estrady (jak to dostojnie brzmi!). Ale o co chodzi?

Ano chodzi o to, że w Regulaminie „Państwowej Komisji Egzaminacyjnej dla artystów estradowych w specjalności muzyka" — wynaleziono nową specjalność „muzyk jazzowy". I aby uzyskać uprawnienia do wykonywania tego „zawodu" trzeba zdać egzamin teoretyczny i praktyczny.

Rozgorączkowana wyobraźnia podpowiada mi dziesiątki możliwych sytuacji:

— Stary — pisz, że „Lolo and His Comets" będą grali jazz. W razie czego mamy podkładkę...

— Że pauker dobrze gra? No to co? Ale nie ma papierów. Zaraz mi go wymienić, bo nie wypuszczę na estradę...

Albo: — Bumagę masz? Nie? No to co nam tu wstawiasz ciemnotę, że grasz jazz! Won — ty niedouczony chałturniku...

W tym miejscu przepraszam Jana Ptaszyna Wróblewskiego za użycie słowa „chałturnik" i snuję rozważania dalej:

Patrzcie Państwo — co za nowiny! A ja w swej naiwności sądziłem, że nie jest ważne kto gra i co gra, tylko j a k gra! Tymczasem, za sprawą Departamentu, zaraz to wszystko poszufladkujemy, zakwalifikujemy: jakość pierwsza, „Q", odrzuty eksportowe (z Finlandii) i ponaklejamy na czołach muzyków odpowiednie nalepki!

I tylko wtedy, gdy Komisja wyda odpowiednie zaświadczenie — nie będzie wątpliwości, co to za muzyka!

W tym miejscu — z obywatelskiego obowiązku — muszę Cię, drogi kandydacie do zawodu w specjalności „muzyk jazzowy", przygotować na to, jakim warunkom masz sprostać, aby uzyskać odpowiednie u p r a w n i e n i a.

Z teorii — przemaglują Cię z zasad muzyki, harmonii, instrumentoznawstwa (żebyś odróżnił tenor od altu i klarnet od fagotu oraz znał ich skale), z historii jazzu, w tym jazzu polskiego (a kto to i gdzie opisał?), stylów jazzowych i wybitnych postaci jazzu (dowiedz się najpierw, kto będzie w Komisji!), a także z podstawowych wiadomości z historii muzyki i form muzycznych. Wszystko to pewno na podstawie zalecanych przez Komisję podręczników Lissy, Wesołowskiego, Sikorskiego i Reissa, którzy pasjami zajmowali się oczywiście jazzem!

Z praktyki — ocenią Twoje zdolności improwizatorskie w dowolnym repertuarze i w repertuarze narzuconym, solo lub z sekcją. Także umiejętność odczytywania nut „a vista", bo bez tego jazz się nie obejdzie!

A jak już to wszystko z d a s z — będziesz na pewno muzykiem jazzowym. Z uprawnieniami.

Wymogi te ominą Cię automatycznie, jeśli ukończyłeś wyższą lub średnią szkołę muzyczną, które (szczególnie średnie) nic innego nie robią, tylko u c z ą grać jazz.

A będziesz jeszcze w lepszej sytuacji, gdy Komisja biorąc pod uwagę Twój dorobek artystyczny (z czego wynika, że można mieć taki dorobek bez dyplomów!), staż pracy i opinie kierownictw instytucji, w których byłeś zatrudniony w charakterze muzyka (też bez dyplomu?) — zwolni Cię od egzaminu.

Oczyma duszy widzę, jak w tym momencie zaczyna się kotłowanina! Jak wspaniale wzmoże się poczucie „władztwa"!

„No — kochany... a teraz sobie porozmawiamy, kto to się stawiał na trasie? Że niby zostałeś wykiwany w rozliczeniach? Że hotel nie taki? A teraz to co? Kto to do mnie przyszedł? A ciuś-ciuś... Co tam masz w teczuszce? Czy to nie „Napoleon" przypadkiem?"

I już podpadam dziesiątkom ludzi. Już słyszę: „Fe! Jak nie chałturzysz — to zaraz takie posądzenia? Takiś ważny?". Ważny, nieważny, lecz też miałem taki moment w życiorysie, że ktoś się chciał na mnie przy podobnej okazji odegrać. A nie sądzę, aby życie od tego czasu się radykalnie zmieniło i wszyscy wyszlachetnieli.

Lecz naprawdę nie załatwiam w tym miejscu swoich osobistych porachunków. Nie ten wiek, nie te czasy, nie ta konkurencja!

A teraz serio. Nie sprzeciwiam się generalnie instytucji egzaminów i sprawdzania umiejętności, jeśli jeszcze jednym z warunków uzyskania uprawnień jest posiadanie ś w i a d e c t w a d o j r z a ł o ś c i (a od kiedy to mamy obowiązek powszechnego średniego wykształcenia?)... Nie sprzeciwiam się ograniczeniom, eliminującym aktualnych uczniów średnich szkół muzycznych. Niech skończą tę szkołę, zanim zaczną chałturzyć. Pamiętam przecież, jak na początku ery rocka w 1960 roku na estrady pchały się tabuny młodzików, których umiejętności muzyczne sprowadzały się do znajomości trzech chwytów (na gitarze) i wykonywaniu odpowiednich kroczków do przodu i do tyłu. Resztę uzupełniał strój i nieudolny śpiew. Niech muzyk estradowy, a co to znaczy — Bóg raczy wiedzieć (gdyż może to być zarówno „łaź" — odsyłam do mojego felietonu o gwarze klezmerskiej — jak i wysokiej klasy akompaniator) legitymuje się odpowiednimi „uprawnieniami" wydanymi przez najwyższe władze administracyjne. Niech nie będzie przypadku i szmiry, choć mam osobiście wątpliwości, czy ten problem załatwi papierek. Ale p o c o wprowadzać jakieś sztuczne „specjalności"? Dlaczego nie specjalność „rock", „country" albo wręcz „specjalista od południowych rytmów"? Po co to wszystko?

Kto zresztą zweryfikuje tych, którzy będą weryfikowali? Jeśli mi ktoś nie wierzy — wskażę, który z czołowych naszych jazzmanów ma ukończone „formalnie" studia, a ilu nie. Mimo to ich dorobek artystyczny nie jest kwestionowany!

Ta „specjalizacja" — jeśli chodzi o jazz — wydaje mi się wyjątkowo bzdurna, gdyż właściwie do dziś nie ma definicji jazzu. Jazz się gra! Jazz się czuje!

Panie Ministrze! Weryfikujcie. Ale wiadomości i umiejętności w ogóle. Bez nalepek na czołach. Bo po co?

Post scriptum:

„...Grać jazz — znaczy mówić z głębi własnego serca. Nie wolno ci kłamać..." — trębacz Bunk Johnson (za L. Tyrmandem — „U brzegów Jazzu" — 1957 r.).

WITOLD AFELT

TAJEMNICA BANDEROLI NR 800

W numerze 8 „Odgłosów" (25.02.84) wydrukowaliśmy list pana Jana Wojtaszka z Sosnowca, w którym opisał on arcydziwny przypadek z losowaniem nagrody rzeczowej w specjalnych, sylwestrowych zakładach Toto-Lotka. J. Wojtaszek wysłał dziesięć kuponów w jednej kolekturze. Główna nagroda — samochód „Polonez" — padła na numer banderoli 5289800. Ponieważ pan J. Wojtaszek miał kolejne kupony poczynając od numeru 5289795, był pewien wygranej — tymczasem po sprawdzeniu kolejności numerów okazało się, że ostatnia banderola ma numer 5289805, zaś „wygrywający" numer w serii p. J. Wojtaszka nie pojawił się — banderola z nr 5289800 w jakiś cudowny, niewytłumaczalny sposób wyparowała w kolekturze, nie została naklejona na jeden z kuponów.

Pan J. Wojtaszek opisał tę sprawę w liście do kilku redakcji w Polsce, m.in. do nas. Sprawa wydała się nam interesująca, toteż oczekiwaliśmy z niecierpliwością odpowiedzi od zainteresowanych instytucji. Odpowiedzi te nadeszły i drukujemy je, ale sprawa banderoli nr 800 nadal wydaje się nam równie tajemnicza, jak przed wyjaśnieniami Totalizatora. Prawdopodobieństwo takiego „cudownego" przypadku wydaje się bowiem być tysiąckrotnie mniejsze, niż samo trafienie „szóstki" w totku w obu losowaniach jednocześnie. Nie możemy się pozbyć wrażenia, że przypadek ten podważa jednak zaufanie do firmy.

REDAKCJA

* * *

W odpowiedzi na list z dnia 26.02.1984 r. informujemy, że Ob. Jan Wojtaszek rozesłał pisma identycznej treści do redakcji różnych czasopism w kraju. Powiadomił także Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych w Katowicach, który po przeprowadzeniu dochodzenia nie dopatrzył się znamion przestępstwa, o czym powiadomił Ob. Jana Wojtaszka.

Przesyłamy w załączeniu kopię pisma skierowanego do Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Sportu przez nasze przedsiębiorstwo oraz kopię pisma Urzędu Spraw Wewnętrznych w Katowicach.

Z-ca Dyrektora d/s Zakładów
(—) mgr KONRAD KALETA

* * *

Główny Komitet
Kultury Fizycznej i Sportu
Gabinet Przewodniczącego

W załatwieniu pisma z dnia 7 marca 1984 roku znak GP-2/SK-046/18/84, Państwowe Przedsiębiorstwo „Totalizator Sportowy" uprzejmie informuje, że Ob. Jan Wojtaszek rozesłał pisma identycznej treści do redakcji różnych czasopism w kraju, Polskiego Radia i Telewizji. Nadto powiadomił Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych w Katowicach, że został oszukany przez Państwowe Przedsiębiorstwo „Totalizator Sportowy".

Urząd ten zbadał przedstawiony przez Jana Wojtaszka stan faktyczny i po wnikliwej analizie i szczegółowym badaniu, w oparciu o obowiązujące przepisy wewnętrzne w PP „Totalizator Sportowy" nie dopatrzył się znamion przestępstwa. (Pismo Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w załączeniu).

O wynikach dochodzenia Ob. J. Wojtaszek został poinformowany przez Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych. Dyrektor Oddziału Międzywojewódzkiego PPTS w Katowicach, Ob. Lucjan Fudala osobiście rozmawiał z Ob. Janem Wojtaszkiem i wyjaśnił mu nasuwające się wątpliwości. W kolekturach wieloosobowych, tak jak w przypadku kolektury nr 3/364, kiedy z jednego bloczka banderoli korzysta więcej niż jeden kolektor, istnieje możliwość niezachowania kolejności numeracji banderol przy naklejaniu tych banderol na większą ilość kuponów składanych przez jednego klienta.

PPTS przesłało wyjaśnienie w tej sprawie do Dyrektora Departamentu Ekonomiczno-Finansowego GKKFiS, Władysława Rajkowskiego (Przewodniczący Komisji GKKFiS do spraw ustalania i zatwierdzania wygranych) oraz do Wydziału Społeczno-Zawodowego Komitetu Centralnego PZPR.

PP „Totalizator Sportowy" informuje jednocześnie, że zgodnie z §99 regulaminu gier liczbowych i totalizatora sportowego, losowanie wygranych rzeczowych i dodatkowych wygranych pieniężnych odbywa się publicznie w siedzibie PP „Totalizator Sportowy" w Warszawie według następujących zasad:

1. Z bębna zawierającego zwitki z numerami wszystkich pojemników, w których przechowywane są woreczki z odcinkami B kuponów, losuje się jeden zwitek, który po komisyjnym odczytaniu numeru ponownie wrzuca się do bębna
2. następnie z pojemnika opatrzonego numerem zgodnym z oznaczeniem wylosowanego zwitka (pkt 1) losuje się jeden woreczek z kuponami
3. po otwarciu woreczka (pkt 2) losuje się kupon (nie mylić z nr banderoli), który po sprawdzeniu prawidłowości opłaty wpisuje się do protokołu losowania, a woreczek z pozostałymi kuponami wraca do pojemnika
4. czynności określone wyżej powtarza się w podanej kolejności przy losowaniu każdej następnej wygranej.

Czynności losowania wykonywane są bezpośrednio przez małoletnie dzieci.

Do losowania zapraszamy dzieci z Państwowego Domu Dziecka. Dzieci losujące woreczki i kupony mają oczy przesłonięte ciemną opaską. Losowanie przebiega pod nadzorem Komisji GKKFiS przy udziale przedstawicieli kierownictwa PP „Totalizator Sportowy".

Jeżeli, jak to się starają udowodnić niektórzy grający, wygrane rzeczowe przypadają najczęściej na kupony oklejone banderolą o numerze początkowym „01" i końcowym „00", początek i koniec każdej setki (banderoli), to jest to dziełem przypadku. Tak samo jak dziełem przypadku jest fakt, że podczas losowania w TV wypadają kolejne po sobie liczby. Nie mamy na to żadnego wpływu.

Dzieciom nie możemy nic sugerować, żeby nie spotkać się z zarzutem, że dzieci „są manipulowane".

* * *

Obywatel
Jan Wojtaszek
41-200 Sosnowiec

W odpowiedzi na skierowane pismo przez Obywatela do Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Katowicach dotyczące braku zachowania ciągłości numeracji w naklejaniu banderoli na nadanych kuponach Toto-Lotka w zakładach na dzień 31.12.1983 r. ustalono co następuje:

Przedstawiony stan faktyczny był wnikliwie analizowany i szczegółowo badany w oparciu o obowiązujące przepisy wewnętrzne Państwowego Przedsiębiorstwa „Totalizator Sportowy".

W świetle powyższych wyjaśnień kompetentnych pracowników i przepisów Totalizatora Sportowego wynika, że wypełniane obowiązki służbowe przez pracowników PPTS nie noszą żadnych znamion przestępstwa. W związku z powyższym przedmiotowy stan faktyczny nie wyczerpuje znamion przestępstwa, a więc nie może być objęty postępowaniem przygotowawczym o popełnieniu oszustwa.

Naczelnik Wydziału WUSW
w Katowicach
(—) mjr mgr R. CIUCIAS

POPADAM W KOMPLEKS

„...Są to bowiem artykuły (luksusowe, ponadstandardowe — przyp. mój — W. A.), *które ze względu na utrzymujący się od dłuższego czasu stan nierównowagi rynkowej były przedmiotem szczególnie wzmożonego wykupu. Dla normalnego nabywcy towary te były praktycznie niedostępne. Natomiast nieuczciwi pośrednicy i spekulanci zarabiali nieomal na każdym z nich po 20 tys. zł, a nawet więcej. Podniesienie stawek podatku obrotowego — w rezultacie czego przedsiębiorstwa musiały odpowiednio podnieść ceny wyrobów — miało na celu przede wszystkim przeciwdziałanie dalszemu szerzeniu się spekulacji i stworzenie warunków normalnego rynku...".*

(z wywiadu I z-cy ministra ds. cen udzielonego dziennikarzowi PAP)

Szanowny Panie Redaktorze!

Mniemam, iż nawet z tych niewielu moich publikacji, które ukazały się dotychczas na łamach „Odgłosów" wynika jasno, że jestem człowiekiem programowo niejako nastawionym optymistycznie (co wielu ma mi za złe!), a w każdym razie dalekim od czarnowidztwa i narzekania na wszystko i wszystkich, bez względów na realia. Co nie oznacza, że wszystko mi się podoba. Zresztą na pewno nie tylko mnie.

Krystyna Tamulewicz w jednym ze swych porannych felietonów wygłaszanych w lokalnym odcinku rozgłośni PR w Łodzi przypomniała starą prawdę, że jako naród nie mamy bałwochwalczego stosunku do władzy, wręcz przeciwnie... I trudno się dziwić, gdyż władza zazwyczaj coś nakazuje, zakazuje, ogranicza itp. Nie o ten nurt rozważań mi jednak chodzi.

Otóż — w całym swym dotychczasowym życiu pozwoliłem sobie na jeden luksus psychiczny, którym stale i niezmiennie się kieruję, a mam na to multum świadków: nigdy nie uważam partnera, współpracownika, a nawet przeciwnika za kogoś, kto jest słabszy ode mnie umysłowo. Innymi słowy, a bardziej lapidarnie i rzeczowo — nigdy nie wychodzę z założenia, że moi współrodacy niezależnie od stosunków, szczebla, układów itp. są g ł u p s i ode mnie.

Tymczasem nie mogę się pozbyć wrażenia, że — w świetle przytoczonego na wstępie urywka z wywiadu — uważany jestem za głupszego, niż rzeczywiście jestem. I zaraz to swoje wrażenie uzasadnię.

Od miesięcy albo od lat we wszystkich publikacjach, rozmowach, dyskusjach przewijają się, na ogół zgodnie, następujące podstawowe prawdy:

— najtrudniejszym zadaniem naszej gospodarki jest opanowanie dochodów ludności w taki sposób, aby nie przewyższały one globalnej wartości oferowanych na rynku dóbr,

— jeśli tego nie osiągniemy — będzie przewaga popytu nad podażą i wykup chociażby w celu lokaty gotówki, nie mający nic wspólnego z rzeczywistymi potrzebami,

— jedynym rzeczywiście skutecznym sposobem zwalczania spekulacji jest powszechny dostęp do poszukiwanych towarów, ponieważ na represje typu Mielęcin-Zdrój z lat powojennych nie decydujemy się, zaś represje ekonomiczne są mało skuteczne.

Tymczasem Pan I Zastępca usiłuje mnie przekonać, że przez podniesienie ceny na towary luksusowe — ponadstandardowe (w odniesieniu do jakich czasów — Króla Ćwieczka?) zlikwiduje się spekulację!

Już widzę hordy zastraszonych spekulantów. Zastraszonych oczywiście wzrostem ceny o kilkanaście tysięcy złotych na sztuce towaru i odstępujących od swego procederu! Widzę oczami I Zastępcy. A osobiście widzę, że owi brzydcy spekulanci zacierają ręce i cieszą się z podwyżki cen, gdyż pozwoli im ona podwyższyć cenę swej u s ł u g i.

Gdy na przełomie lat 1951/52 miałem przerwę w szkolnym życiorysie i pracowałem w Centrali Tekstylnej, w której królował stary fachman i handlowiec dyr. Ramer — odbywały się posiedzenia tzw. komisji do spraw cen. Szef mówi: „Cooo? Za taki towar tylko tyle? Dodać po 50 zł na metrze. I tak kupią, bo ładny...".

I choć już wówczas zaczynałem się faszerować podręcznikową wiedzą, czemu powinna odpowiadać cena — nie miałem do Szefa pretensji, bo stawiał sprawę uczciwie. Lub inaczej — nie kamuflował motywów postępowania.

„Cooo? Tylko tyle za pralkę, skoro taki popyt? Dodać x tysięcy — i tak kupią...". I tak właśnie widziałbym uzasadnienie tej podwyżki cen, a gdyby uznać je za wstydliwe — nie mówiłbym nic.

Czy jestem zadowolony z tej podwyżki? Nie.

Czy jestem zdziwiony tą podwyżką? Nie.

To o co chodzi? Ano o to, że zasłona dymna zastosowana w wywiadzie (bo przecież tą podwyżką nie wyeliminuje się „staczy", ani ofert „pralkę nową na gwarancji — sprzedam"), sprawiła, iż nie mogę się oprzeć wrażeniu, że jestem potraktowany jako „słaby na umyśle".

A to powoduje kompleksy, których naprawdę chciałbym uniknąć. Z przyczyn zupełnie osobistych, oczywiście.

WITOLD AFELT

WYSTAWA ZAPOMNIANYCH MALARZY ŁÓDZKICH

Muzeum Sztuki w Łodzi przygotowuje wystawę malarzy łódzkich okresu międzywojennego, której towarzyszyć będzie katalog stanowiący w miarę możliwości, pełną dokumentację życia artystycznego tego miasta w latach dwudziestych.

Wiele dzieł i dokumentów związanych z artystami łódzkimi znajduje się w rękach prywatnych właścicieli na terenie całego kraju, dlatego organizatorzy wystawy zwracają się z prośbą o informacje na ten temat. Chodzi przede wszystkim o obrazy, rzeźby, grafikę, rysunki, fotografie, a także dokumenty wszelkiego rodzaju, listy i czasopisma z tego okresu. Pracownicy muzeum bardzo liczą na odzew wszystkich interesujących się sztuką, mając nadzieję na uzyskanie tą drogą informacji o dziełach zupełnie nie znanych lub uważanych za zaginione. Szczególnie cenne będą informacje o następujących artystach:

Jankiel Adler, Szczepan Andrzejewski, Adolf Behrman, Ida Brauner, Wincenty Brauner, Antoni Brade, Mojżesz Broderson, Henryk Chajmowicz, Władysław Czapliński, Aleksander Czeczot, Wacław Dobrowolski, Samuel Finkelstein, Józef Hecht, Ignacy Hirszfang, Joachim Kahane, Władysław Włodzimierz Krzyżanowski, Bolesław Kudewicz, Izrael Lejzerowicz, Izaak Lichtenstein, Franciszek Łubieński, Walenty Piaskowski, Zenobiusz Poduszko, Ryszard Radwański, Roman Rozental, Natan Spigiel, Marek Szwarc, Artur Szyk, Maurycy Trębacz.

Informacje o tych artystach, ich życiu i twórczości prosimy kierować pod adresem: Muzeum Sztuki w Łodzi, ul. Więckowskiego 36, 90-734 Łódź, tel. 33-97-90 w. 29.

RYSZARD BINKOWSKI

Talizman

Jest chudy, zarośnięty i wystraszony. Ma twarz misjonarza, który cudem umknął spod miecza ludożerców. Mówi melodyjnym, schrypniętym basem emerytowanego organisty:

— Nazywam się Jan Pacześ. Mam trzydzieści lat, z których wszystkie są nieszczęśliwe. Matka moja była cięta przez cesarza przy urodzeniu, gdyż matka moja miała pięćdziesiąt trzy lata, a ja nie miałem pamięci do nauki i siedziałem po kilka lat w jednej klasie. Z braku pamięci tak byłem znęcany, że na przerwach uciekałem w łapciach na ulicę. Potem wracałem na lekcje po dwóje. I tak z dnia na dzień, aż do nawyku. Tak byłem psychicznie załamany, że z tego powodu uciekałem ze szkoły po papierosy. Ale przestałem palić ze względu na brak pamięci w rachunku. Mogłem skopcić osiem, a wypalałem dziewięć i była tragedia.

Kierownik chciał mnie wysłać na badania psychiatryczne, ale moja matka powiedziała, że ma sposób na psychikę. Prowadzała mnie na sznurku i wpuszczała do klasy, jak psa. Szczekałem, gryzłem wyłem, szczałem pod ławkę i z tego wszystkiego co drugi rok przeciętnie zdawałem do następnej klasy. Bo kierownik był kolegą matki i chciał, bym się dostał do szkoły specjalnej. Ukończyłem podstawówkę dlatego, że matka była księgową, ojciec prywatnym szewcem, i dawali koleżeńskie łapówki.

Pamiętam jedno szczęście z dzieciństwa. Szedłem z matką na spacer do parku. Prowadziłem na sznurku dwie kury. Ja leżałem z głową w niebie, a one się pasły na trawie i znosiły dwa jajka. Wypijałem jedno po drugim do pary.

Kochałem ptaki. Miałem dwadzieścia gołębi. Nie mogło być mniej ani więcej, bo to źle. Jak dostałem od księdza na bierzmowanie dwa dolary, to przeciąłem nożyczkami i połówki przykleiłem do dachu, by gołębie były wolne od przestrogi. Do dzisiaj są przylepione, deszcz nie zmył, bo gołębie zasrały.

W podstawówce Pacześ wykształcił w sobie zamiłowanie do dwójki, która stała się dlań talizmanem na całe życie.

Ostatnie badania w Specjalistycznym Zespole Psychiatrycznym udowodniły, że Pacześ nie zdradza objawów choroby psychicznej, wykazuje natomiast cechy niedorozwoju umysłowego stopnia lekkiego. Jakie są tego objawy, można się przekonać zajrzawszy do życiorysu własnego Paczesia.

Z rozrzewnieniem wraca do lat dzieciństwa:

— Ojciec śpiewał nad kopytem, a ja wtykałem szpilki w mydło albo moczyłem szpagat w mazidle i robiłem na suficie pikasa. Butów nigdy się nie nauczyłem szyć, bo je zawsze robiłem dwa razy i wszystkie ojcu zepsułem. Języki miały w obcasach, a zelówki w cholewkach. Potrafiłem je czyścić, ale tylko dwa razy dziennie. W związku z tym ojciec za pomocą kolegi szychy załatwił mi egzamin czeladniczy na wariackich papierach, aby warsztat miał spadkobiercę.

Zanim się zorientowałem, wzięli mnie do wojska, czego się strasznie bałem, gdyż jestem niestrzelny. Rekrut się nade mną znęcał, bo przeze mnie cierpiał. Bo ja w armii wszystko robiłem dwa razy. Dwa razy wstawałem na pobudkę, myłem się i czyściłem broń. Dwa razy ubierałem buty i mundur; zamiatałem podłogę i robiłem padnij. Kwiaty też podlewałem dwa razy w tygodniu, bo trzeci raz to selernie.

Z tej podwójności mych cierpień i całego wojska rozkruszałem dwie paczki żołdowych fajek, łykałem tytoń i popijałem chlorowaną sodówką, żeby wywołać w sobie wrzody, ale nic z tego nie wyszło. W ciężkim stanie załamania psychicznego postanowiłem się oślepić, by nie patrzeć, jak biorą do wariatów oszalałego nade mną kaprala. W tym celu rozładowałem na warcie broń, aby bez huku powybijać sobie oczy, ale iglica nie sięgła, choć oko trzymałem w lufie. Z rozpaczy zdecydowałem się wykłuć sobie oczy igłą z wyposażenia żołnierza. Na poligonie oddaliłem się bez zezwolenia z tym zamiarem, jednakże dwóch zwiadowców uratowało mnie od ślepoty haniebnie. Krzyknęli: „Stój, bo strzelam!" i ja z nerwów zgubiłem igłę.

Potem bez przerwy chodziłem do politruka od spraw ludzkich, żeby mnie koniecznie przeniósł w roli jehowca na inną baterię. Przeniósł, ale nic się nie zmieniło. Żałowałem, żem się urodził i żałuję do dziś.

Uciekłem z wojska. Spałem po ubikacjach ze smrodem i napisami politycznymi, ale jakoś dotarłem do rodzinnego miasta. Ukrywałem się u mojej przyszłej byłej żony przez dwa tygodnie. Ona mi wyznała w trakcie stosunku, że jak się nie stawię w jednostce, to wyślą list gończy. Ale z moją głową po zbliżeniu seksualnym było nie w porządku. Były momenty, że bardzo bolała, i nakrył mnie ormowiec, co udawał swata na strychu.

Bałem się okropnie, ale tata z mamą zawieźli mnie do jednostki. Armia po ćwiczeniach na moim mózgu wysłała mnie na badania do szpitala dla psychicznie i nerwowo chorych. Do wojska już nie wróciłem, gdyż stan mój był całkowicie debilny.

W świetle wywiadu środowiskowego Jan Pacześ jawi się jako wzorowy małżonek i troskliwy ojciec. Ożenił się dziewięć lat temu, ma pięcioletnią córkę, która chowa się dobrze i zdrowo. Pożycie małżeńskie zgodne. Nie był kłótliwy, ale denerwował się, gdy mu dokuczano. Ojciec Paczesia przekazywał pieniądze synowej, ona bowiem prowadziła dom i robiła zakupy. Ponadto szewc raz w tygodniu dawał kieszonkowe swemu żonatemu i niepracującemu synowi.

Jan Pacześ wspomina z goryczą swój pierwszy ożenek:

— Nie chciałem mieszkać w domu ojca mego, albowiem po dezercji umysłowej z wojska ukrywała mnie kobieta i serce miałem miękkie jak masło na kartki. Po prostu zakochałem się w przyszłej, a dziś już, niestety, mej byłej żonie. Kochałem ją w chwilach dezercji, bo mam taki słaby charakter, że już mnie się żyć nie chce.

No i ożeniłem się z tą rozwódką starszą ode mnie o całą dekadę Gierka. Mieszkając z teściową i szwagrem udawałem gołębiarza, ale i tak mnie wyczuli, że jestem debil. Dokuczali na każdym kroku, nawet jak współżyłem cieleśnie z żoną. Ale jej się nie chciało współżyć ani pracować. Przychodziła tylko do mojego ojca po pensję. Ojciec wpłacił nam na bloki, ale ja byłem miękki i zawsze załamywałem się psychicznie, toteż ona namówiła mnie i żeśmy wyciągli cały wkład. Teściowa zaczęła gadać, żebym się wynosił w cholerę do czubków. A żona nie chciała ze mną spać i czasem mówiła na dobranoc: „Spieprzaj, ty..."

Ja się nie uważam za szczęśliwego człowieka. Nie chcę nie wiem jak wielkiego majątku, tylko żebym był mądrym człowiekiem. Ale to już nigdy nie nastąpi...

Jestem jak ten Tomcio Paluszek, bo nikt nie chce pomóc jak temu małemu dziecku. Mam tylko jedno wyjście. Nie chcę się już dłużej męczyć na tym świecie, bo dla mnie to zbyt wielkie przeżycie psychiczne.

Psychiatra jest zdania, że ogromny wpływ na postępowanie Jana Paczesia miało najbliższe otoczenie. Znajomi zatrzymywali go na ulicy i zabierali pieniądze, zmuszając go do picia i czynów rozpustnych. Ostatnio pił co drugi dzień po pół litra, ponieważ po wódce czuł się śmielszy i mniej zagubiony. Wódkę brał z meliny na kredyt, który spłacał szewc ojciec. Jan często musiał spać u kolegów, gdyż sam nie mógł wrócić do domu.

W ten sposób zawarł dozgonną przyjaźń z braćmi Golakami. Byli to notorycznie bezrobotni kawalerowie którzy swoje mieszkanie zamienili w sierocińiec dla marginesu, zdegenerowanych alkoholików i kryminalistów miłujących degustację wódy, kompotu oraz tańszych środków odurzających. Był to zarazem ajencyjny zaciszny burdel, gdzie Pacześ poznał Monikę Krupę, samotną bezrobotną w średnim wieku, która po wódce zachodziła w ciążę na zawołanie, lecz nie mogła urodzić.

Jan Pacześ ma własną krytyczną ocenę swojej osobowości:

— Ja jestem taki głupi chłopek. Miałem już karę zawieszenia na półtora kalendarza, ale jak zacząłem pić u Golaków, znowu dostałem jakieś zaburzenie psychiczne. Wziąłem w nocy od teściowej koguta, ale jednego. Byłem w depresji, że jeden, bo zawsze muszą być dwa. Na poprawkę wziąłem szwagierce dwie białe kury. Musiały być jednakowe, z podobnymi, równymi grzebieniami. Najlepiej z grubymi, klapiastymi, jak zakrywały jedno oko. Z równym grzebieniem na oku byłem zadowolony.

Powiedziałem sobie, że jak sprzedam kury, to forsa za te kury to będzie mój talizman. Żeby mnie trzymała przy duchu, żebym się nie załamywał. Ale co z tego, kiedy jestem chory od urodzenia? Zawsze coś robię dwa razy, bo myślę, że zwariuję do reszty. Ubranie też chowałem dwa razy do szafy, żeby żona nie widziała.

Dwa razy dziennie chciałem być pijany, bo wtedy nie musiałem skradać się do domu po nocy. Po wódce nie bałem się też chodzić w dzień po wodę do studni.

Żony już nie kocham, bo muszę się żenić dwa razy. U Golaków poznałem Monikę Krupę, którą bardzo kochamí i jest ze mną w ciąży. Chodziłem z nią przez dwa miesiące. Chciałem z nią mieszkać, ale nie miała mieszkania.

Po ciąży tak się boję iść do więzienia, że wolałbym usnąć i już się nigdy więcej nie obudzić.

Uznano, iż Pacześ wiedział, że nie wolno kraść, bo za to idzie się do więzienia. Ale on wolał mieć pieniądze z kradzieży niż od ojca. Musiał mieć przy sobie kradzione pieniądze, gdyż to dodawało mu siły i wiary w siebie. Kradł u znajomych, ponieważ wiedział, że oni go nie zbiją. Gołębie sprzedał za dwa tysiące, uznawszy, że jedna sztuka kosztuje sto złotych, a miało być dwadzieścia sztuk.

Przypadłość kochanka znała dobrze Monika Krupa. Stała na lipku, a on wszedł przez siatkę do kurnika i przyniósł dwie kury, z których ugotowała rosół.

Pewnej nocy poszli do wdowy Jakubek i powiedzieli, że nie dostali kredytu MM na graty, więc się boją spać w pustym mieszkaniu. Pozwoliła im zanocować. Pacześ kazał nastawić budzik na drugą, gdyż musiał iść odebrać rentę od pijanego listonosza, którego zamknęli w izbie wytrzeźwień. Jakubek budzi się rano i widzi, że Pacześ z Moniką śpią, a w kuchni stoją niczym rekrut na mustrze dwadzieścia cztery butelki śmietany o wartości szeregowej 522 złote. Jan oświadczył, że dostał od kumpla, co rozwozi mleko na nocną zmianę. Zostawili wdowie tuzin pełnych butelek i poszli sobie.

Jan Pacześ wyjaśnia:

— Ja zawsze robiłem coś na początku miesiąca, na przykład drugiego sierpnia albo drugiego września. I o drugiej w nocy, to było dobrze. A jak trzeciego sierpnia, to dupa w jeżynach. Jeśli robiłem coś w parze, to byłem w porządku wobec siebie i miałem wiarę ducha, że nic mi nie zagraża od złych ludzi.

A po śmietanę poszedłem z Krupą o drugiej w nocy, ale za późno, bo siódmego lipca. Wziąłem skrzynkę spod sklepu, przełożyłem butelki do torby Moniki, a skrzynkę wrzuciłem do kanału, żeby gliny nie wykryły śladów.

Butelek miało być dwadzieścia, ale jak ustawiłem w rządku u wdowy Jakubek, wyszło dwadzieścia cztery. Źle. Ale dwie wypiłem, dwie wylałem i zaraz byłem śmielszy, i miałem wiarę w siebie, że nikt już na mnie nie patrzy i nie muszę się bać...

Pewnej nocy u Golaków odbył się raut denaturowy. Kompletnie pijana Monika zaszła, lecz nie mogła jak zwykle urodzić. Zwaliwszy się w ramiona Jana, zasnęła.

Rankiem do jej skacowanych uszu dobiegło smętne gruchanie.

W kredensie udawało zaloty dwadzieścia sześć zmaltretowanych i wyczerpanych ptaków. Biesiadnicy też byli wyczerpani. Załadowali część gołębi do pudła tekturowego i wcisnęli do worka. Resztę włożyli do torby i poszli do upatrzonego nabywcy. Ale nie było go w domu. Wobec tego udali się na postój znudzonych taksiarzy. Jeden się ożywił, lecz zażądał od Paczesia dowodu osobistego. Pacześ oznajmił, że dowód zabrali mu na ćwiczenia rezerwy obrony cywilnej, więc taksiarz nie kupił ptaków.

Wtedy udali się do obywatela Mikuły. Pacześ powiedział, że gołębie należą do jego zmarłego kuzyna, który mieszkał na ulicy Żelaznej sto jedenaście, a teraz spoczywa na katolickim. Po godzinnych negocjacjach przez balon czarnej porzeczki Mikuła nabył ptaki za dwa tysiące. Z tego Pacześ pożyczył pięćset Golakowi na zwolnienie lekarskie przed wizytą w pośredniaku, a reszta poszła na przelew.

Później Mikuła dostał cynk, że ptaki kradzione. Poszedł sprawdzić i okazało się, że nie ma trupa na cmentarzu, bo żywy nie mieszkał przy ulicy Żelaznej i nie trzymał gołębi.

A dwuzawodowiec Bolesta, najbliższy sąsiad Paczesia, patrzył okiem samobójcy na powyrywane skoble i pusty gołębnik. Ocknął się z letargu i odkrył trop, którym poszedł złodziej. Na ulicy leżały pogubione gołębie jaja.

Na giełdzie miejskiego targowiska zdobył informację, kto kupił ptaki. Nabywca zwrócił mu dwadzieścia sześć gołębi. Ale Boleście zginęło trzydzieści dziewięć sztuk. Były to piękne, rasowe ptaki, w cenie od tysiąca do tysiąca pięćset złotych za sztukę: krymki żółte, czarne i czerwone, szejki węgierskie, maściuchy, landarze i sroczka hamburska czubata łapciata. Wyceniono je na pięćdziesiąt tysięcy.

Trzynaście pisklaków, które musiały być jeszcze karmione przez matki, zdechło w złodziejskim transporcie.

Jana Paczesia osadzono w areszcie.

I on wyznaje ze skruchą:

— Kradłem, bo w głowie mojej tylko miałem kradnij, kradnij. Po gołębie poszedłem o drugiej, ale to była nie ta noc. Miałem wziąć dwadzieścia ptaków, ale brałem po ciemku i miałem dwóję z rachunków. Wyszło więcej i to było źle. A sprzedałem tylko za dwa tysiące, bo miało być dwa, dwieście albo dwadzieścia. Bo dwa to mój talizman.

Starałem się nie stracić pieniędzy, gdyż w nie wierzyłem i to mi pomagało, nie musiałem wszystkiego robić dwa razy. A jak mnie namówili na wódkę i straciłem pieniądze, stałem się nieszczęśliwy i niezadowolony.

A teraz siedzę i żona chora na kręgosłup jest na moim utrzymaniu, chociaż jej nie kocham. Błagam, Panie Prokuratorze, na klęczkach, że jak pod tym krzyżem konam, nigdy w życiu tak się nikomu nie zwierzyłem, jak Panu. Chciałbym się pożegnać z córeczką Julką, którą bardzo kocham, i z Moniką Krupą, bo też jest ze mną w ciąży i też ją kocham, bo potrafiła mi przetłumaczyć w stanie nietrzeźwym. Chciałbym się też bardzo z Panem z całego serca pożegnać na zawsze. Ja tak nieudany rodzicom po cięciu cesarza Jan Pacześ.

Przywieziono go z aresztu do sądu i umieszczono w pokoju aresztanckim. Na sali rozpraw czekali w pełnej gotowości bojowej: prokurator, obrońca, maszynistka i skład sędziowski w komplecie.

Wszedł dowódca konwoju i salutując zameldował:

— Melduję, że oskarżony podpalił się w ubikacji zapałkami.

— Przed wyrokiem? — wrzasnął prokurator.

— Melduję, że ugasiłem go pod kranem.

— Dawać mokrego!

— Ale teraz nie mogą go wyprowadzić z pokoju aresztantów.

— Dlaczego? — zniecierpliwił się sąd.

— Płacze i krzyczy. Wlazł pod stół i nie pozwala się wyciągnąć.

Sąd udał się na wizję lokalną do okupowanego przez Paczesia pokoju. Długo przemawiał sąd do Paczesia, ale jakby w kij dmuchał. Prokurator tłumaczył łagodnie, jakby to było dobrze, gdyby dał się osądzić i skazać, i też nic.

Oskarżony leżał w kącie pod stołem, blady, roztrzęsiony, płakał i nic nie mówił. Ponieważ nie można było nawiązać z nim kontaktu, sąd odroczył rozprawę.

Psychiatrzy doszli do wniosku, iż oskarżony siedział w sądzie pod stołem ze strachu, że znowu pójdzie do więzienia, gdzie kumple spod celi kazali mu jeść tytoń, parzyli go papierosami i pocięli mu całe ramię.

Zachowanie przed rozprawą nosiło cechy krótkiej reakcji histerycznej.

A jeśli chodzi o kradzieże, to Jan Pacześ w czasie dokonywania zarzucanych mu czynów miał zdolność rozumienia ich znaczenia i kierowania postępowaniem ograniczoną w stopniu znacznym.

Psychiatra nigdy nie będzie rentgenem do prześwietlenia duszy prokuratora.

Przednie straże imama Chomeiniego

„W ciągu kilku tygodni moi rodzice i ja sama zdaliśmy sobie sprawę, że moja siostra zmieniła się całkowicie. Miała wtedy dziewiętnaście lat i pilnie uczyła się przed egzaminem maturalnym w jednym z paryskich liceów. Była praktykującą wyznawczynią islamu, ale bez bigoterii ani ostentacji, regularnie odwiedzała paryski meczet. Nie ulega wątpliwości, że to tam spotkała szyitów irańskich i libańskich, którzy bardzo szybko zdołali ją przekonać, iż islam powinien stać się pierwszą potęgą na świecie".

Historia, jaką opowiada młoda kobieta, pani S., z pochodzenia Algierka, ale urodzona we Francji z rodziców — Kabylów, jest typowa pod wielu względami. Podobnie jak jej siostra F., dziesiątki muzułmanów obojga płci, w większości młodzi ludzie, pochodzący z Afryki Północnej, albo z Afryki, a czasem Francuzi nawróceni na islam, dają się złapać w ten sposób w pułapki umiejętnie zastawione przez tych „misjonarzy" ideologii chomeinistowskiej. Są to ludzie, których metody dziwnie przypominają te, jakie stosują „rekrutanci" sekt pochodzenia azjatyckiego.

Niechaj więc pani S. opowiada nam dalej swą historię:

„Tak więc moja siostra z dnia na dzień porzuciła definitywnie liceum, by poświęcić się nowym studiom, uczęszczając pilnie na kursy polityczno-religijne organizowane w ośrodku kultury islamskiej przy ulicy Jeana Barta. Podporządkowując się instrukcjom swoich nowych panów od razu — chociaż daremnie — próbowała przekonać członków rodziny, byśmy poszli tą drogą, jaką ona sama wybrała".

Upłynęło parę miesięcy, kiedy to F. oświadczyła niespodziewanie najbliższym, że wychodzi za młodego Algierczyka, starszego od niej o rok, pochodzenia kabylskiego, którego poznała w ośrodku przy ulicy Jeana Barta. Nic nie zdołało odwieść ją od tego. Ku zaskoczeniu rodziny do dyspozycji nowożeńców oddano mieszkanie, przy czym nie musieli wcale płacić za komorne i użytkowanie.

„A przecież — opowiada dalej pani S. — w dwa miesiące później musieli je nagle opuścić. Wysłano ich do Iranu, gdzie przebyli trochę ponad dwa miesiące w szkole muzułmańskiej w Qom, jak nam powiedziano".

Dzisiaj F. jest znowu w domu, u swych rodziców. Małżonek jest nieobecny od poniedziałku do piątku, bo pracuje jako „inspektor" islamskich rzeźni na prowincji i wraca do domu tylko na weekendy.

Pragnąc dowiedzieć się czegoś więcej o ludziach, którzy tak umiejętnie wyprowadzili w pole jej siostrę, pani S. udała się także do ośrodka przy ulicy Jeana Barta.

„Natychmiast chciano wiedzieć kim jestem, gdzie mieszkam, z czego żyję. Było to prawdziwe policyjne przesłuchanie, prowadzone w sposób grzeczny, ale stanowczy. Ponieważ chciałam dowiedzieć się czegoś, musiałam odpowiadać na stawiane mi pytania i jestem pewna, że odpowiedzi te były potem weryfikowane".

W następnych dniach zaczęła się indoktrynacja. Przez całe godziny pewien Libańczyk, najwidoczniej znający się na technice „prania mózgów" starał się przekonać panią S. o słuszności doktryny islamskiej tak jak ją rozumieją integryści.

„Dla tych ludzi było oczywiste, że każdy muzułmanin, zarówno kobieta jak i mężczyzna, młody czy stary, powinien walczyć w imię triumfu boskiego prawa, bo to tylko może uratować skorumpowany świat od grzechu, od egzystencji w błędzie, niesprawiedliwości i nędzy. Wszystkie przemowy, jakie mogłam tam usłyszeć, były oparte na założeniu, że za nędzę uciskanych na solidnie rozbudowanej organizacji, z jasno określonym ośrodkiem dowodzenia, co zresztą nie powinno nikogo dziwić. To przewodniczący irańskiego parlamentu Ali Akbar Haszemi Rasfandżani osobiście kieruje tą armią „kaznodziei" obecnych już w większości krajów Zachodniej Europy, Północnej Afryki, Czarnej Afryki i krajów muzułmańskich w Azji Południowo-Wschodniej.

Zdaniem niektórych, nienawiść, jaką Rasfanżani żywi do Francji, spowodowała to, że kraj nasz stał się ulubionym celem jego ataków, zwłaszcza od sprawy samolotów Super Etendard dostarczonych przez nas Irakowi.

„Wygląda na to — mówi jeden z irańskich opozycjonistów — jakby miał on do wyrównania osobiste porachunki".

Dysponując budżetem ocenianym na finansowanie akcji propagandowych w samej tylko Zachodniej Europie (z wyjątkiem Skandynawii) organizacja ta korzysta z ambasad Republiki Islamskiej, co ludziom tym zapewnia praktyczną bezkarność. Pod tym względem niedawne wydalenie trzech dyplomatów irańskich z Paryża wskazuje, że służby francuskie dobrze wiedzą, iż ambasada mieszcząca się przy Avenue d'Iena ma w składzie swego personelu nie tylko autentycznych dyplomatów.

Propaganda islamska we Francji jest — jak się wydaje — zorganizowana wokół trzech głównych osi. Pierwsza ma charakter dyplomatyczny i w każdych okolicznościach „legendy". Kieruje tą dziedziną Hossein Karimi, były szef gabinetu premiera Hosseina Mussawiego. Karimi, który spełnia zadania koordynatora między Teheranem i ambasadami, uważany jest za człowieka, który nieustannie podróżuje i którego podróży do stolic zachodnioeuropejskich nie sposób już zliczyć.

Tendencja religijna znajduje się pod kierownictwem Fadela Marandiego, uważanego za pierwszego teologa reżimu. Marandi czyni ogromne wysiłki, by zakładać nowe meczety szyickie. Istnieją już takie w Paryżu, Nantes, Grenoble, Montpellier, Caen i Nancy. Zaraz po inauguracji każdy taki meczet staje się ośrodkiem propagandowym tym bardziej skutecznym, że korzysta niemal z nieograniczonej nietykalności. Pod tym względem warto podać pewien fakt, równie przedziwny co znaczący. Większość ludzi, którzy zajmowali się zakładaniem tych meczetów została potem „dyplomatami" i została przydzielona do ambasad, chociaż nie miała odpowiedniego wykształcenia. Przykład — Hossein Zamani, poprzednio student architektury w Nancy, gdzie założył organizację muzułmańską. Teraz pracuje w ambasadzie irańskiej w Paryżu.

Ostatni departament, którym kieruje pułkownik Fassihi, który za czasów szacha był jednym z szefów policji politycznej Savak, a potem przeszedł na służbę do Savamy, policji politycznej imama, może być uważany za dostarczyciela „silnych ramion". Jego zadaniem jest rekrutacja i szkolenie „osiłków", zorganizowanych w brygady, zawsze gotowych do interwencji fizycznych, jeśli zajdzie tego potrzeba.

Nie wiadomo, ilu jest tych propagandystów wykorzystywanych przez reżim Chomeiniego we Francji. Znamy natomiast większość „stowarzyszeń" — nawet jeśli żadne z nich nie zostało oficjalnie uznane — które służą za „przykrywkę" i mogą w razie konieczności dać alibi, że takie zebrania stale są u nich organizowane. Stowarzyszenie studentów islamskich we Francji — nie należy go mylić ze Stowarzyszeniem Islamskich Studentów Irańskich — a także Stowarzyszenie Muzułmańskich Studentów Irańskich, Stowarzyszenie Studentów Islamskich w Paryżu, itd., w gruncie rzeczy jedna i ta sama organizacja z tymi samymi działaczami i najczęściej z tą samą publicznością.

Państwo irańskie dysponuje na prawach pełnej własności pewną liczbą lokali rozrzuconych po całym Paryżu. We wszystkich tych lokalach mogą odbywać się spotkania i „konferencje" z dala od niedyskretnych spojrzeń i równie niedyskretnych uszu. Ambasada Iranu, która tłumaczyła się, że może podać tylko „rząd wielkości", ocenia na 12 tys. liczbę obywateli irańskich mieszkających we Francji w charakterze studentów. Chociaż ci młodzi ludzie zgodnie z przepisami zapisują się na nasze wyższe uczelnie, to przecież czynią tak dlatego, że warunkiem sine qua non uzyskania karty pobytowej jest właśnie uczęszczanie na uniwersytet. Tylko niewielu z nich jednak jest obecnych na wykładach. Warto zwrócić uwagę, że w paryskim miasteczku uniwersyteckim 1 grudnia 1983 roku zarejestrowanych było 13 irańskich studentów, z czego 5 w charakterze „stażystów".

Uniwersytety francuskie w roku szkolnym 1982—1983 zarejestrowały 5611 studentów irańskich. W ten sposób Iran znalazł się na trzeciej pozycji, jeśli chodzi o studentów-obcokrajowców po Maroku i Algerii. Jednakże te dane, uwzględniające tylko podział narodowościowy, nie mówią nic o podziałach politycznych. Zwolennicy i przeciwnicy imama figurują tu razem i nie sposób stwierdzić, ilu jest po każdej ze stron.

Niemniej jednak paryskie miasteczko uniwersyteckie jest ulubionym miejscem „wędrujących kaznodziejów" integrystycznego islamu. W każdy czwartek i każdą sobotę zbierają się tu „islamiści". Ozdobiwszy miejsce portretami swych licznych idoli politycznych jak też afiszami i hasłami, rozdają ulotki, gromko starając się w ten sposób pozyskać muzułmanów arabskich, berberyjskich, afrykańskich czy innych. Mówi się już, że na islam przechodzą mieszkańcy Antyli. Wielu z nich przychodzi do miasteczka ze zwykłej ciekawości, ale czasem już jako zagorzali zwolennicy.

Agenci propagandowi „na pełnym etacie", których liczba nie jest dokładnie znana, ale których jest chyba od pięćdziesięciu do stu w samym tylko Paryżu i okolicy, otrzymują miesięcznie pensje całkiem przyzwoite. Uważa się, że dostają co miesiąc po 10 tys. franków. Według źródeł dobrze poinformowanych ludzie ci, zanim zostali skierowani do tego czy innego kraju, otrzymali przyśpieszoną edukację w dwu wyspecjalizowanych szkołach położonych w Qom świętym mieście irańskim oraz w Teheranie. Instruktorami są w większości Irańczycy i Palestyńczycy.

Jeśli wierzyć osobom, które miały do czynienia z tymi zawodowymi propagandystami, to są oni w równym stopniu pełni entuzjazmu co skuteczni w działaniu, zwłaszcza we wspólnotach muzułmańskich na emigracji. Używając prostego języka, dobrze przystosowując się do wymagań niezbyt oświeconej publiczności, ci głosiciele dobrego słowa potrafią przekonywać do swoich tez. Uzyskują tym łatwiej sukcesy, że zwracają się do osobników psychologicznie przygotowanych do pójścia wskazaną im drogą w zamian za obietnicę lepszego życia na płaszczyźnie duchowej i materialnej. Niezależnie od swoich przemówień agenci integryzmu dysponują też poważnymi środkami materialnymi, zwłaszcza jeśli chodzi o wydawnictwa we wszystkich językach. Bez ograniczeń rozdaje się książki, dzienniki, pisma, ulotki i kasety z nagraniami.

Jest już tylko jeden krok między eksportem we wszystkich kierunkach rewolucji irańskiej a świętą wojną zwaną dżihad i między tą wojną a morderczym terroryzmem. Wiadomo już, że ten krok został zrobiony i że terroryzm intelektualny może doprowadzić do innego, takiego, który pociąga za sobą śmiertelne ofiary.

(„LE MONDE")

Czy ustawa zapobiegnie okaleczaniu afrykańskich kobiet?

Pod koniec kadencji obecnego parlamentu nikomu już nie będzie wolno dokonywać obrzezania łechtaczki lub łabia minora czy majora (większa i mniejsza warga sromowa) u żadnej kobiety w W. Brytanii. Niemniej jednak w ciągu minionego roku okaleczono w ten sposób kilkaset dziewcząt. Niektóre „operacje" zostały wykonane przez wysoko płatnych prywatnych lekarzy. W przypadku uboższych dziewcząt zajęły się tym jakieś stare kobiety. Z Somali, Egiptu, Ghany lub Nigerii.

Debata nad ustawą o zakazie obrzezania kobiet, która odbyła się w Izbie Lordów w listopadzie 1983 roku, jest pod wieloma względami tylko formalnością. Ustawa przeszła już przez Izbę Lordów za kadencji poprzedniego parlamentu, ale proces nie został zakończony z powodu wyborów powszechnych. Zainicjowana przez lorda Kenneta uzyskała ona szerokie poparcie wszystkich partii — a także, po wyjaśnieniu niektórych szczegółów — przez wszystkie stowarzyszenia lekarskie.

Być może najbardziej kontrowersyjnym aspektem ustawy jest to, że przepisy, jakie ona proponuje, są w ogóle konieczne. Jednakże w naszym kraju dokonuje się zabiegu obrzezania u wielu dziewcząt, chociaż dokładne liczby nie są znane, gdyż nie prowadzi się żadnych badań w tej dziedzinie. Wprawdzie tygodnik „OBSERVER" pisał w lutym 1983 roku, że dr Sunit Ghatak z Harley Street przyznał się do dokonania zabiegu u dwóch kobiet nigeryjskich w jednej z klinik w północnym Londynie, ale to był jedynie „wierzchołek góry lodowej".

Ustawa, jak się wydaje, ma przede wszystkim na celu powstrzymanie lekarzy od operowania kobiet i dziewcząt przyjeżdżających z innych krajów. Trzeba jednak pamiętać, że klientki przyjeżdżają głównie z krajów afrykańskich, gdzie tradycja obrzezania kobiet jest głęboko zakorzeniona. Same kobiety są do tej tradycji głęboko przywiązane i to będzie największy problem, gdy ustawa wejdzie w życie. Jak mówi Shamis Dirir, przywódczyni Stowarzyszenia Kobiet Somalijskich, wszystkie kobiety zarówno te, które stale mieszkają w Somali, jak i imigrantki poddają się temu zabiegowi, a jeśli pozostają w W. Brytanii, podejmują starania, aby obrzezane były również ich córki.

Ustawa zabrania „nacinania, obrzezania lub jakiegokolwiek innego okaleczenia łabia majora lub minora, bądź łechtaczki kobiety". Jeśli zakaz będzie przestrzegany, położyłoby to kres obecnej sytuacji kobiet, którym usuwa się ważne części ich anatomii i zeszywa pochwę jedwabiem lub katgutem. W pochwie pozostaje wówczas tylko mały otwór, do którego wprowadza się niewielką rurkę dla odprowadzania krwi i moczu. Ta forma zabiegu jest najbardziej radykalnym i bolesnym okaleczeniem. Według danych grupy walczącej o prawa mniejszości, w ten sposób operuje się większość kobiet w Sudanie, Somali i Mali. Wycięcie łechtaczki i całej łabia minora, a także obrzezanie w ścisłym znaczeniu tego słowa, czyli ścięcie główki łechtaczki, są praktykowane szeroko w 20 krajach afrykańskich. Stosują to członkowie wszystkich grup religijnych, w tym także Żydzi Falasza z Etiopii, chrześcijanie, muzułmanie i animiści. Ofiarami tych zabiegów są dziewczynki w wieku od kilku miesięcy do kilkunastu lat.

Operacje okaleczające nie tylko pozbawiają dziewczęta możliwości zaspokojenia seksualnego, ale także powodują liczne komplikacje, jak krwotoki, zakażenia tężcem lub sepsę w wyniku używania nie wysterylizowanych narzędzi. Obrzezana kobieta będzie miała trudności przez całe życie. Ponieważ pochwa jest niemal „zapieczętowana", normalny odpływ krwi i moczu napotyka przeszkody. W rezultacie występują zablokowania i infekcje, które nierzadko prowadzą do śmierci.

Te chroniczne problemy sprawiają, że stosunki płciowe i urodzenie dziecka stają się koszmarem dla wielu kobiet. Podobnie dzieje się w W. Brytanii, gdzie lekarze ignorują palące potrzeby tysięcy zamieszkałych w naszym kraju obrzezanych kobiet. Shamis Dirir opowiada o pewnej młodej mężatce, która została zoperowana bez żadnego znieczulenia przez niedoświadczonych członków wspólnoty. Zabiegu dokonano po tym, jak miejscowy szpital ubezpieczalni społecznej odmówił przyśpieszenia obrzezania (trzeba na to czekać od sześciu miesięcy do dwóch lat), aby małżeństwo dziewczyny mogło być skonsumowane. Jak mówi Shamis Dirir, „mąż tej kobiety nie miał zamiaru czekać sześć miesięcy, ani tym bardziej dwa lata".

Poród to jeszcze jeden koszmar dla tych kobiet. Większość lekarzy angielskich woli odbierać poród przez cesarskie cięcie aniżeli rozcinać szwy w pochwie i później je zeszywać na żądanie pacjentki. A jednak są dowody na to, że po porodzie dokonuje się wielu zabiegów ponownego zeszycia.

Wiele małżeństw somalijskich rozpadło się pod wpływem obcej i niekiedy wrogiej kultury. Coraz większa izolacja kobiet wzmaga, jak się wydaje, przywiązanie do niektórych aspektów tradycji. Tak bywa zwłaszcza w przypadkach, gdy chodzi o honor i reputację kobiet i ich córek. Ta kwestia honoru jest z kolei ściśle związana z utrzymywaniem obyczaju obrzezania kobiet. Dla społeczeństw, w których ten zabieg jest praktykowany, obrzezanie stanowi gwarancję dziewictwa przed ślubem, a także gwarancję czystości kobiet w okresie trwania małżeństwa.

Podczas gdy cudzoziemcy niewątpliwie uważają owe praktyki za szokujące i za wszelką cenę starają się ustalić kto jest winien, większość zainteresowanych kobiet nadal żywi przekonanie, że obrzezanie jest dla młodej żony koniecznym warunkiem czystości i przydatności do małżeństwa. Dlatego też wcielenie w życie ustawy wymaga pewnej subtelności. Większość kobiet somalijskich dopiero niedawno połączyła się ze swymi mężami w W. Brytanii. Jest to konsekwencją bardziej rygorystycznych ustaw imigracyjnych, utrudniających marynarzom somalijskim pracę poza obrębem portów brytyjskich i równocześnie uniemożliwiających im dłuższe odwiedziny u rodzin w Somali. Wiele kobiet nie umie czytać ani pisać i najczęściej ich egzystencja ogranicza się do czterech ścian domu. A jednak kobiety te mają w ręku pewien atut. Łatwiej je zorganizować, gdyż według aktualnych obliczeń 9 tysięcy Somalijczyków mieszkających w W. Brytanii skupia się w okolicach stoczni w Liverpoolu, Cardiff i londyńskiego East Fend. Do innych wspólnot znacznie trudniej jest dotrzeć.

Przewidziane w ustawie kary mają wprawdzie na celu odstraszenie lekarzy od dokonywania okaleczeń, ale mogą się także odnosić do rodzin okaleczonych kobiet. Jak stwierdza ustawa, udział w operacjach lub ułatwianie ich może spowodować wymierzenie kary grzywny do 1000 funtów lub kary więzienia do pięciu lat albo też obu tych kar łącznie.

Ffua Stella Graham pochodząca z Ghany jest kierowniczką FORWARD, Funduszu Badań i Rozwoju w dziedzinie zdrowia kobiet. Głównym celem nowej organizacji jest położenie kresu praktyce obrzezania i infibulacji wśród afrykańskich imigrantów — przy czym szczególny nacisk kładzie się na poważne (niekiedy śmiertelne) niebezpieczeństwo tych praktyk. Trzeźwo myśląca pani Graham, która w Anglii zdobyła dyplom pielęgniarki, przez wiele lat zajmowała się tym problemem. Brała żywy udział w kampanii przeciw obrzezaniu prowadzonej przez kobiety afrykańskie i nawiązała wiele cennych kontaktów.

Pani Graham z całego serca popiera obecną ustawę, ale zarazem ma pewne zastrzeżenia w kwestii jej zastosowania. Według jej opinii ustawa powinna być połączona z dobrze przemyślanym programem oświaty, który realizowaliby oświeceni przedstawiciele wspólnot afrykańskich.

„Jeśli nic się w tej dziedzinie nie zrobi i jeśli ustawa zawiśnie w próżni, mogę przewidzieć, że niejedna biedna afrykańska rodzina będzie ją naruszać nawet nie zdając sobie z tego sprawy".

Nie jest to wykluczone, jeśli weźmiemy pod uwagę, że np. w społeczności somalijskiej większość kobiet nie zna dostatecznie angielskiego, aby móc czytać gazety. Jak twierdzi pani Graham, niewiele kobiet zdaje sobie sprawę, że praktyka obrzezania jest przedmiotem międzynarodowej debaty. Jej troskę podziela Shamis Dirir, która obawia się, że jeśli nie znajdą się fundusze na szerszy program oświatowy prowadzony w językach imigrantów, praktyki obrzezania mogą być uprawiane w podziemiu, co byłoby szczególnie niebezpieczne, gdyż w takich przypadkach rodzice dziewcząt baliby się ujawniać ewentualne komplikacje, aby nie narazić się na karę. W obecnym stanie rzeczy niezmiernie trudno jest wykrywać takie przypadki i ustalać kto przeprowadza zabiegi.

Ffua Graham podkreśla, że każdy program wyjaśniający w tej dziedzinie powinien być realizowany w kontekście programów alfabetyzacji i opieki zdrowotnej nad matkami i ich córkami. Pani Graham i Shamis Dirir mają już pewne doświadczenie w zakresie udzielania porad matkom, które zastanawiają się, czy przypadkiem nie zerwać ze starą tradycją. Przed kilkoma tygodniami zgłosiła się do nich zatrwożona matka 11-letniej dziewczynki, której koleżanki, Somalijki urodzone już w Anglii, wmówiły, że powinna dać się obrzezać, gdyż w ten sposób uzyska wyższy status społeczny. Dziewczynka jest przeświadczona, że powinna się do tego zastosować, a co gorsza — podobnej presji ulega jej matka.

Lord Kennet sądzi, że skoro tylko ustawa wejdzie w życie, odpowiednie resorty rządowe będą mogły przystąpić do zwalczania szkodliwych praktyk. Aktywiści wspólnot mają nadzieję, że rząd będzie finansował już istniejące ochotnicze organizacje i będzie wnikliwie realizował postanowienia ustawy w odniesieniu do zainteresowanych rodzin.

(„NEW STATESMAN")

W kręgu fantastyki

Czarodziej — Spełniacz Życzeń przedstawił sytuację bardzo zwięźle:

— W nagrodę za uczciwe życie możesz zrealizować trzy marzenia. Wystarczy, że wypowiesz głośno życzenia. Jest jednak pewien warunek, którego nie mogę ci teraz wyjawić. Jeżeli postąpisz wbrew niemu — zginiesz. Czy zaryzykujesz?

Pokusa była zbyt silna, aby odmówić.

— Zgadzam się — powiedział Tom Stromenger i wypowiedział pierwsze życzenie.

Poczuł się młody, zdrowy i silny.

Wypowiedział drugie życzenie.

Następnego dnia wygrał w totalizatora, otrzymał list z wiadomością, że jest jedynym prawnym spadkobiercą majątku zamożnej ciotki (nieboszczki, rzecz jasna), a kopiąc w ogródku, przypadkowo znalazł szkatułę zawierającą stare monety i kilka złotych pierścieni.

Wypowiedział trzecie życzenie...

Niektóre sny są wspaniałe, dopóki są tylko snami.

Dalej wszystko potoczyło się w coraz szybszym tempie. Nie poszedł do pracy, w ogóle nie wychodził z domu. Starał się czymś zająć, oderwać myśli, lecz nie bardzo mu to wychodziło Proces znikania postępował z godziny na godzinę. Najgorsze było to, że wciąż się nasilał. Niemal w oczach stawały się niewidzialne dalsze partie ciała. Około południa spostrzegł, że zaraza zaczyna dotykać rąk. Podobnie, jak w przypadku niewidocznych już nóg, zaczęło się od palców. Tym razem miał możliwość dokładnego obejrzenia zjawiska, ale tylko potwierdził wcześniejsze spostrzeżenia — okropny widok uciętego pozornie ciała ponownie przyprawił go o mdłości.

Skulił się i zatkał palcami uszy. Począł kołysać się z boku na bok, zanucił jakąś melodię. Odpływał. Odpływał ze świata, który stawał się udręką. Tkwił pogrążony w letargu, nie myśląc o niczym, nie śpiąc, nie czuwając. Naraz usłyszał wewnętrzne odgłosy własnego ciała; nie było w nich nic nadzwyczajnego — lekko przyśpieszony rytm serca, jednostajny szum pulsującej krwi i świst nierównego z powodu napięcia oddechu.

Nagle stał się zupełnie spokojny. Zdał sobie sprawę, że właściwie czuje się dobrze i jest najzupełniej sprawny fizycznie.

KRZYSZTOF KOCHAŃSKI

Znikający człowiek

Ronald Eccles miał sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu i zwykł sypiać na plecach. Z tej przyczyny każdy jego dzień rozpoczynał się oglądaniem własnych, wystających spod kołdry stóp.

Tego ranka Ronald obudził się i spostrzegł, że jego prawa stopa ma tylko cztery palce. Brakowało największego.

Było to bardziej niż dziwne.

W pierwszej chwili Ronald potraktował to wydarzenie z nie pozbawionym wesołości niedowierzaniem; był krótkowidzem i zdawał sobie sprawę z niedoskonałości swoich oczu.

Wytężył wzrok i poruszył stopą. Palce zafalowały niczym fragment klawiatury fortepianu. Cztery palce. Wciąż widział to samo.

Wtedy poczuł pierwszy sygnał strachu. Usiadł, pochylił się i ostrożnie wyciągnął rękę. Pomacał nasadę stopy i odetchnął z ulgą. Zmysł dotyku przekonał go, że wszystko jest w porządku. Roześmiał się, wyszydzając swoje idiotyczne obawy.

Ale nadal nie dostrzegał tego jednego, dużego palca.

Sięgnął po okulary i zaraz przypomniał sobie, że wczoraj je stłukł. Na szczęście posiadał soczewki kontaktowe, wyjął je z pojemnika z płynem fizjologicznym i nasunął na gałki oczne. Spod załzawionych powiek zerknął na prawą nogę. Westchnął, przetarł łzy i spojrzał ponownie — niestety, jego stopa nadal zachowywała swój nietypowy wygląd. Nie wiedział co o tym myśleć...

Nagle spojrzał na zegarek i zorientował się, że grozi mu spóźnienie do pracy. Zerwał się z łóżka. Dla sprawdzenia tupnął kilkakrotnie nogą o podłogę. Wyraźnie poczuł lekki ból i mrowienie w dużym palcu (nadal niewidocznym). Nałożył skarpetkę i dziwne uczucie, jakiego doświadczał obserwując niewidzialny element swojego ciała, zniknęło. Odziana stopa wyglądała najnormalniej w świecie.

W czasie pracy wiele myślał o tym wydarzeniu. Korciło go, żeby pójść do toalety i zobaczyć czy nic się nie zmieniło. W końcu doszedł do wniosku, że miał do czynienia z przywidzeniem i jeżeli historia się powtórzy, konieczna będzie wizyta u okulisty.

Jednak po powrocie do domu natychmiast ściągnął skarpetki. To co zobaczył, spowodowało, że przeżył wstrząs psychiczny.

Widział tylko pół stopy.

Z trudem opanował drżenie rąk. Doskonale orientował się co to jest iluzja, przepadał za cyrkowymi, magicznymi sztuczkami, ale nigdy nie spotkał się z czymś, co potrafi oszukać ludzkie zmysły w sposób tak doskonały.

Iluzja. To było jedyne wytłumaczenie i tego musiał się trzymać: iluzja spowodowana chorobą oczu.

Gdy uspokoił się nieco, dotknął ręką niewidocznej części stopy. Wyraźnie czuł pod palcami każdy szczegół... Było tak samo jak rano — tylko, że teraz nie widział o wiele więcej. Wyciągnął nogę, postawił ją na krześle i poddał dokładnym oględzinom.

To było niesamowite.

Stopa wyglądała jak przecięta ostrym narzędziem. Postarał się ją odwrócić i omal go nie zemdliło, w miejscu przecięcia ujrzał wnętrze ciała: mięso, końcówki żył, kość, szpik Lecz dotyk zaprzeczał temu wszystkiemu; palce były wyczuwalne — całe i zdrowe.

Można zwariować!

Ronald chwycił za telefon i zaczął wykręcać numer do swojego najlepszego przyjaciela. Przy ostatniej cyfrze zatrzymał się. Nie będzie robił z siebie idioty. Poczeka do jutra, pójdzie do lekarza — do diabła! Nawet do psychiatry i wyjaśni całą tę bzdurę!

Tego wieczora bardzo trudno było mu zasnąć...

Rankiem, po przebudzeniu, w pierwszej chwili nie pamiętał wczorajszych zdarzeń, dopiero gdy spojrzał przed siebie...

Spod kołdry wystawała tylko jedna noga. Mimo że — czuł to — obie miał wyprostowane. Gwałtownym ruchem odrzucił na bok pościel i... zemdlał.

Ocucił go chłód. Drżącymi dłońmi nałożył szkła kontaktowe i jeszcze raz obejrzał swoje ciało. Prawa noga kończyła się na wysokości uda — niżej nie było nic. Jeszcze gorzej wyglądała lewa, brakowało w niej kolana. Niesamowity widok — udo, pustka i reszta odcięta — łydka i stopa osobno.

Najbardziej niedorzeczne było to, że nie czuł nic, albo raczej, że czuł wszystko jak zwykle. Mógł chodzić, biegać, gdyby był niewidomy, nie miałby pojęcia, że w ogóle coś się dzieje.

Ubrał się i wszystko znowu było zwyczajnie. Było — wydawało się, wydawało się — było, sam już nie wiedział Pozostawała świadomość, że pod ubraniem jego ciało podlega przerażającej metamorfozie.

Wtedy po raz pierwszy pomyślał o tym, co będzie, gdyby rzeczywiście stał się niewidzialny. Czasem marzy się o czymś takim, ale gdy marzenie staje się faktem, wtedy przeraża. I to nie tylko bezsensownością zdarzenia.

Wstał i wykonał kilka przysiadów. Z wyciągniętych przed siebie rękawów koszuli nie wystawały już dłonie. Tylko na moment wytrąciło go to z równowagi, ubrał skórzane rękawiczki i kontynuował ćwiczenia. Gdy skończył, zmęczony położył się na tapczanie. Wtedy nieoczekiwanie przeraził się na myśl, co będzie, gdy zaraza dojdzie do klatki piersiowej i zniknie mu serce. Czy przestanie żyć...? A jeżeli dojdzie do mózgu?!

Podbiegł do lustra i rozpiął koszulę... Proces ogarnął już klatkę piersiową. Ronald słabo orientował się w anatomii, ale wyglądało na to, że serca już nie ma. Mimo to biło nadal i nie odczuwał niczego szczególnego prócz podniecenia. Jednak niepokój pozostawał, tym bardziej, iż tempo zmian wciąż przyśpieszało.

Lekarz: Musi zdążyć do lekarza!

Ubrał buty, narzucił płaszcz i wybiegł z mieszkania.

Z naprzeciwka szła sąsiadka, starsza kobieta, nie pamiętał nawet jej nazwiska.

— Dzień dobry! — odpowiedziała na jego ukłon. — Dobrze, że pana widzę, chciałam... — przerwała. Ze zdumieniem wpatrywała się w szyję Ronalda. Nagle zaczęła przeraźliwie krzyczeć. Ronald pojął co się stało. Odwrócił się i biegiem wrócił do mieszkania. Pierwsze co zrobił, to spojrzał w lustro...

Jego głowa wisiała w powietrzu nad ubraniem.

Przymknął powieki i usiadł na podłodze. Spokojnie...: Tylko spokojnie... Tego przecież należało oczekiwać.

Popadł w dziwne odrętwienie. Jakiś stan pośredni między snem a paraliżem. Nie wiedział, ile czasu upłynęło nim się ocknął. W lustrze ujrzał wypchane ubranie i wiszącą nad nim kepkę włosów. Powoli rozebrał się i lustrzane odbicie zniknęło. Tylko resztka czupryny wisiała na wysokości metra dziewięćdziesiąt nad podłogą, a nieco pod nią prawie niewidoczne celofaniki szkieł kontaktowych.

Ronald Eccles roześmiał się histerycznie. Chwycił nożyczki i przyciął włosy. Tym samym zniknął ostatecznie.

— Proszę bardzo, droga wolna — powiedział Czarodziej — Spełniacz Życzeń, otwierając drzwi do mieszkania Ronalda Ecclesa.

Tom Stromenger z wahaniem przekroczył próg. Rozejrzał się. W środku rzeczywiście nie było nikogo. Tak jak obiecał Czarodziej — SŻ. Trzecie życzenie Stromengera zostało spełnione, już nigdy w życiu nie ujrzy Ecclesa, swojego największego wroga.

Do czasu pojawienia się Czardzieja — SŻ Tom nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo nienawidzi Ecclesa. Ronald zawsze był lepszy. Zawsze! A znali się od czasów studenckich. Już na uczelni Eccles błyszczał, mimo że więcej czasu poświęcał życiu towarzyskiemu niż nauce. Uważani byli za przyjaciół, ale Tom wciąż pozostawał w cieniu. Ronald miał więcej szczęścia, lepsze dziewczyny i grubszy portfel. W pracy był bardziej doceniany, szybciej awansował i chociaż czasami bywał na bakier z przepisami prawnymi, zawsze mu się udawało.

Stromenger pogodził się z tym brakiem życiowego szczęścia. Był zdania, że żyje uczciwie i potrafił obojętnie patrzeć na sukcesy Ronalda. Dopiero gdy trafiła się szansa zmiany tego stanu rzeczy, zrozumiał, co w jego życiu trapi go najbardziej... Zazdrość...

Czarodziej — SŻ był przysłowiową okazją, która czyni złodzieja.

— Czy mogę być pewien, że Ecclesa nie ma w żadnym innym miejscu na Ziemi? — zapytał Stromenger.

Czarodziej — SŻ z uśmiechem pokiwał głową.

— Tego możesz być pewien. Nawet ja nie umiem być w dwóch miejscach równocześnie.

— ...?

— Eccles jest w tym pokoju.

— Jak to?! — wykrzyknął z przerażeniem Stromenger. — Przecież obiecałeś...

— Twoje życzenie brzmiało: „Niech Eccles zniknie, nie chcę go widzieć nigdy w życiu". I tak się stało. Nigdy go nie zobaczysz. Ale on jest... Jest...

— To nieporozumienie — głos Stromengera brzmiał piskliwie. — Miałem na myśli, że on... że ty go...

— Że ja go zamorduję — podpowiedział bezlitośnie Czardziej — SŻ. — Jeżeli kogoś nie ma na świecie, to znaczy, że albo jeszcze się nie urodził, albo już nie żyje.

W tym momencie Tom Stromenger spostrzegł obok siebie dwa przejrzyste celofaniki. Twarz wyciągnęła mu się w okrzyku nieludzkiego strachu, gdy poczuł na ramieniu dotyk czyjejś ręki i usłyszał wysyczane szeptem słowa:

— Tyyy gnoojku....

To był głos Ecclesa.

Ostry ból w okolicy serca zwalił Stromengera na podłogę.

— Tak wygląda cała historia. — Czarodziej — Spełniacz Życzeń zakończył swoją opowieść. — Nawet ja mogę się mylić wybierając człowieka, który wydaje się zasługiwać na nagrodę. Stąd warunek dotyczący jakiegokolwiek życzenia — musi być ono uczciwe pod każdym względem. Tom Stromenger został uprzedzony, że może zginąć. Nie wiedział — co prawda — dlaczego, ale o to właśnie chodzi, aby być uczciwym, gdy ma się okazję nim nie być.

Ronald Eccles w oszołomieniu spoglądał na leżące na dywaniku zwłoki. Atak serca. Wiedział, że to nie wytrzymało serce Stromengera, ale kiełkowało w nim poczucie winy.

— Należy ci się jakaś rekompensata za te wszystkie przeżycia — rzekł Czarodziej — SŻ. — Nie jesteś kryształowy, zatem nie przysługują ci trzy życzenia, ale na jedno mogę się zgodzić.

— Chcę być znowu widzialny! — zawołał bez namysłu Eccles.

Czarodziej — SŻ roześmiał się pobłażliwie.

— Anuluję życzenie — powiedział. — To już się stało.

Ronald podbiegł do lustra i krzyknął z radości. Nieoczekiwanie zawstydził się — był zupełnie nagi.

— No więc? — ponaglił Czarodziej — SŻ. — Czekam na życzenie.

— Nie dam się nabrać — odparł Ronald Eccles. — Znikaj.

Kronika

● Nowy fan-club SF powstał w Bydgoszczy. Działa on przy tamtejszej Akademii Techniczno-Rolniczej i jak głosi pierwszy punkt klubowego statutu „jest niezależną, studencką organizacją społeczną zrzeszającą miłośników i sympatyków szeroko rozumianej fantastyki" Klub przyjął nazwę „SFora". Spotkania członków odbywają się w każdą środę o godz 18.00 w Domu Studenckim F-2 przy al. prof. S. Kaliskiego 14. Wypełniają je tradycyjnie tematyczne prelekcje i dyskusje, spotkania z pisarzami (w najbliższym czasie gościć będą w „SForze" Wiktor Żwikiewicz i Lucjan Znicz), giełdy książek fantastycznych i fantastyczno-naukowych. W planach młodego klubu odnajdujemy zamiar wydawania cyklicznego fanzinu pn. „Sezam" oraz zorganizowania — wespół z Akademickim Centrum Filmowym „Benefis" — przeglądu filmów SF. W stawianiu pierwszych kroków pomaga kolegom z Bydgoszczy Łódzki Klub Fantastyki „Phoenix", najstarsza w kraju organizacja fanowska, z którą „SFora" ściśle współpracuje już od chwili powstania. Prezesem klubu jest kol. Grzegorz Pietrzak, zaś sekretarzem kol. Barbara Biesiada, do której kierować należy wszelką korespondencję (85-790 Bydgoszcz, al. Kaliskiego 14, DS F-2, pok 406 B).

● Młodym klubem jest również powstały niedawno warszawski oddział PSMF „SFera", którego spotkania odbywają się co czwartek (godz. 17.00) w Klubie Medyków na Polach Mokotowskich. Jego prezesem (a raczej prezeską) jest kol. Katarzyna Makowska. „SFera" pragnie zorganizować w najbliższym czasie, ma to być początek maja, przegląd magnetowidowy filmów SF, który odbędzie się w Ryni pod Warszawą. Impreza zapowiada się atrakcyjnie, oby dopisała organizacja!

R. S.

Kluby SF w Polsce — ciąg dalszy

Zgodnie z wcześniejszą zapowiedzią prezentujemy dziś listę krajowych organizacji zrzeszających miłośników fantastyki. Są w niej wymienione te kluby, które uczestniczą w ogólnopolskim ruchu fanów (poprzez uczestnictwo w konwentach i seminariach, wymianę własnych wydawnictw, itd.). Z pewnością są jeszcze, szczególnie w mniejszych ośrodkach, kluby nie znane dotąd na ogólnopolskim forum, w takich przypadkach prosimy o listy z bliższymi informacjami, które przekażemy fanom na łamach naszej kolumny.

BIAŁYSTOK — Klub SF, c/o Jarosław Karelus, Kalinowskiego 8 m. 5, kod: 15-875.

BYDGOSZCZ — 1. „Maskon" (oddział PSMF), ul. Chodkiewicza 30, 2. Akademicki Klub SF „SFora", al. Kaliskiego 14, DS F-2, kod: 85-790 (przy korespondencji dopisać: pok. 406 B).

CZĘSTOCHOWA — oddział PSMF, ul. Racławicka 2, kod: 42-200.

GDAŃSK — oddział PSMF, c/o Leszek Lewandowski, ul. Olsztyńska 8 m. 12, kod: 80-395.

GORZÓW WIELKOPOLSKI — Gorzowski Klub Miłośników Fantastyki Naukowej, ul. Chełmońskiego 8, kod: 66-409.

KRAKÓW — Klub SF, ul. Poselska 9.

KATOWICE — Śląski Klub Fantastyki [1]) ul. Mariacka 17a, kod: 40-956.

LUBLIN — oddział PSMF, ul. Podgrodzie 3, kod: 20-010.

ŁÓDŹ — Łódzki Klub Fantastyki „Phoenix" [2]), ul. Łagiewnicka 118 c, kod: 91-471.

OPOLE — „SOKIBUSF", ul. Strzelców Bytomskich 8.

POZNAŃ —
1. „Nostromo", Pałac Kultury, ul. Armii Czerwonej,
2. „Orbita (oddział PSMF), oś. Kosmonautów 118

PIOTRKÓW TRYBUNALSKI — Klub SF, Piotrkowska Sp-nia Mieszk. — klub „Jaskółczyn", ul. Belzacka.

SZCZECIN — Klub SF „Kwant", Korzeniewskiego 2, kod: 70-211.

ŚWINOUJŚCIE — „Wąż morski", ul. Batalionów Chłopskich 2, kod: 72-600.

WARSZAWA —
1. „SFAN-Club", Staromiejski Dom Kultury, Rynek St. Miasta 1.
2. „SFera" (oddział PSMF), ul. Żwirki i Wigury 30, kod 00-973.

WROCŁAW — Klub Fantastyki, ul. Szewska 19/21, kod: 50-139.

[1]) Śląski Klub Fantastyki posiada swoje oddziały w Gliwicach i Tychach.

[2]) Łódzki Klub Fantastyki „Phoenix" posiada swoje zamknięte filie środowiskowe przy Fabryce Dywanów „Dywilan" i przy Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych (klub „ZENEK")

Opracował: M. MUROWANIEC

1 Lewym okiem

Instytucjom nie zależy...

Po wielu latach różnych perypetii także mój aparat telefoniczny został włączony do sieci międzymiastowej. Taka sieć to niezły wynalazek, pozwalający o każdej porze, bez wielkich zachodów, nawiązać kontakt z dowolną osobą w wielu miastach kraju, a nawet za granicą, pod warunkiem że ta osoba też ma telefon i że zna się jej numer. To są jednak warunki konieczne, ale niewystarczające.

Miałem na przykład ważną sprawę do kogoś w Warszawie. Dzwonię więc do informacji z prośbą o podanie numeru i już za piątym podejściem dowiaduję się — po odczekaniu paru minut na poszukiwanie numeru przez panią informatorkę — że... w jej książce brak akurat potrzebnych stronic, wobec czego muszę dzwonić do informacji warszawskiej. To była też informacja, nawet rozbrajająca, mianowicie rozbrajająco świadczyła o absolutnej nonszalancji *instytucji wobec jej klientów.*

Dzwoniłem do Warszawy chyba kilkadziesiąt razy, rano, za dnia, wieczorem. Zajęte i zajęte. Ale czasami zamiast sygnału odzywał się miły głos, powtarzający w kółko: „Biuro numerów, proszę czekać" — „Biuro numerów, proszę czekać". To nawet było zachęcające, tylko że po paru minutach czekania głos nieodmiennie się urywał i znów słyszałem sygnał „zajętości". Zapewniam was że można przy tym wyleźć ze skóry.

Nazajutrz ruszyłem w wędrówkę po Łodzi, wiedząc, że w urzędach pocztowych znajdują się książki telefoniczne wszystkich województw. Ale to nieprawda. Na Poczcie Głównej przy ulicy Tuwima są wszystkie województwa, zresztą straszliwie schachrane i w połowie zniszczone oprócz akurat Warszawy. W Urzędzie Pocztowym przy Al. Kościuszki w książce warszawskiej brak kilkudziesięciu pierwszych stronic. W Urzędzie przy ul. Armii Ludowej jedna z pań w okienku każe mi dobrze szukać odnośnej książki na stojaku, gdzie leżą strzępy różnych innych województw, druga pani informuje uczciwie od razu: książka warszawska zginęła. W Urzędzie nr 8 przy ul. Piotrkowskiej książkę stołeczną wypożycza się w okienku, ale i tak zaczyna się ona od piętnastej strony a czternaście wyrwanych zginęło. Właśnie tych, które są potrzebne. Parę godzin krążyłem po mieście na próżno.

Dopiero trzeciego dnia udało się dostać połączenie z informacją warszawską i uzyskać potrzebny numer. Trzy dni na takie ewidentne głupstwo, tylko dlatego, że **żadnej instytucji** w Polsce **nie zależy absolutnie** na należytej obsłudze klientów.

* * *

W przychodni specjalistycznej przy ul. Próchnika 11 zapisują się pacjenci do różnych prześwietleń i badań, między innymi do cholecystografii. Do takiego badania chory musi się sam odpowiednio przygotować. Pani z okienka daje więc pacjentowi kartkę i kawałek ołówka oraz bardzo brudną i słabo czytelną instrukcję, dotyczącą tych właśnie przygotowań, i każe sobie tę instrukcję przepisać. W ciasnym korytarzu, na stojąco lub na kolanie, niepewną ręką starego chorego człowieka, przy słabym świetle. Tę samą instrukcję mogłaby przepisać na maszynie sto razy ta sama pani, nudząca się w okienku, pomiędzy jedną herbatką a drugą. Przepisać i dawać po prostu zainteresowanym. Ale na to potrzeba maleńką odrobinę dobrej woli i jeszcze mniejszą — pomyślunku. Cóż, **żadnej instytucji** w Polsce... (jak wyżej).

* * *

Najzwyklejsze kupno gazety lub czasopisma staje się prawdziwym problemem. Nie dlatego, że za małe nakłady. Pisma są, leżą stertami za szybami zamkniętych kiosków. Trafić na czynny kiosk to prawdziwa loteria. Większość zdobią nagryzmolone kartki: „Poszłam do centrali", „Wyszłam na chwilę", „Przyjęcie towaru", „Zamknięte z powodu choroby" — i wiele innych w tym stylu. Parę dni temu trzy osoby z kolejki kupiły „Głos", a przede mna okienko zatrzasnęło się bez komentarza. Od ulicy Rewolucji musiałem dojść aż do Dworca Fabrycznego, tylko po to żeby kupić gazetę. Pięć kiosków po drodze — nieczynnych!

Ponieważ prasę z prenumeraty otrzymuję z dużym opóźnieniem, a listonoszka wciąż narzeka, że tyle tego musi dźwigać, chciałem przestawić się na teczkę w kiosku. Ale jak tu liczyć na teczkę, kiedy każdy kiosk zamyka się kiedy chce i na prasę można popatrzeć przez szybkę? Doprawdy — **żadnej instytucji...** (jeszcze raz jak wyżej).

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

2 Spojrzenie znad szachownicy

Incydent

1.

Przedstawiony niżej incydent w gruncie rzeczy nie zaistniał, ale przecież mógł zaistnieć, prowadząc do kontestacji, eskalacji, napomknień o kopulacji, a nawet czort wie do czego jeszcze. Wiedzeni dociekliwością badacza spróbujemy zbadać go tedy w stanie czystym, świadomi, iż jeden strącony kamyk może spowodować lawinę, zaś rozpatrywana przez cybernetyka zwykła kłótnia przy wódce jawi mu się jako dodatnie sprzężenie zwrotne, w którym każdorazowa reakcja na bodźce silniejsza jest od samego bodźca.

2.

Punkt wyjścia jest tu realny, podobnie jak realny jest zauważony na ekranie radaru klucz dzikich gęsi, które znerwicowany komputer bierze za eskadrę wrogich samolotów.

Otóż „Express Ilustrowany" popełnił błąd, zaś niewątpliwie sympatyczny redaktor VICESEKATOR nie omieszkał go „Expressowi" wytknąć (patrz „Odgłosy" nr 15, str. 2, rubryka „Minął tydzień", notatka od samego dołu). Zarzut wydrukowania w jednym i tym samym numerze — acz nie na jednej i tej samej stronie — dwóch identycznych w gruncie rzeczy notatek z gatunku tak zwanych „michałków", czyli ciekawostek, był — szczerze mówiąc — zasadny, owa zasadność wnerwiała jednak jeszcze bardziej, któż z nas bowiem lubi, gdy mu się prawdą w oczy świeci?!

Ponieważ z „Expressem" związany jestem służbowym ślubem, zaś z „Odgłosami" żyję wyłącznie na kocią łapę (czas jakiś temu było tys piknie, bo dokładnie na odwrót) poczułem się osobiście znieważony i postanowiłem dać bezlitosny odpór, piętnując podobne swawole.

Zasiadłem do maszyny i napisałem zwięzłą notatkę, którą — złożoną pogardliwym nonparelem, czyli najmniejszą możliwą czcionką — zamierzałem doczepić jako post scriptum do pierwszego lepszego artykuliku. Oto ten tekst:

„Przy okazji chcieliśmy serdecznie podziękować lubianemu łódzkiemu tygodnikowi za przyjacielskie zwrócenie uwagi na popełnioną przez nas drobną niedokładność, czując się jednocześnie głęboko usatysfakcjonowani tym, iż — jak się okazuje — „Express" bywa czytany aż tak wzruszająco gruntownie. Oczywiście pomyślimy o stosownym, równie przyjacielskim rewanżu, gdy tylko zdołamy przestudiować jakikolwiek numer „Odgłosów" od pierwszej do ostatniej strony".

3.

Tekst wydał mi się nieźły, bo na tyle mętny, iżby nikt nie mógł dociec, o co właściwie chodzi, **a zarazem umiarkowanie impertynencki, Czegoś** jednak brakowało, jakiejś kropki nad „i", tej — powiedzmy — jurności z jaką redagowane jest „Veto", a jak każdy człowiek łagodny marzę po cichu o tym, iżby zostać bezlitosnym brutalem.

Na szczęście nie tak dawno, bo w numerze 14 z datą 1 kwietnia, wspomniane „Veto" opublikowało instruktażowy artykuł wstępny, w którym stwierdza, iż TRZEBA NAZYWAĆ RZECZY PO IMIENIU, nadto zaleca używanie takich określeń — koniecznie złożonych wersalikiem — jak BANDYTA, PODWÓJNY OSZUST, ZŁODZIEJE, TRUCICIELE i ZBRODNIARZE.

Wszystko to wydało mi się co prawda zbyt mocne, jak na okazję w punkcie wyjścia błahą, nasunęło mi się jednak piękne słówko „BARAN", które natychmiast spróbowałem wkomponować do wyżej cytowanego tekstu, bez powodzenia wszelako. Może zabrakło mi talentu, może uporu, może wzięła górę lepsza strona mojej natury, dość, że koniec końców machnąłem ręką i na BARANA, i na całą sprawę, i na VICESEKATORA nawet (oby Allach odwrócił od niego swoje oblicze!).

4.

Skoro jednak badamy incydent w stanie czystym, to możemy sobie łacno wyobrazić, że nie machnąłem ręką, podjąłem trud przeredagowania tekstu, a słowko BARAN znalazło w nim swoje miejsce i zajaśniało pełnym blaskiem.

Ten BARAN byłby bez wątpienia VICESEKATORA ubódł, przeto VICESEKATOR — także zaglądając do artykułu wstępnego „Veta" niby do ściągawki — również bez wątpienia byłby się mi zjadliwie odgryzł. Wtedy ja bym mu dołożył, a on by mi przylał. Więc ja go jeszcze raz, a że nikt w tym momencie nie miałby już pojęcia w czym właściwie sprawa, przeto „Odgłosy" oddałyby do mnie jednoburtową salwę ze wszystkich felietonowych dział, być może wzywając nadto w sukurs zaprawionego w polemikach i połajankach Zbyszka Nienackiego.

Tu w „Expressie" na larum poczęto by dzwonić, wiadomo bowiem, że chłop żywemu nie przepuści, a Nienacki z Jerzwałdu. Aliści i „Express" ma mocarnych sojuszników, a to telekinetów, atletów, takoż karateków wszelkich stylów i doktryn. Poznawczo rzecz byłaby może nawet podwójnie ciekawa, dowiedzielibyśmy się bowiem wreszcie, czy rzeczywiście przed wojną budowano domy tak solidnie, że nie da się ich zburzyć, aż do fundamentów, a także, czy lepiej odsiedzieć co swoje, czy co swoje odleżeć w szpitalu. Aliści — w obliczu tak katastroficznej wizji — ośmielam się prywatnie i poufnie zapytać VICESEKATORA (oby Allach pokarał go bezpłodnością lub odwrotnie!) czy nadal uważa uparcie, że nie jest wszystko jedno, ile razy drukuje się to samo, jeżeli to coś — załóżmy — wydaje się przynajmniej umiarkowanie ciekawe?!

JERZY P.

P.S. W „Expressie" była potem korsza wsypa, ale jej nie zdradzę, bo Naczelny byłby mi urwał to, czym niekiedy pisuję, a mianowicie nogę.

J.P.

3 Sport

Coś się skończyło ale czy coś się zaczęło?

Pożegnaliśmy Grzegorza Lato. Kto pożegnał, ten pożegnał. Widzowie przed telewizorami w pożegnaniu nie uczestniczyli. Telewizja nie raczyła pokazać w przerwie meczu, jakim to piłkarzem był Grzegorz Lato. Można przecież było pokazać, co się działo przed meczem, jak żegnano tego znakomitego przecież piłkarza. Można było — i trzeba nawet — pokazać, jak ongiś Grzegorz Lato grał. W telewizji widać zapomnieli o dobrych obyczajach. A taki gest Grzegorzowi Lato się należał.

Był to piłkarz solidny i pracowity. Nie wchodził na boisko, aby się obijać i odpoczywać, patrząc, jak koledzy grają. Był wszędzie tam, gdzie była piłka, gdzie toczyła się akcja. Był to piłkarz najbardziej pracowity na boisku. Nie zawsze strzelał gole, ale był to przecież król strzelców z Monachium z 1974 roku. Dziesięć lat temu. Jak ten czas leci! No i Grzegorz Lato pożegnał się z polskimi boiskami. Gra jeszcze w Meksyku i — jak powiadają — dobrze sobie tam radzi. Szkoda, że telewizja nie przypomniała nam Grzegorza Lato z minionych lat.

Coś się skończyło...

Skończyli się przede wszystkim w telewizji sprawozdawcy. Andrzej Zydorowicz, który relacjonował mecz Polska — Belgia jakby zapomniał, że mówi do telewidzów, że w ogóle relacjonuje mecz i mówił zupełnie nie na temat. Opowiadać ludziom, którzy widzą, co się dzieje na boisku nie jest łatwo. To trudna sztuka. Posiadał ją znakomicie opanowaną nieoceniony Jan Ciszewski. Muszę z żalem powiedzieć, że czepiałam się jego nie jeden i nie dwa razy, bo potrafił niekiedy być niebywale denerwujący, ale dopiero dziś, kiedy się słucha jego następców, widzi się wielkość Jana Ciszewskiego i nieudolność tych, którzy po nim przyszli. Dariusz Szpakowski na przykład pięknie potrafi opowiadać o tym, czego nie ma na boisku, a czego on się spodziewał, że będzie. Andrzej Zydorowicz natomiast mówił sobie a muzom, z tym, że muzy go zupełnie nie słuchały, a telewidzowie denerwowali się. Andrzej Zydorowicz zapomniał, że telewidzom trzeba pomagać w śledzeniu akcji na boisku i na przykład mówić, kto akurat jest przy piłce, bo na ekranie niekiedy trudno zawodników rozróżnić. Widać ktoś zwrócił sprawozdawcy uwagę, bo w drugiej połowie meczu Polska — Belgia tego błędu już Andrzej Zydorowicz nie popełniał.

Coś się skończyło, ale czy coś się zaczęło?

Otóż nie. Skończyła się szkoła sprawozdawania Jana Ciszewskiego i nie zaczęła się nowa. Ani Dariusz Szpakowski, ani Andrzej Zydorowicz takiej szkoły nie stworzą. Może więc telewizja zaczęłaby szukać nowych sprawozdawców? Może jakiś konkurs? Jana Ciszewskiego też w takim konkursie odkryto! Serdecznie namawiam!

Coś się też skończyło w polskiej piłce nożnej. Ale też nic się jeszcze nie zaczęło. Można — bez większego ryzyka — powiedzieć, że wraz z odejściem Grzegorza Lato odeszła pewna epoka polskiej piłki nożnej. Co mamy na to miejsce? Ano nic interesującego.

Był mecz. Taki sobie. Raczej słaby. Nawet piłkarze RTS Widzew, o których tak się bał Antoni Piechniczek, że będą niedysponowani, byli nieźli. Tylko, co z tego. Piłkarze belgijscy powrócili do Belgii ze zwycięstwem i nadzieją, że w eliminacjach do mistrzostw świata z Polakami będzie sobie można poradzić. Oby się mylili.

Prawda jest niestety taka, że nadal nie posiadamy reprezentacji. Czy będziemy ją mieli, gdy przyjdzie walczyć o punkty? Nie wiem. Wszyscy mamy nadzieję, że może ten cud nam się uda. Sama nadzieja jednak nie wystarczy. Żeby zdobywać punkty trzeba umieć strzelać. A nasi wspaniali chłopcy jakoś nie mają do tego serca i... umiejętności. Zresztą już pisałam, czego to oni jeszcze nie mają. Nie będę się powtarzała.

Antoni Piechniczek powiedział po meczu, że pożegnanie Grzegorza Lato trwało zbyt długo i „piłkarze rozkojarzyli się". A co w tym czasie robili Belgowie? Jakoś to im nie przeszkodziło skutecznie odpierać ataki Polaków i w konsekwencji w ostatniej minucie strzelić nam gola. Nasi widać już się pogodzili z remisem i ucieszyli się, że nie będzie porażki, a tu Alex Czerniatyński zrobił nam przykry kawał — strzelił gola. „Dali się zaskoczyć w takiej chwili..." — powiedział Antoni Piechniczek. W ogóle nie powinni dawać się zaskoczyć.

Tak więc mogę tylko jeszcze raz powtórzyć: coś się skończyło, ale coś się nie zaczęło. Szkoda.

BOGDA MADEJ

Redaguje zespół: **Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska,** Andrzej Karolczak (sekretarz redakcji), Jerzy Kwieciński **Bogda Madej, Andrzej Makowiecki,** Grażyna Olechnowicz (z-ca sekretarza redakcji), **Tomasz Sas** (z-ca redaktora naczelnego) **Igor Sikirycki** (kier. działu literackiego), **Karol J. Stryjski, Janusz Szymański-Glanc** (grafik), **Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski** (redaktor naczelny), **Jolanta Wrońska.**

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Bohdan Gadomski Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński Edmund Lewandowski Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Jerzy Wilmański.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy", al. Mickiewicza 11, kod. 90-439 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 38-52-44, sekretarz redakcji 36-80-99. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. WARUNKI PRENUMERATY: 1. dla osób prawnych — instytucji i zakładów pracy: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" i na terenach wiejskich, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch". 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 23, 00-938 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153 201045 139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykle jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę: — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny, — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96, kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu: 36762.

Zam. 1146. E-11.

O miłości, wydającej się nieprawdziwą

Na zachodzie słońce powoli zbliżało się do horyzontu wyznaczonego przez ścianę lasów. Niebo było tam czyste, powleczone jedynie żółtaworóżową poświatą. Od południa jednak nadchodził wielki cumulonimbus i szybkie zbliżanie swoje oznajmiał głębokim i groźnym basem przeciągłych grzmotów. Ciemnosina chmura wyrastała jak wysoka na kilka kilometrów góra, która w miarę zbliżania się ukazywała swoją rozległą podstawę. Już cały południowy horyzont był przez nią zajęty i grzmiał jak organy. Powietrze przesycała wilgotna duchota i nawet lekkie szkwaliki, tu i ówdzie marszczące powierzchnię jeziora, nie przynosiły ochłody dla zbrązowiałego od słońca ciała. Aż wierzyć się nie chciało, że tak niedaleko, w ogromnej masie chmurowej góry — tkwi jak zaklęta znieruchomiała siła huraganu, w sinych kłębach kryje się gwałtowny deszcz, a jeszcze wyżej — drobne grudki gradu i płatki śniegu. Było czymś strasznym spotkać się z nią na jeziorze z pełnym ożaglowaniem; pierwszy podmuch wiatru bywał słaby, lecz drugi rzucał jacht na wodę jak motyla, który nieopatrznie znalazł się daleko od lądu. Potem woda zaczynała się kotłować i bielała od piany, z wysokich i krótkich fal zrywały się płaty wody.

Doktor Niegłowicz zrzucił obydwa żagle i, zanim nastała zupełna cisza, dał się ponieść lekkim powiewom wiatru w kierunku obrośniętego drzewami półwyspu starej bindugi. Wielka chmura znajdowała się tuż nad jego głową, zakrywając niemal całe niebo. Spływała z niej jadowita czerwień, a poczerniały na południu horyzont cięły zygzaki błyskawic.

Podciągnął miecz i wprowadził jacht w trzciny, zaczepiając ząb kotwicy o podmyte przez fale korzenie pochylonej olszyny. Starannie umocował żagle, ciężko dysząc i opływając potem, gdyż chmura nad jego głową jak gdyby wessała w siebie całe powietrze. Wciąż trwała cisza — w milczeniu jak duchy uciekały w kierunku brzegu czarne ptaki. Na łące bindugi żałośnie zaryczała krowa — spojrzał w tamtą stronę i ujrzał Justynę; z kaną pełną mleka szła do swej łodzi.

Raptem zrobiło się niemal zupełnie ciemno. Czoło chmury dotknęło słońca i zakryło je sobą. Równocześnie ostry błysk oślepił oczy i w tej samej chwili przeraźliwy trzask pioruna boleśnie odezwał się w uszach. Niegłowicz zeskoczył w trzciny i kalecząc sobie bose stopy na korzeniach zatopionych drzew dobrnął do brzegu. Słyszał coraz głośniejszy szum wiatru. Wydawało się, że oto zbliża się ku niemu pędzący po szynach ciężki pociąg. Doktor dopadł Justyny, odebrał z jej rąk srebrną kanę, postawił ją na ziemi i pociągnął kobietę do jachtu zacumowanego po zawietrznej. Jezioro tworzyło już białawą mglistą kipiel, ciepły podmuch musnął twarze, trochę później spadły na nich krople wody porwanej z jeziora. Uderzenie wichury zatrzymało ich w miejscu i zdusiło oddech, tonęli w poświście wiatru, ciemnościach, łoskocie gromów i przenikliwym trzasku drzew łamanych na brzegu. Jak za mgłą widział doktor twarz Justyny, włosy szarpane wiatrem, czuł ciepło jej dłoni. Od czasu do czasu opadały na nich rozpylone przez wiatr krople wody, wiatr zrobił się zimny. Okulary doktora pokryły się rosą, nic już prawie nie widział i niemal po omacku pociągnął kobietę do brzegu zalewanego przez wysokie fale. Jacht miotał się na kotwicy, rufa podnosiła się i opadała w jakimś gwałtownym rytmie, wspinała się ponad głowy stojących na brzegu, to znów zbliżała się o wyciągnięcie ręki i raptem zapadała się w dół, oddalając się o szerokie pasmo spienionej wody. Przykucnęli w miejscu, gdzie nie sięgały fale i przytuleni do siebie trwali nieruchomo w mroku, syku piany i łoskocie gromów. Aż usłyszeli głośny szum nadciągającej ulewy, która uciszyła wiatr i uspokoiła jezioro. Deszcz był zimny, zgrabiałe od chłodu palce doktora z trudem chwyciły krawędź burty. Razem wdrapali się na śliski pokład. Z kabiny buchnęło na nich ciepło, jakby weszli do wnętrza dobrze nagrzanej izby. Ale zanim usiedli na pokrytej materacem koi, obijali się boleśnie o ściany, dach, skrzynię mieczową, wciąż bowiem mocno kołysało. Ogłuszał ich głośny łoskot deszczu na dachu; puste wnętrze kabiny rezonowało jak wielki bęben, w który uderzały tysiące niewidzialnych pałeczek. Pod poduszką namacał doktor ręcznik, wytarł nim swoje czoło, później zdjął z Justyny mokrą bluzkę i spódnicę. Dygocąc z zimna, nadzy, położyli się obok siebie na wąskiej koi, czując, jak przenika ich ciepło własnej krwi i włochatego koca. W kabinie mrok był kleisty, przez zaparowane szyby bulajów prawie nie docierał blask dalekich błyskawic, uderzenia piorunów ściszał łomot deszczu, który raz po raz zmieniał swój rytm, grzechotał lub przechodził w monotonny szmer. Mokre włosy Justyny wydzielały zapach szałwii, piołunu i mięty. Jej nagi brzuch niemal parzył podbrzusze mężczyzny. Nagle ogarnęło go przenikliwe pożądanie, któremu natychmiast się poddała, rozchylając uda. Potem przyjmowała jego ruchy z uwagą skupioną na swoim wnętrzu. Aż poczuł wreszcie, jak jej palce delikatnie pieszczą jego włosy na głowie, napięty brzuch kobiecy coraz wolniej i słabiej drgał ostatnimi spazmami rozkoszy, która tym razem — i z niej, i z niego — wyciekała wolno, jak kropla po kropli.

Znowu jej się wydawało, że umarła. Z odrętwiałego ciała wychodzi owa tajemna druga istota i przepada w ciemnościach, szemrzących deszczem i pomrukujących coraz dalszym łoskotem grzmotów. On poddawał się kołysaniu jachtu na falach i przeżywał wrażenie, że jak w ogromnej kolebce daje się unosić gdzieś w przestworze, w deszczową noc. Chyba zasnęli — a może stracili poczucie upływających minut i godzin. Nagle wczesny świt rozbielił zaparowane szyby bulajów — Justyna ostrożnie wysunęła spod koca nagie ciało i sięgnęła po mokrą odzież. Widział, jak jej plecy zadrżały od zimna, gdy wciągała na siebie wilgotną bluzkę. Skrzypnęły drzwi kabiny, jacht zakołysał się odrobinę, zachlupotała woda. „Kocham ją" — pomyślał Niegłowicz, ale ta myśl nie dała mu poczucia szczęścia. Powróciła pamięć o doznanej rozkoszy, nozdrzami wciągał pozostały po niej zapach szałwii, piołunu i mięty. I znowu był podniecony, jakby miał ją tej nocy tylko we śnie.

Czy to była miłość, jeśli nie pragnął słyszeć jej głosu, ale po prostu chciał być z nią, trwać w niej, łączyć się z nią, wdychać zapach jej ciała? Nic więcej ponad krótkie posiadanie w akcie miłosnym, który łagodził napięcie pożądania, na chwilę zresztą, bo potem budził się w nim jeszcze większy głód, ogarniający wyobraźnię i wypełniający myśli.

Podniósł się z koi z uczuciem cierpienia, żalu i nienasycenia. W kokpicie mżyło; chłód poraził nagie ciało. Pośpiesznie wciągnął na siebie gruby sweter i spodnie. Potem wybrał kotwicę, wiosłem zepchnął jacht na głębszą wodę i skierował go w stronę domu.

Wciąż padało, drobniutkie krople deszczu zasnuły jezioro jak poranna mgła. Na próżno wysilał wzrok, aby dojrzeć choćby zamazany kształt swego domu na półwyspie lub dach starego młyna w wiosce. Deszcz czynił świat nierzeczywistym — i to, co przeżył nocą, wydało mu się także nieprawdziwe.

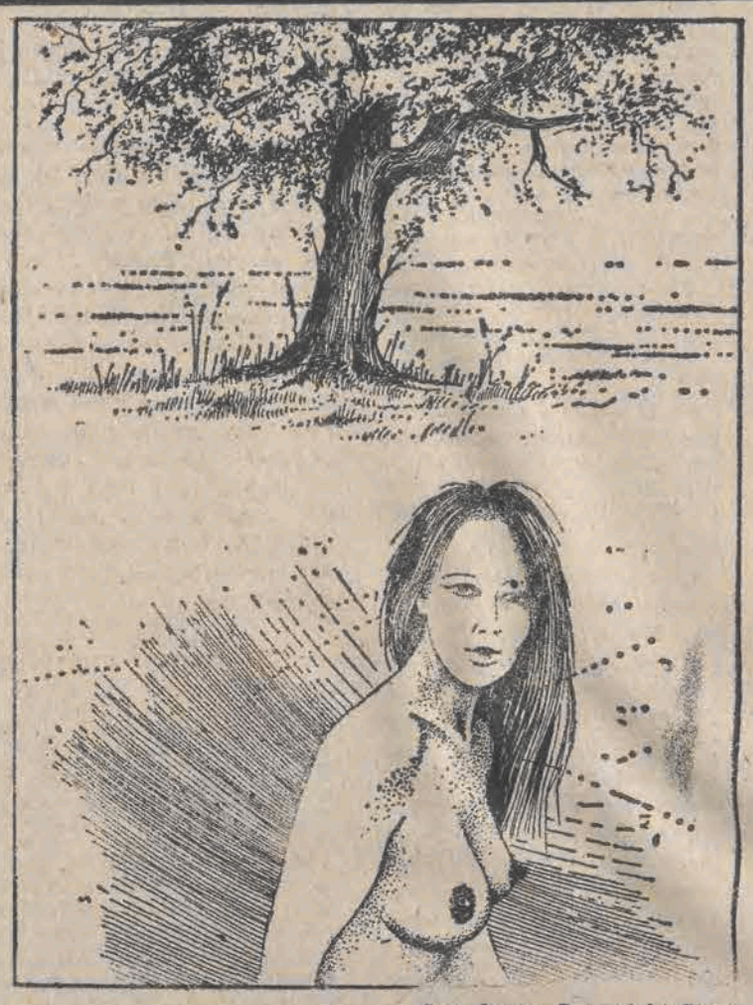

Rys. Janusz Szymański-Glanc

O tym, jak się zabija przez telefon

W pierwszy dzień pracy doktora po urlopie zjawiła się w ośrodku zdrowia w Trumiejkach kulawa Maryna ze swym jednorocznym dzieckiem. Jakiś czas temu dzieciak przebywał w szpitalu w Bartach z powodu ostrej biegunki, odżywiano go tam kroplówką i nawet przetoczono trochę krwi — wszystko to doktor wyczytał z karty szpitalnej, którą mu kulawa Maryna przedłożyła. Tydzień dzieciak znajdował się w domu i coś mu z lewego uszka ciekło. W tej sprawie przyjechała do ośrodka zdrowia w Trumiejkach.

— Źle się dzieckiem opiekujesz, Maryna — skarcił ją doktor. — Przegrzewasz je, brudno trzymasz, nie odżywiasz jak należy. Czy za mało Antek Pasemko daje ci na dziecko?

— Dawać, to daje dosyć, tylko że nie zawsze — powiedziała. — Jeśli go nie przydybię gdzieś na drodze w wiosce i nie krzyknę na niego, nawet przez miesiąc ociąga się z płaceniem. Odkąd wrócił na Wybrzeże, znowu będę musiała się dopominać od jego matki. Zresztą i tak przeważnie Zofia Pasemkowa za niego płaciła.

— Wystąp do sądu i otrzymasz należne alimenty — doradził jej doktor, zapisując lek dla dziecka.

— A gdzieżbym tam ja, panie doktorze, po sądach się włóczyła? Za honorowa na to jestem — odparła.

Podniósł doktor głowę znad receptariusza i przyjrzał się uważnie kulawej Marynie, jej pełnej piegów twarzy, ustom, co z przodu jednego siekacza nie miały, skołtunionym bezbarwnym włosom. Ciekaw był, gdzie też swój honor Maryna kryła, bo na pewno nie między nogami. Mało było takich we wsi, czy to starych czy młodych, których by nie przyjęła, jeśli przyszli do niej z butelką taniego wina czy wódki. Ze dwa razy zdarzyło się, że po kilku kolejno na nią wlaziło, przeważnie na zabawach wiejskich. Zaciekawiło więc doktora, jakie też jest wyobrażenie Maryny o kobiecym honorze.

— Tu nie o honor chodzi, Maryna — rzekł do niej. — ale żeby dziecko miało przez prawo ustalonego ojca. W tej chwili to może i mało ważne; ale jak dorośnie, kto wie, może być skrzywdzone. Pasemkowie są ludźmi zamożnymi, twoje dziecko dziedziczyć po nich będzie miało prawo. Ty także nie jesteś wieczna, a nie daj Boże zachorujesz. Wtedy dziecko może się dopomnieć o opiekę ze strony prawnie uznanego ojca.

— Straszę Pasemków sądem, ale nigdy tam nie pójdę. Za honorowa jestem — powtarzała z uporem kulawa Maryna, przytulając do siebie dziecko, które trzymała na kolanach.

Niegłowicza ogarnęła raptem jakaś ogromna jasność. Zdawało mu się, że wszystko dookoła siebie widzi niezwykle wyraźnie, lecz to, co było najważniejsze, pozostawało w cieniu. Jak automat odsunął od siebie receptariusz, wstał od biurka i zaczął grzebać w szafce, gdzie w szufladach leżały równo ułożone karty jego wszystkich pacjentów. Znalazł kartę z nazwiskiem i imieniem: „Antoni Pasemko, syn Gustawa". Był w niej zapis grupy krwi Antka. Starał się wtedy Antek o pracę kierowcy i przyniósł do ośrodka zdrowia wynik analizy swej krwi i jej zapis grupowy, który doktor wpisał mu do dowodu osobistego. Antek Pasemko miał grupę krwi AB, a jego dziecko, jak to wynikało z karty szpitalnej, grupę 0.

Usiadł doktor za swoim biurkiem, zmarszczył brwi i tak rzekł do Maryny:

— Szanuję twój honor, bo i sam jestem człowiekiem honorowym. Czemu jednak nie powiesz mi szczerze, że tak naprawdę nie wiesz, z kim masz dziecko? Wyznaj mi, ilu ich było i dlaczego udało ci się wrobić w tę sprawę Antka.

Ceglastymi rumieńcami pojawił się gniew na bladych policzkach kulawej Maryny. Chwyciła dziecko, wstała i chciała wyjść złorzecząc, ale doktor ją powstrzymał:

— To będzie rozmowa tylko między nami, Maryna. Nie powiem o niej Antkowi, niech ci płaci do końca życia. Ale chcę znać prawdę o ludziach, z którymi sąsiaduję i którym mówię „dzień dobry". Wielką mądrość daje wiedza lekarska, tedy się mnie strzeż i nie próbuj kłamać.

Usiadła, a ceglaste plamy na twarzy stały się różowe.

— Jeśli Antek Pasemko płaci na dziecko, to znaczy, że ono jest jego — piskliwie krzyknęła do doktora.

— Sąd zapyta o tę sprawę lekarzy, a żaden lekarz na świecie nie uzna Antka Pasemki za ojca twego dziecka.

— Ja do sądu nie pójdę, bo jestem za honorowa.

— Nie jesteś honorowa, tylko sprytna — uśmiechnął się doktor. — Ten spryt ci podpowiada, że w sądzie prawda wyjdzie na jaw.

— Ja tam nic nie wiem — zaczęła siąkać nosem, udając, że jej się na płacz zbiera. — Chce pan znać całą prawdę?

— Tak, Maryna.

— A po co ona panu?

— Przez ciekawość. Przez ciekawość, jaką mam ku ludziom — wyjaśnił.

Westchnęła i powiedziała:

— Matka pojechała na chrzciny do swojej szwagierki w Bartach. Wieczorem przyszli do mnie: Franek Szulc, młody Galembka i Antek Pasemko. Przynieśli dużo wina i mnie upili. Nic nie pamiętam. Rano wróciła matka i zastała w moim łóżku Antka Pasemkę. Całą pościel zarzygał. Jak się dziecko urodziło, to mu kazałam płacić. Żenić się ze mną nie musi. Z początku nie chciał mi płacić, ale jego matka zmusiła go do tego.

Doktor wziął w dłonie długopis i bawił się nim w zamyśleniu. Wciąż czuł w sobie ową przenikliwą jasność myśli. Dziwnie ostro rysował się w jego oczach związek między sprawami i ludźmi.

— Franek Szulc wyjechał w świat — odezwał się po długiej chwili namysłu. — Od młodego Galembki niewiele wywojujesz, bo żyje na utrzymaniu żony i ma hordę własnych dzieciaków. Niech więc ci Antek Pasemko płaci na dziecko, skoro go matka do tego zmusiła.

— A tak, właśnie tak, panie doktorze — ucieszyła się kulawa Maryna.

— Ale nie wmówisz mi, że niczego nie pamiętasz. Pomyśl, może Franek Szulc będzie bogaty, a wtedy ty wobec niego wystąpisz o alimenty. Który był pierwszy?

Zastanawiała się i skinęła głową, że rozumie, do czego doktor zmierza.

— Pierwszy był Franek — wyznała. — Drugi był młody Galembka. A Antek Pasemko tylko się zerzygał i zaraz zasnął. Nawet nie skorzystał ze mnie.

— No widzisz, jaką masz dobrą pamięć — pochwalił ją Niegłowicz. — Ale to mi się dziwne wydaje, że nie skorzystał, a na dziecko płaci.

— Bo może o tym nie wie — zachichotała, rada ze swojego sprytu. — Z początku wykrzykiwał, że nic ze mną nie miał, dziecko jest nie jego, ale mu jego matka, czyli Zofia Pasemko, kazała płacić. To znaczy, że się poczuwa. A gdy im sądem grożę, zaraz przybiegają z pieniędzmi. Przeważnie Zofia Pasemkowa. Pan, doktorze, nie zdradzi Pasemkowej, co panu powiedziałam?

— Oj, sprytna jesteś, przebiegła — z uznaniem kiwał głową doktor Niegłowicz.

Dokończył wypisywanie recepty, wręczył ją kulawej Marynie i poczekał, aż zadowolona ze swej przebiegłości, opuści wraz z dzieckiem jego gabinet.

Przyjął potem doktor jeszcze ośmiu pacjentów, ale badał ich nieuważnie, z roztargnieniem, myślami bowiem znajdował się gdzieś bardzo daleko. Zjawiła się też pielęgniarka, pani Henia, która w sąsiednim gabinecie zabiegowym zastrzyki ludziom robiła. Zapytała doktora, czy przywiózł dla niej spiralę, żeby odtąd w ciążę więcej nie zachodziła. Doktor ociągał się z tą sprawą, więc sama na fotel wlazła i nogi rozłożyła, ale i tak nic z tego nie wyszło, ponieważ stwierdził u niej nadżerkę i kazał ją najpierw wyleczyć. Tedy popłakując znowu poszła do gabinetu zabiegowego, a doktor został sam i siedząc przy biurku w zamyśleniu spoglądał na aparat telefoniczny.

Znowu myśli doktora krążyły w mroku, ale przecież majdował dla nich jasną ścieżynę, wąską i krętą. Posłał ową ścieżką swoje myśli i aż zadrżał z przerażenia, cofnął więc je i znowu posłał, znowu cofnął i jeszcze raz posłał. Wreszcie drżącymi ze zdenerwowania palcami wykręcił na tarczy numer centrali na poczcie w Trumiejkach i kazał się połączyć z kapitanem Śledzikiem w odległym wojewódzkim mieście.

— Jest w naszej wiosce młody człowiek — poinformował Śledzika — który przez jakiś czas pracował i znowu pracuje na Wybrzeżu w charakterze kierowcy ciężarówki. Płaci na dziecko, o którym wie, że nie jest jego. Płaci, choć domyśla się, że sąd oddaliłby powództwo matki. Wszystko wskazuje na to, że chce, aby uważano go za zdolnego do zapłodnienia kobiety. Jak pan sądzi, dlaczego to robi?

W słuchawce trwała dłuższa chwila ciszy. Potem kapitan Śledzik powiedział do doktora tylko jedno słowo:

— Dziękuję.

I odłożył słuchawkę. Doktor zaś zdjął biały fartuch lekarski, zamknął gabinet na klucz i swym starym gazikiem wolno wyruszył do Skiroławek.

Był przedostatni dzień sierpnia z pochmurnym niebem wróżącym deszcz. Po obydwu stronach drogi tu i ówdzie pośpiesznie kończono rwanie lnu, podorywano opustoszałe ścierniska. Pożółkły badyle kartoflisk i choć lato wciąż trwało, czuło się smutek bliskiej jesieni.

Dziwił się doktor, że nie rozpiera go duma z przenikliwości umysłu, ale najwyraźniej odczuwa smutek. Zastanawiał się, czemu mu pragnienia nigdy nie spełniają się tak, jak to sobie człowiek wymarzył. Chciał spotkać zbrodniarza na polanie i strzelić mu między oczy. Tymczasem wciąż narzucała mu się twarz zbrodniarza, jego głowa w zarzyganej pościeli kulawej Maryny. Widział też pętlę chybotliwie zawieszoną nad głową śpiącego w tej pościeli człowieka i pomyślał, że niekiedy łatwiej jest strzelić komuś między oczy, niż zabić na odległość. Przez telefon.

O tym, jak trudno uwierzyć, że nie zawsze czarne bywa czarne, a białe jest białe

Piątego września o godzinie siódmej rano aresztowano Antoniego Pasemkę w hotelu robotniczym na Wybrzeżu. Dokonał tego major Kuna i dostarczył Antka do aresztu śledczego. W tym czasie wieść o tym wydarzeniu przywiózł do Skiroławek kapitan Śledzik, od nowa zaczynając śledztwo.

Być może obydwaj pośpieszyli się nieco, ale schwytanie seksualnego mordercy należy do najtrudniejszych zadań w praktyce kryminalnej. Nie sposób każdej kobiecie, którą na swej drodze spotkać może taki osobnik, dodać specjalnego i starannie zamaskowanego strażnika. Nigdy też nie wiadomo, kiedy zaatakuje — można na to czekać miesiąc, pół roku lub nawet rok. Zabójca jeździ po kraju ciężarowym samochodem, raz jest tu, a innym razem gdzie indziej — jakże go śledzić tak dyskretnie, aby tego nie zauważył i złapać na gorącym uczynku? Iluż ludzi musiałoby zajmować się tą sprawą, jakież ogromne należałoby zaangażować środki i sprzęt? Któż wreszcie może zaręczyć, że nie wymknie się on spod obserwacji i nie dokona nowej zbrodni — że nie zginie jeszcze jedna młoda istota ludzka. Aresztowanie podejrzanego bez pełnego portfela zebranych dowodów jego winy — to trudna decyzja. Lecz pozostawienie go na wolności też budzi sprzeciw sumienia, stawką bywa przecież życie lub śmierć jakiejś dziewczyny. Jest jednak nadzieja, że nawet wobec kruchych dowodów winy, w ogniu pytań, załamie się i przyzna do winy, ujawniając szczegóły swych czynów. Liczyć się również należy i z tym, że wieść o aresztowaniu mordercy potrafi niekiedy ożywić ludzką pamięć, ujawnić nie znany dotąd fakt, który na całą sprawę rzuci nowy promień światła.

c.d.n.